

- Rada pracownicza... bez robotników — str. 3
- Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę — str. 4
- Ukraiński pisarz o Czernobylu — str. 13
- Polska piosenka psuje się od środka — str. 10



Nr indeksu 36762  
PL ISSN 0472-5042

# Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 34 (1482) ROK XXIX

23 SIERPNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Nasz Belchatów

## Nawet szczury muszą odejść

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Tych wsi już nie ma lub wkrótce nie będzie. Pozostają tylko na starych mapach, w dokumentach i wspomnieniach. Zakończono je przed wiekami, nie wiadomo nawet, kiedy. Przetrwały wojny, kataklizmy. Teraz muszą zniknąć raz na zawsze z powierzchni ziemi w imię wyższych, społecznych celów — bez śladu, nieodwołalnie, po to, by inne wsie i miasta mogły dalej normalnie żyć i rozwijać się. Ktoś powiedział górnolotnie, że zostały złożone na ofiarnym ołtarzu cywilizacji w zamian za wydzierany naturze skarb — węgiel brunatny. Ale dla ich mieszkańców to powolne umieranie niewiele wspólnego ma z poezją. Jest prozaiczne i gorzkie. Boli.

Najpierw zniknęły Piaski Czyżów i Ruszczyń. Potem kopalnia pochłonęła Wole Grzymaliną. Od roku trwa agonizacja kolejnej wsi — Kuców. Wyszło już pierwszych kilkanaście rodzin. Następne czeka ją pokornie w kolejce jak w „czeskim końcu” przed sklepem po kielbasę, która nawet w lodówce szybko zieleńnieje. Przywiozą dziś, czy nie przywiozą? Co? Jak dużo? Wyszli już jeszcze w tym roku, czy zostawią? Ile dadzą za gospodarstwo? Gdzie będą mieszkali? I — przede wszystkim: jakie będzie to nowe życie?

Często powtarzane

PYTANIA, NA KTÓRE  
BRAK ODPOWIEDZI.

Pytlewscy w zeszłym roku chcieli malować, bo ściany już prawie czarne, ale — po co, skoro na wiosnę mieli się ponoc-pakować? Młoda żona, wiosna, mijają lato. Siedzą do tej pory. Sąsiedzi z przeciwka urządzili

uroczystą, ostatnią wigilię w Kucowie. Postawili się. Wyszło, że spędzą tu co najmniej jeszcze jedną. I tak prawie w każdym domu — nikt dokładnie nie wie, kiedy zostanie wysiedlony. Jak pytać w kopalni, to mówią że może za rok, a może za dwa. Nie chcą powiedzieć, czy sami nie wiedzą? Albo mówią: na jesień, a wcale nieprawda. Obezwładniająca, poniżająca niepewność. Gorsza jeszcze od przymusu opuszczania wsi. Ich wsi.

Na początku nie zdawali sobie sprawy, nie myśleli, co z nimi będzie. Wszystko wydawało się tak odległe, nierealne... Łagiewska pamięta jak jeszcze za Gomulki wierzyła, szukała — podobno ropy. U Kru-szyńskich było nawet trzech wiertaczy na mieszkaniu. To oni powiedzieli pierwsi, że faktycznie ropy nie ma, ale jest brunatny węgiel. Niektórzy dziwili się, nie chcieli wierzyć: węgiel pod Belchatowem? Kopalnia? Gadanie! Dopiero i k wstrzymał pozwolenia na budowę nowych domów, do ludzi dotarło, że to wcale nie żart. Byli też

zebrania, na których wyjaśniano im, że ten węgiel, to więcej prądu dla kraju, że powstanie tu wielki przemysł. Cieszyli się więc nawet, że nareszcie znajdą robotę nie na Śląsku, czy w Łodzi, ale — u siebie, tuż obok, za miedzą. Zaczęli myśleć o dostojniejszym życiu, bo tak po prawdzie, to co tu dużo gadać — nielekką kiedyś było. Ziemia kiepska — żyto, owies, ziemniaki. Tyle że łaki nie najgorsze i kawałek swojego lasu. W okolicy mawiano: „Czyżów i Płoski, to ubogie wioski”. I było tak. A Kuców, czy Stawek — nie lepiej? Może tylko Wola Grzymalina, gdzie żyło się trochę lepiej. Prawie wszystkie domy murywane były. Ale tak? Na przykład prąd dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych przeciągnęli. Przy lampie naftowej się siedziało, od świata daleko. Jedno — że spokój był, cisza, wszyscy swoi. Nikt nie szwendał się po wsi. Nie to, co dziś.

Fakt. Wystarczy spojrzeć — na wschód od krzyżówki przy starej szkole

KUCÓW WYGLĄDA  
DZIŚ JAK WIELKI  
PLAC BUDOWY.

Dźwigi, koparki, wywrotki — sam ciężki sprzęt. Co kawałek — pompy głębinowe dzień i noc osuszające teren przyszłej okrywką, kilometry ocynkowanych rur, które odprowadzają z nich wodę — przez zagony łaki, porożnięte drogi i ścieżki. Cała wieś poprzecinana jest wybetonowanymi kanałami tak, że dojechać wozem na swoje pole, to teraz prawdziwa sztuka. A hałas, od rana, warkot, tumult... No i te wybuchy, od których pękają ściany, i szyby. U tych, co bliżej wykupu, nie ma mieszkań, żeby nie szklili jakiegos okna. Kruzyński mówi, że z tego wszystkiego życie mu już całkiem zbrzydło. Jak jeszcze przez rok będzie musiał w tym siedzieć, przedziej pójdzie do ziemi, niż do tych bloków. W Belchatowie. Trzymają ludzi chyba tylko po to — dodaje — żeby się nie czuli. Lepiej od razu iść precz. Przynajmniej nie trzeba by patrzeć na te porządki, na tę zniszczone. Bo ludzkie pojęcie już przechodzi, co się w Kucowie ostatnio dzieje.

Po pierwsze — jeżdżą tymi autami, jak chcą. Nie patrzą, że zasiane, zasadzone, że czy-

ją pracę to kosztowało. Łagiewscy nie raz zwracali na to uwagę kierownikom. Inni także. Ale co to dało? Jak groch o ścianę. Czasem kierownicy tłumaczyli, że szkody żadnej nie ma, bo to przecież już wykupione. Może i tak dowiedzieli się w kopalni, kto wie? — domyśla się Łagiewska. Dobrze by było. A prawda jest taka, że wykupują dopiero jak kopalnia podchodzi prawie pod sam dom, to znaczy — na przepiętym trzystu metrach. Wcześniej kopalnia ani słyszeć nie chce, żeby dać ludziom mieszkania i pieniądze. Owszem, zgadzają się, że powstałe straty będą odszkodowania, szyby nowe wprawiać — jak się należy. Ale ile się trzeba do nich najechać, ile naprosić. A kto ma czas, gdy robota w polu, żniwa? Zasiane — trzeba sprzątnąć, myśli chłop, nie niszczyć. Nawet jak by już było wykupione. I nikt nie przekona chłopca, że powinno być inaczej. Grzech marnować, co urodzi ziemia. Nie po gospodarstwu to i nie po bożemu. Gdyby Wojciech Jaruzelski przyjechał tu i zobaczył, dowodził Kruzyński, na pewno nie pozwoliłby na to wszystko. Ale czy oni tam, w Warszawie wiedzą, jak się traktuje ludzką pracę? Ile pieniędzy idzie w błoto? Pojęcia nawet chyba nie mają. I jeszcze podatki — każda sobie płaci! Jak by Kuców był ciągle taką normalną wsią.

Z tymi podatkami to jest tak, że człowiek się tylko narobi, naharuje, a zysku żadnego prawie nie ma. Ledwo wychodzi na swoje. Wodę z ziemi kopalnia wypompowała, więc jak deszcz nie spadnie, wszystko schnie na wór. Kartofli coraz mniej pod krzakami; gdzie wyżej — wcale nie urosną. Dobrze jeszcze jak kto może po kryjomu rozkrecić rurę i spuścić trochę wody w reoliny. Ale już na przykład łaki — w ogóle lepiej nie mówić, co z nich zostało. Drugiego pokosu siano w tym roku nie będzie. To samo pastwisko — więcej krowa zje w oborze, szkoda nawet wypędzać. A krów w Kucowie było kiedyś dużo, teraz — aby po jednej, po dwie. Świń też ubywa z każdym rokiem. To jak w takich warunkach dorobić się na starość? Co odłożyć? Z czego płacić te podatki? Czy nie powinni być teraz z podatków zwolnieni, albo przynajmniej mieć jaką ulgę? Gdzie tam! Nikt nie chce uznać ich krzywdy. Taka to jest sprawiedliwość.



Foto: Grzegorz Gatański

## Opium masowego rażenia

JOLANTA WRÓŃSKA

Wyobraźmy sobie, że mogło być tak. Po tej stronie szklanej ściany supersamu stoi w karnym or-dynku kolejka wyschniętych gardel. Sklepowa mechanicznym ruchem, na pamięć, sięga do stosu kontenerów. Z pamięci odlicza należność w różnych wariantach. Doświadczanie poucza, że prze-ważnie wariant obejmuje trzy „kwachy” oraz pół litra czystej. Albo pięć win i dwie czyste.

Po tamtej stronie szklanej ściany supersamu, na chodniku kłę-czy kobiecina. Złożone do modlitwy dłonie oplecione różańcem. Głowa pochyla się i podnosi miarowym ruchem. Ruchliwe oczy myszkują po szklanej tafli z wyrazem zachłannej ciekawości. Wreszcie zastygają wpatrzona w jeden punkt.

Na chodniku przed szybą sklepu palą się cmentarne znicze i świeczki, leżą kwiaty. Oparły o szkło święty obrazek.

Za plecami klęczącej stoi grupka ludzi wpatrująca się w ścianę szkła. Obok ludzie idą do supersamu po zakupy, przechodzą ulicą, mijają sklep, obojętnie przesuwać oczyma po ukwieconym chodniku.

Albo było tylko połowę tego: klęcząca kobieta, kwiaty, ciekawili ludzie.

Opodal Ronda Broniewskiego, w mieście Łodzi gruchnęła wieść o cudownym wydarzeniu. Wcześniej w kolejkach sklepowych, w maglach, po mieszkaniach poszła plotka, że na ulicy Kołowej w szybie zwykłego okna, zwykłego mieszkającego bloku ukazały się święte postacie.

Tydzień wcześniej w Starowej Górze objawiła się nawiedzonym święta postać w szybie okna w prywatnej posesji. Już w dwa dni potem do miejsca domniemanego cudu ciągnęły pielgrzymki nie tylko z rogatki Łodzi. W niedzielne popołudnie przybywały samochody z całej środkowej Polski, pieśni niosły się nad polem, dym świec, kwiaty i atmosfera najwyższego podniecenia.

Ludzie mówią, że już następne cuda ogarniają miasto. Ponoć przy ulicy Naruszewicza dostrzeżono oznaki naprzyrodzonej obecności. Istnieje także przypuszczenie dalszej eskalacji. Dowodem tego jest pojawienie się konkurencji. Nie wiadomo — ludzkiej czy boskiej. Dość, że w budynku naprzeciwko nawiedzonej posesji w Starowej Górze, na okiennej szybie dostrzeżono kontrobiec świętych postaci.

Pora roku, adres oraz ilość nie mają absolutnie żadnego znaczenia. Równie dobrze następne cudowne wydarzenia mogą nastąpić na rogu Marszałkowskiej i Alei w Warszawie, albo gdziekolwiek indziej. Jak już tyle razy poprzednio i — jak zapewne będzie się dziać



Foto: Grzegorz Gatański







**S**amorząd załogi i jego organ — rada pracownicza, zwana czasami i radą robotniczą, uzyskały szerokie, statutowe uprawnienia do decydowania lub współdecydowania w najbardziej żywotnych sprawach przedsiębiorstwa. Jednak przygotowanie, wypracowanie, podjęcie, a potem wykonanie kolegioidalnej uchwały czy indywidualnej decyzji kierowniczej, to przedsięwzięcie niezwykle trudne we współczesnej skomplikowanej rzeczywistości, a teoria podejmowania decyzji to rozległa dyscyplina nauki organizacji i zarządzania, ciągle jeszcze nie najlepiej znana nawet profesjonalnej kadry kierowniczej, dla której decydowanie jest chlebem powszednim.

Jak w tej dziedzinie radzą sobie członkowie rad pracowniczych, dla których podejmowanie decyzji w sprawach przedsiębiorstwa, to jakby nie było amatorszczyzna, praca społeczna, na marginesie pracy zawodowej? Czy rady pracownicze posiadają odpowiednią wiedzę merytoryczną do podejmowania ważnych uchwał w różnorodnych sprawach?

W jaki sposób członkowie rad pracowniczych w ciągu dwuletniej kadencji mogą stać się działaczami gospodarczymi rozstrzygającymi podstawowe problemy ekonomiczne przedsiębiorstwa, często ściśle splecione z problemami natury społecznej i politycznej? A przecież z tych dwu lat wypadają jeszcze 2-3 miesiące na ukonstytuowanie, wzajemne poznanie się i zorganizowanie pracy po wyborach oraz następne 2-3 końcowe miesiące kadencji przeznaczone na przygotowanie i zanieśnięcie sprawozdania oraz przeprowadzenie nowych wyborów. Do tego większość członków rad przeznaczają tylko kilka godzin miesięcznie na pracę w radzie i to często na załatwianie spraw formalnych, administracyjnych, wewnątrzorganizacyjnych. Ponadto większość członków rad ma tylko wykształcenie podstawowe, zasadnicze lub niepełne średnie. Trudna jest więc ich sytuacja w dyskusjach, analizach i sporach toczonych z wykształconą, zawodową kadrą kierowniczą. Tym bardziej że obecny system ekonomiczno-finansowy wcale nie jest prosty i łatwy do opanowania, a również podstawowe idee i zasady reformy gospodarczej też nie są tak klarowne, żeby intuicyjnie zajmować stanowisko zgodne z duchem reformy.

## UCZYĆ SIĘ Z TEORII I Z PRAKTYKI

Oczywiście można powiedzieć, że nie stoi na przeszkodzie, aby członkowie rad systematycznie wzbogacać swą wiedzę i kwalifikacje niezbędne do kompetentnego uczestniczenia w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Ale też faktem jest, że działacze rad pracowniczych niechętnie i niechętnie uczestniczą w zorganizowanych formach szkolenia, takich jak kursy czy seminaria. Pozostaje samokształcenie — słuchanie radia, oglądanie telewizji, czytanie gazet, w których problematyka samorządowa jest bogato prezentowana. Jednak trudno oczekiwać, że w perspektywie, w ten sposób wychowają się liczne kadry robotniczego aktywu samorządowego zdolnego do autentycznie partnerskiej, równorzędnej współpracy z zawodową kadrą kierowniczą. A chodzi właśnie o stworzenie warunków sprzyjających wzrostowi robotniczego aktywu samorządowego, tak aby w bliskiej przyszłości powszechnie mogły istnieć rady robotnicze nie tylko z nazwy, ale rzeczywiście z robotników złożone. Nie chodzi tu o tworzenie robotniczej fasady lub marionetek, ale rad robotniczych rzeczywiście uczestniczących w zarządzaniu przedsiębiorstwem.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja. W państwie socjalistycznym, w którym klasa robotnicza jest siłą dominującą, udział robotników w radach pracowniczych jest znacznie niższy niż procentowy udział robotników w załodze przedsiębiorstwa. Co więcej, udział robotników w prezydium rad i wśród przewodniczących różnych komisji, zespołów roboczych, jest wręcz znikomy. Nie dość więc, że w radach pracowniczych jest nieproporcjonalnie mały udział robotników, to jeszcze usiedli oni na podrzędnych, końcowych stołkach.

Natomiast odwrotnie ułożyła się sytuacja pracowników z wyższym wykształceniem. W przedsiębiorstwie jest ich zwykle kilka procent, zaś w radach pracowniczych kilkanaście, a w prezydium kilkadziesiąt. W rezultacie aktywność rady jest najczęściej aktywnością nie tyle robotników, co inteligencji. Jest to zjawisko niekorzystne.

## W JAKIM CELU?

Tworzenie samorządów załogi ma na celu demokratyzację zarządzania, zwiększenie wpływu pracowników na decyzje podejmowane w przedsiębiorstwie. Tworzenie samorządów i rad pracowniczych ma też przyczynić się do wyrażania interesów pracowników, a więc przede wszystkim robotników stanowiących trzon załogi. Samorządy i rady mają ułatwić spojrzenie na wiele ważnych problemów okiem pracowników. Dotąd na problemy te patrzyło się raczej z punktu widzenia pracodawców posiadających uprawnienia decyzyjne, a tym samym posiadających władzę. To m. in. doprowadzało do napięć i kryzysów. Inaczej mówiąc samorząd w przedsiębiorstwie jest po-

trebny, po to, aby na problemy spoglądać podwójnie, z dwu odmiennych punktów widzenia — kierownictwa i robotników.

Czy obecne samorządy i rady pracownicze patrzą inaczej na rozwiązywanie problemów, z odmiennego niż kierownictwo punktu widzenia? I tak, i nie.

Tak, bo rada pracownicza — to inni ludzie, różnią się od dyrektora cechami osobowości, wiedzą, doświadczeniem, poczuciem odpowiedzialności. Stąd pewne różnice w spojrzeniu na sprawy przedsiębiorstwa. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że w radach jest nieproporcjonalnie duży udział pracowników umysłowych, często z wyższym wykształceniem i często zajmujących stanowiska kierownicze średniego szczebla, oraz że właśnie ta nierobotnicza część rady przejawia na ogół większą aktywność, to trzeba stwierdzić, że stanowisko rady z reguły nie odzwierciedla klasowych in-

BRONISŁAW MUSZYŃSKI

# Pracownicza czy robotnicza?

interesów robotników. Co więcej, łatwo można by uzasadnić twierdzenie, że z wyżej wymienionych powodów, w sumie punkt widzenia rady pracowniczej jest z reguły bliższy punktowi widzenia kadry kierowniczej niż robotniczej. I gdyby tak miało pozostać, to przyszłość rad pracowniczych rysuje się w szarych kolorach, albowiem działalność ich, w obecnym kształcie nie prowadzi do wypracowania odmiennych rozwiązań zgodnych z klasowymi interesami robotników socjalistycznego przedsiębiorstwa.

Mozna by też zaryzykować twierdzenie, że ponadto uchwały rad pracowniczych przeciętnie muszą być jakościowo gorzej od decyzji podejmowanych przez profesjonalną kadrę kierowniczą, bo są wypracowywane przez ludzi mniej poinformowanych, mniej wykształconych, wyżej patrzących, mniej doświadczonego i zorientowanych w meandrach procesu decyzyjnego, a co najważniejsze, przez ludzi nie ponoszących wyrażnej, osobistej odpowiedzialności za powzięte decyzje. Paradoks polega na tym, że wynikiem działalności obecnych rad mogą być rozwiązania gorsze od menedżerskich, które zmniejszają operatywność funkcjonowania przedsiębiorstwa i na dodatek wcale nie zabezpieczają przed narastaniem napięć społecznych powodowanych możliwym naruszeniem interesów klasy robotniczej.

Takie m. in. wnioski można wysnuć z obserwacji ćwiczeń prowadzonych na seminariach nt. samorządności, organizowanych w Ośrodku Doskonalenia Kadry Przemysłu Chemicznego i Lekkiego „DOSKO” w Łodzi. W seminariach tych brał udział jednocześnie: przewodniczący rad pracowniczych, dyrektorzy, przewodniczący związków zawodowych i sekretarze zakładowych organizacji partyjnych. Szczególnie interesujące spostrzeżenia dostarczyło ćwiczenie polegające na inscenizacji posiedzenia rady pracowniczej, która zgodnie ze swymi kompetencjami stanowiącymi ma podjąć uchwałę w sprawie inwestycji. W inscenizowanym posiedzeniu dwu autentycznych przewodniczących rady grało rolę rady pracowniczej in corpore, dwu autentycznych dyrektorów rolę dyrektora i jego zastępcy do spraw technicznych. W charakterze gości na posiedzenie rady zostali zaproszeni — autentyczny przewodniczący związku zawodowego i sekretarz POP. W ten sposób wszyscy uczestnicy inscenizacji grali rolę zgodne z pełnionymi w rzeczywistości. Na posiedzeniu rady był rozważany wniosek dyrektora zmierzający do automatyzacji części produkcji. Z danych zawartych w opisie wynikało, że jest to inwestycja niewątpliwie mało efektywna, kosztowna, technicznie ryzykowna, społecznie zbędna. Mimo to w 16 razy granej inscenizacji, 15 razy rada pracownicza łatwo ulegała argumentacji dyrektora i wyrażała zgodę na podjęcie tej wyraźnie chybionej inwestycji. Tylko jeden raz zdarzyło się, że rada odrzuciła wniosek dyrektora, ale w tym przypadku było wiadome, że takie stanowisko rada zajęła, kierując się nie tyle rachunkiem ekonomicznym i racjami społecznymi, co raczej względami prestiżowymi, ambicjonalnymi. Zawodowi dyrektorzy doskonale sobie radzili z przewodniczącymi rad, choć zgodnie z zadaniem im rolę byli rzecznikami przedsiębiorstwa bardzo wątpliwą.

Inszenizacja ta dowiodła, że nawet aktywny kierowniczy rad pracowniczych, często posiadający wyższe wykształcenie, przegrywa w starciu z dyrektorem i nie jest w stanie znaleźć trafnych argumentów do obalenia rozwiązań, za którymi opowiada się dyrektor.

## NA CO STAĆ RADY PRACOWNICZE?

Właściwie są możliwe cztery rodzaje postaw i wynikających z nich decyzji:

— potakiwanie, pełna zgoda i akceptowanie decyzji podpowiadanych przez kadrę kierowniczą,

— bierność, unikanie decyzji, decydowanie „pitylskie”,

— dwuznaczność, że należy zrobić tak, albo odwrotnie, decydowanie tylko w sprawach błahych,

— manifestowanie siły, podejmowanie uchwał na każdy temat, żywiołowo „na odwrutkę”, żeby tylko zaznaczyć swe istnienie i władzę,

— podejmowanie uchwał w najistotniejszych sprawach przedsiębiorstwa i dokonywanie wyborów zgodnych z interesami klasy robotniczej.

Ale żeby ta czwarta możliwość mogła mieć miejsce jak najczęściej, musi ulec zmianie skład społeczny samorządu. Dlaczego zatem jest taki układ sił w radach pracowniczych? Dlaczego robotnicy, którzy są grupą liczebnie przeważającą, wybierają relatywnie tak dużo pra-

Zeby zarządzać przedsiębiorstwem (w skali strategicznej) wystarczy ocenić najistotniejsze dla przedsiębiorstwa programy, plany, projekty rozwiązań, opracowywane przez specjalistów lub kadrę kierowniczą i dokonywać wyboru zgodnie z interesami klasy robotniczej. Ale przecież, żeby ocenić i dokonać wyboru, też trzeba często dużej wiedzy specjalistycznej i doświadczenia, jakiego trudno wymagać od kolektywu robotniczego.

Wszystko zależy od tego, jak się przedstawi radzie robotniczej projekt lub program. Jeśli projekt przedstawia się jednostronnie, np. tylko przez dyrektora, który identyfikuje się z nim, to trzeba wiedzy równiejszej niż wiedzy dyrektora, żeby projekt rzetelnie ocenić i przyjąć lub z odpowiednim uzasadnieniem odrzucić. W podobnej sytuacji byłby lawnicy lub sąd przysięgłych (złożony ze zwyczajnych ludzi, nie mających żadnego wykształcenia prawniczego), gdyby przyszło im wydać wyrok na podstawie jednostronnego oświadczenia sprawy, np. tylko prokuratura lub tylko obrońcy. Ale ci sami lawnicy i przysięgli choć nie mają wiedzy prawniczej, mogą wydać wyrok równie sprawiedliwy (a czasem nawet bardziej sprawiedliwy, w potocznym tego słowa znaczeniu), jak zawodowi sędziowie.

Podstawowym warunkiem sprawiedliwego wyroku, jest prawidłowy proces, w którym oskarżyciel i obrońca, czyli specjaliści w dziedzinie prawa, wysuwają przed sądem argumenty za i przeciw, dowodzą własnych racji, zbijają racje i argumenty przeciwnika procesowego. W takiej sytuacji do wydania sprawiedliwego wyroku wystarczy naturalne, niejako wrodzone poczucie sprawiedliwości, ogólna wiedza, doświadczenie życiowe i zdrowy rozsądek. Wydaje się, że podobna procedura można by przyjąć w postępowaniu przed samorządem lub radą robotniczą. Każdy ważny problem, ustawowo przypisany do rozstrzygnięcia przez organ samorządu, powinien być prezentowany przez dwie przeciwstawne strony, które byłyby zobowiązane przekonać samorząd o słuszności swych racji i niesłuszności racji przeciwnika. Zadaniem samorządu byłoby jedynie ocena argumentów i dokonanie wyboru.

Nie można samorządu stawiać w pozycji strony i oczekiwać, że działający społecznie amatorzy, na marginesie swej pracy zawodowej, opracują alternatywne lub lepsze rozwiązania niż profesjonalna kadra kierownicza, dysponująca dostępem do wszelkich danych i korzystająca ze sztabu pomocników oraz specjalistycznych służb. Natomiast rada robotnicza, składająca się nawet tylko z samych robotników, jest w stanie ocenić i dokonać wyboru najbardziej korzystnego rozwiązania z punktu widzenia interesów klasowych. Oczywiście, pojedynczy robotnicy też mogą się mylić, dlatego moc wiążącą dla kierownictwa zakładu powinny mieć tylko te uchwały, które w kolektywie zapadły jednogłośnie lub prawie jednogłośnie. Nie powinno się decydować w żywotnych sprawach przedsiębiorstwa zwykłą większością głosów. Nie może być tak jak to często bywa, że na 15 członków rady, o becznych jest 13; głosuje 6 „za”, 5 „przeciw”, 2 się wstrzymało i wniosek przeszedł. Inaczej mówiąc, „proces” przed radą robotniczą powinien być prowadzony tak długo, dopóki wszyscy członkowie nie wyrobią sobie takiego samego poglądu na sprawę.

Kto mógłby lub powinien być antagonistą dyrektora przedstawiającym samorządowi czy radzie robotniczej odmienne rozwiązanie lub odmienne ocenę, czy pogląd na dyskutowany problem? Na pewno mógłby to być niezależny ekspert z zewnątrz, angażowany przez samorząd do zreferowania odmiennego, czy wręcz przeciwnego punktu widzenia. Czasami, nawet z inicjatywą dyrektora lub samorządu można by opracować alternatywne rozwiązania, potem przedstawiane radzie przez autorów. Być może kiedyś warto by utworzyć stanowisko swego rodzaju „antydyrektora” — etatowego przewodniczącego samorządu, o wysokich kwalifikacjach i doświadczeniu, zobowiązanego do wypracowywania alternatywnych rozwiązań i przedstawiania ich do oceny rady. Oczywiście rada robotnicza nie mogłaby podlegać „antydyrektorowi” — przewodniczącemu samorządu.

A nawiasem mówiąc, utworzenie stanowiska „antydyrektora” mogłoby być świetną szkołą dla rezerwy kadrowej na wyższe stanowiska kierownicze. Jeśli dalsza osobista kariera „antydyrektora” i awans na dyrektora byłby uzależniony od umiejętności wypracowania rozwiązań lepszych, czyli akceptowanych przez radę robotniczą, to niewątpliwie wpłynęłoby korzystnie na poziom projektów rozwiązań opracowanych również przez dyrekcję.

Samorządy i rady pracownicze jeszcze nie okrzepły, są strukturami plastycznymi. Należy zatem szukać doskonalszych rozwiązań.

Wydaje się, że modyfikacje powinny iść w 5 kierunkach:

— zwiększenie udziału robotników w radach lub wręcz do przekształcania ich w rady robotnicze,

— rozstrzygania najważniejszych problemów przedsiębiorstwa zgodnie z interesami klasy robotniczej,

— rezygnacji z dążenia do uczynienia z rad partnerów dyrektora, zdolnych do opracowywania, uzasadniania i bronięcia alternatywnych rozwiązań,

— przekazywania radom prawa swobodnej oceny alternatywnych rozwiązań, czyli dokonywania wyboru, po uprzednim postępowaniu spornym przed radą,

— wprowadzenia zasady jednomyślności (lub prawie jednomyślności) jako warunku prawomocności uchwał rady.

## CO ZATEM ROBIĆ

Przed wszystkim należy wrócić do idei rad robotniczych składających się w przeważającej części z robotników, co najmniej proporcjonalnie do ich udziału procentowego w załodze. Ale wtedy poziom wykształcenia członków rad znacznie się obniży i będą one jeszcze mniej zdolne do analizy skomplikowanych problemów współczesnego przedsiębiorstwa, do wypracowywania rozwiązań optymalnych z punktu widzenia kryteriów ekonomicznych, społecznych i politycznych. Dążenie do nasycenia kolektywów robotniczych pracownikami umysłowymi, inteligencją pracującą, wynika z błędnego założenia, że kolektywy te muszą zajmować się projektowaniem decyzji, ich uzasadnianiem i obroną.



**S**ytuacja uległa zasadniczej zmianie po 4 listopada. W dniu tym, jak głosi komunikat, I sekretarz KC PZPR, Prezes Rady Ministrów, gen. armii Wojciech Jaruzelski spotkał się z prymasem Polski, ks. arcybiskupem Józefem Glempem, i przewodniczącym KK NSZZ „Solidarność” Lechem Wałęsą. Komunikat był krótki, ale treściwy. „Podczas spotkania — głosi — wymieniono poglądy na temat sposobów przezwycięzania kryzysu, w jakim znalazł się kraj, jak też możliwość utworzenia frontu porozumienia narodowego — stałej płaszczyzny dialogu i konsultacji sił politycznych i społecznych na gruncie zasad konstytucyjnych PRL. Uznano to spotkanie jako pożyteczne, a jednocześnie przygotowawcze do dalszych konsultacji merytorycznych”.

— **Kto wystąpił z inicjatywą spotkania?**  
Na pewno nie przywódcy „Solidarności”. Do spotkania doszło w wyniku woli objawionej przez pozostałych jego uczestników. Spotkanie było logiczną konsekwencją tego, co powiedział w swym wystąpieniu sejmowym W. Jaruzelski.

— **Co było dalej?**  
Zanim odpowiem na to pytanie, musimy odnotować przebieg posiedzenia Komisji Krajowej „Solidarności”, które rozpoczęło się w Gdańsku 3 listopada, a więc w przeddzień spotkania. Jak już mówiliśmy, 30 października Prezydium KK przyjęło uchwałę wzywającą wszystkie ognia Związku do zaprzestania akcji strajkowych. Na posiedzeniu KK sprawa ta ponownie stała na porządku dnia. Ekstremalna część KK krytycznie odnosiła się do wspomnianej uchwały. Tak np. Andrzej Gwiazda dowodził, że apele o przerwanie strajków lokalnych, to zwyczajne oszukiwanie ludzi.

To prawda, że nie miała liczba mówców wypowiadać się za przerwaniem strajków, ale w każdym konkretnym przypadku dochodziło do wniosku, że strajk powinien trwać dopóty, dopóki nie zostaną przez władze uwzględnione postulaty strajkujących. W pierwszym dniu obrad wystąpił także Marian Jurczyk, przewodniczący Regionu Pomorza Zachodniego. Zajął się przede wszystkim zamiarem ogłoszenia strajku przez budowlanych tego Regionu. Na apel krajowego kierownictwa „Solidarności” strajk został wprawdzie odwołany, ale — dowodził Jurczyk — pozostają jego przyczyny. Jeśli nadal będzie tak ze zaopatrzeniem w cement, mówił, to trzeba będzie zwołać 30 proc. ludzi z pracy. Budowlani chcą strajkować przeciw takiej perspektywie. Odnotowując wypowiedź Jurczyka, ponieważ była ona nader charakterystyczna dla sposobu myślenia, jaki zagnieździł się w „Solidarności”. Postanowiono strajkować przeciwko malejącym dostawom cementu, ale przecież spadek produkcji cementu nie był skutkiem jakiejś złośliwości nacechowanej decyzji rządu. Praprzeczną było pogorszenie się sytuacji gospodarczej w wyniku wyniszczających ją bezustannych strajków inicjowanych, nie przez kogo innego, jak właśnie przez „Solidarność”. Było to nieprawdopodobne pominięcie z popłatami. Był jednak i takie opinię „Solidarności”, głównie szczebla zakładowego, które posłuchały apelu Prezydium KK o zaprzestanie strajków. To prawda, że nie stanowiły one większości, ale byłoby nader niesprawiedliwe niedostrzeżenie ich.

Jurczyk, podobnie jak wielu innych mówców, domagał się, aby Komisja Krajowa wysłała zaproszenie do premiera, by przybył na posiedzenie KK i na miejscu rozstrzygnął wszystkie problemy. Rząd ma służyć narodowi, dowodził, a jeśli tego nie będzie czynił, to trzeba go zmienić. Takim to językiem przemawiano w listopadzie 1981 roku. Pod koniec października, nazwisko Jurczyka pojawiło się w całej polskiej prasie. 25 października przybył on na spotkanie z aktywnym „Solidarności” w Fabryce Mebli w Trzebiatowie i wypowiedział tam sporo myśli, które 30.10. upowszechniła Polska Agencja Prasowa. Szef Regionu nazwał posłów i rząd „zdrajcami społeczeństwa polskiego”, oświadczył, że czas na pieczęć siły, skończył; z nami, powiedział, liczy się cały świat, a jeśli liczy się z nami świat, to tym bardziej musi się liczyć nasz „szczęśliwy przyjaciel” — Związek Radziecki. Stormuował także wiele zarzutów pod adresem kierownictwa państwowego, stwierdzając, że niektórzy jego członkowie noszą przybrane nazwiska. Trzy czwarte władz polskich stanowią Żydzi, oświadczył. Zapowiedział usuwanie komitetów partyjnych z zakładów pracy; domagał się rozliczenia osób odpowiedzialnych za wydarzenia 1956 i 1970 roku, powiedział: „Być może, że dla niektórych osób trzeba będzie wybudować szubienicę i powiesić je”. Nie oszczędził także mojej osoby powtarzając to, co powiedział na konferencji prasowej, o której już mówiliśmy.

Wystąpienia Jurczyka było dla wielu uczciwych członków „Solidarności” wielkim wstrząsem. Spotykałem w tym czasie ludzi, którzy po prostu nie chcieli uwierzyć, że mógł on coś takiego powiedzieć. Raczej skłonni byli dać wiarę tym, którzy bez przerwy wmawiali opinię publiczną, że „prasa kłamie”. Jurczyk postanowił się bronić. W dniu 5 listopada na adres marszałka Sejmu, Stanisława Gucwy nadszedł jego „list otwarty”. Wykorzystując błąd agencji, która podała, że Jurczyk odbył spotkanie w dniu strajku ostrzegawczego, tj. 28.10., podczas gdy faktycznie odbyło się ono 25.10., co PAP następnego dnia sprostowała, stwierdził, iż: „Oświadcza, że w dniu 28 października 1981 r. nie byłem w Trzebiatowie, nie uczestniczyłem w spotkaniu załogi tamtejszej fabryki mebli, w tym czasie i miejscu nie wypowiadałem się na żaden temat”. Informację PAP określił jako kompilację pomówień i insynuacji, „słów” wypowiedzianych przeze mnie przy innych okazjach, cytów wyrwanych z kontekstu różnych wywiadów i przemówień, także z innego spotkania w Trzebiatowie. „Słabutka to była linia obrony i w związku z tym, PAP ogłosiła komunikat informujący, że taśmy z nagraniem przemówienia wygłoszonego przez Jurczyka w Trzebiatowie, z którego cytaty zostały opublikowane w prasie oraz nadane w radiu i telewizji, są do dyspozycji i mogą być na życzenie władz NSZZ „Solidarność” im udostępnione. Nikt z takim żądaniem do agencji się nie zwrócił. Natomiast rzeczniczka prasowa Komisji Krajowej, Marek Brunne w dniu 4 listopada oświadczył, że wypowiedź Jurczyka nie była oficjalnym stanowiskiem KK. Być może, dodał, że Komisja Krajowa w ogóle tą sprawą się nie zajmie chociażby dlatego, że ogłoszono oficjalnie komu-

nikat o wszczęciu przez prokuraturę śledztwa. Tym razem przyszłowiowa deska ratunku okazała się... prokuratura. Zabrakło też strumienia teleśnych protestujących przeciwko „prowokacji władz” wobec działaczy „Solidarności”, jak to na ogół bywało, gdy piętnowano postępowanie niezgodne z prawem, bądź naruszające podstawowe zasady współżycia między ludźmi.

Po tej jurczykowej aferze powróćmy do Gdańska. Czwarty listopada był drugim dniem obrad Komisji Krajowej. Wałęsa był już poinformowany, że po południu odbędzie się spotkanie z jego udziałem. Poprzedniego dnia był w Warszawie, gdzie rozmawiał z Prymasem. Jest zrozumiałe, że nie wiem, o czym Prymas rozmawiał z przewodniczącym Związku, ale mogę się domyślać, iż nakłaniał go do zalecenia postawy pojednawczej w nadchodzącym spotkaniu. Wałęsa poinformował więc członków KK, że jeszcze przed południem będzie musiał wyjechać do Warszawy. No i zaczęło się. Przewodniczący Związku znalazł się pod ostrzałem ekstremistów. Najbardziej krewki

## Czasy nadziei i rozezarów

# Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

był Rulewski, który uważał, że to nie Wałęsa powinien pojechać do Warszawy, lecz Jaruzelski winien zjawić się w Gdańsku. Wołał do Wałęsy: Chcesz zrobić prezent premierowi w postaci wykasowanych strajków, i domagał się od niego, aby przedstawił program, z którym pojedzie na spotkanie. Wałęsa odparł: „Twój program ja też znam — róbmy bałagan, żeby wszyscy wiedzieli, że „Solidarność” nie panuje nad sytuacją. O to ci chodzi...”. Kilka członków KK zaprotestowało przeciwko temu, by Wałęsa sam udał się na spotkanie, jako że swego czasu uchwalono, że przewodniczący nie będzie rozmawiał ze stroną rządową w pojedynkę. Wałęsa replikował: Skoro tak, to proponuję nowy zjazd i wybór nowego przewodniczącego. W coraz bardziej zaostrzającym się sporze wtrącił się Wądołowski, który powołując się na wyniki ankiety, z której wynikało, że większość członków „Solidarności” wypowiada się za negocjacjami, a nie za konfrontacją, stwierdził, że to właśnie Wałęsa, a nie kto inny powinien rozmawiać z premierem. Po nim zabrał głos niejaki Zygmun Rolicz, który oświadczył, że nadszedł chyba czas na zmianę przewodniczącego Związku. W końcu zwyciężył jednak Wałęsa.

Burliwa dyskusja, jaka wywiązała się po oznajmieniu przez Wałęsę członkom KK, że wybiera się na spotkanie, skłania do pomyślenia kilku uwag. Po pierwsze, była ona kolejnym dowodem, iż anarchosyndykalizm zapuścił głębokie korzenie w „Solidarności”; po drugie, wręcz nieprzystojne ataki Rulewskiego i innych ekstremistów potwierdzały trafność znanego przysłowia, że „kto sieje wiatr, ten zbiera burzę”. To przecież czołwika „Solidarności”, łącznie z Wałęsą, przez wiele miesięcy podgrzewała nastroje walki z władzą, obiektywnie zachęcała do przyjmowania postawy konfrontacyjnej, a więc sama przyczyniała się do wyhodowania ekstremy, która wprowadziła Związek na tory wiodące do samozniszczenia.

I wreszcie wniosek trzeci. To, co powiedział Wądołowski o wynikach ankiety, było potwierdzeniem słuszności stanowiska, jakie zajmowaliśmy w ocenie stosunku mas członkowskich — przywódcy „Solidarności”. Powtarzam: mieliśmy rację odwołując się do robotniczego nurtu w „Solidarności”, mówiąc, że miliony ludzi pracy wstąpiły do Związku nie po to, by walczyć z socjalizmem, lecz by w naszym kraju było więcej socjalizmu, więcej sprawiedliwości społecznej, więcej szacunku dla robotnika. Nieśczęście polegało na tym, że o kierunkach działania „Solidarności” decydowali ludzie o zapatrzywaniach prawicowych, których wspierała szybko rosnąca wielotysięczna grupa demagogów, osobników żądnych taniego poklasku, władzy itp....

A więc Wałęsa wyjechał do Warszawy. Pod jego nieobecność Komisja Krajowa przyjęła uchwałę stwierdzającą, że jeśli w przeciągu trzech miesięcy rozmowy z rządem na temat utworzenia Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, problemów związanych z reformą gospodarczą, dostępu do radia i telewizji nie doprowadzą do nowego porozumienia społecznego, to Komisja Krajowa zgłasza gotowość ogłoszenia strajku generalnego. A więc szantaż strajkowy? Inaczej tej decyzji nie można było określić. Chce zwrócić uwagę, że uchwała została przyjęta w tym samym dniu, w którym Jaruzelski, Glemp i Wałęsa rozmawiali o pilnej konieczności osiągnięcia porozumienia narodowego. Bezstronny obserwator nie mógł nie dojść do wniosku, że Komisja Krajowa zaprezentowała szczyty nieodpowiedzialności politycznej. Godzi się także przypomnieć, że zagrożenie strajkiem generalnym nastąpiło po przyjęciu przez Sejm uchwały wzywającej do zaprzestania strajków. Dla tej części działaczy „Solidarności”, którzy byli konfrontacyjnemu kursowi przeciwni, a także dla tych dostojników Kościoła, którzy aktywnie działali na rzecz osiągnięcia rzeczywistego porozumienia narodowego, uchwała Komisji Krajowej była poważnym wyzwaniem. Należy przypuszczać, że właśnie z tych kręgów wyszedł nacisk na Wałęsę, co znalazło swój wyraz w opublikowaniu w dniu 7 listopada oświadczenia. Prezydium KK „Solidarności”, stwierdzając, że w związku z niejednolitością interpretacji uchwał podjętych podczas ostatniego posiedzenia Komisji Krajowej i równoległego oświadczenia dotyczącego spotkania w Warszawie, Prezydium komunikuje, iż KK w negocjacjach z władzami państwowymi jest i będzie gotowa do ustępstw i szukania kompromisów uzasadnionych naczelnym dobrem całego polskiego społeczeństwa. Dalej czytamy w oświadczeniu, że Związek nie uznaje sobie prawa do wyłączonej reprezentacji całości społeczeństwa polskiego. To było coś nowego. Związek, stwierdzało także Prezydium, uznaje konieczność uwzględniania poglądów wszystkich sił społecznych gotowych do działań na rzecz naderżnego dobra wszystkich obywateli PRL. Jakakolwiek interpretacja podjętych ostatnio

przez Komisję Krajową uchwał, czytamy w oświadczeniu, sprzeczna z dwoma powyższymi zasadniczymi stwierdzeniami nie odpowiadała by porozumieniu społecznemu z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia oraz naruszała by „także statut naszego Związku zgodny w swej treści z Konstytucją PRL”. Podpisał, za Prezydium KK, Lech Wałęsa.

— Obawiamy się, że w natłoku wydarzeń wielu ludzi nie dostrzegło wagi tego oświadczenia. Zawarte w nim sformułowania „otworzyły przecież nową perspektywę dla ustanowienia pokoju społecznego”.

Co się tyczy kierownictwa politycznego i państwowego kraju, to treści zawarte w oświadczeniu nie zostały zbagatelizowane, ale wszystkie doświadczenia nagromadzone w obcowaniu z przywódcami „Solidarności” przetrząsały przed wpadaniem w euforię. Należało pamiętać o znanym przysłowiu, że jedna jaskółka nie czyni wiosny.

— **Czy nie przesadna ostrożność?**  
Nie sądzę. W miesiącach dzielących nas od sierpniowych porozumień siliśmy już wiele pięk-

nych słów wypowiedzianych przez przywódców „Solidarności”, sporo zapewnień o dążeniu do osiągnięcia porozumienia itp. A potem następowala praktyka całkowicie sprzeczna ze składanymi obietnicami. Należało więc zachować wobec oświadczenia postawę wstrzymiwości, odczekać aż wyjaśni się, czy to, co w nim powiedziano, jest rzeczywiście ilustracją reorientacji, jaka dokonana się wśród członków Prezydium, czy też mamy do czynienia ze skutkami olbrzymiej presji, pod jaką w tych pierwszych dniach listopada znaleźli się przywódcy „Solidarności”. Presja nadeszła z trzech kierunków. O jednym, kościelnym, już mówiliśmy. Drugi to nadzieje, jakie powstały w społeczeństwie po opublikowaniu komunikatu o spotkaniu Jaruzelski — Glemp — Wałęsa, i trzeci — komentarze w prasie światowej. Kilka przykładów. „Le Matin” (Francja): „Spotkanie bez precedensu...”; „La Stampa” (Włochy): „Historyczny zwrot w burzliwych polskich wydarzeniach”; Agencja AP (USA): „nie mające precedensu spotkanie na szczycie”; „Guardian” (W. Brytania): „najważniejsze wydarzenie od 15 miesięcy...”.

W relacjach zachodniej prasy z Warszawy i Gdańska dominował jeden ton: spotkanie stanowi jedną z ostatnich szans na opanowanie sytuacji w Polsce i przerwanie strajków. Nie zabrakło w nich także bardzo krytycznych uwag o zgubnej dla Polski i Związku działalności sił ekstremistycznych. „Unita”, organ Włoskiej Partii Komunistycznej, stwierdził, że „dla niektórych eksponentów „Solidarności” wszelka perspektywa porozumienia politycznego z władzą jest nie do przyjęcia”. Agencja AP opisując przebieg obrad KK, użyła określenia „kłótnia jak w cyrku”. W „Los Angeles Times” profesor prawa, R. B. Lubie opublikował artykuł, w którym napisał, że wyjście z obecnej sytuacji w Polsce jest możliwe tylko wówczas, jeśli siły ekstremalne w „Solidarności” zostaną przekonane przez siły umiarkowane i Kościół, że należy skończyć ze strajkami i polać swoje siły z rządem dla odbudowy kraju. Nie popełnił błędów, jeśli stwierdził, że przywódcy „Solidarności” nie mogli nie brać pod uwagę tego, co pisała wówczas prasa zachodnia. Wszak była ona przez wszystkie te burzliwe miesiące szczerym sojusznikiem „Solidarności”, a w gruncie rzeczy czymś więcej — bezkrytycznym chwalcą wszystkich poczyną Związku. Teraz, w listopadzie, nagle zaczęła głośno wołać, że nadciąga wielkie niebezpieczeństwo, i że w „Solidarności” źle się dzieje. Odnotowując niepokój, który w listopadzie ogarnął większość komentatorów prasy zachodniej, godzi się jednak przypomnieć, że ci sami panowie po 13 grudnia jakby zapomnieli o przesłanach wygłaszanych pod adresem „Solidarności” i wstąpił do systematycznego atakowania suwerennej decyzji podjętej przez najwyższe władze państwa na gruncie Konstytucji PRL. A przecież nie są głupcami; późną jesienią 1981 roku, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że kurs, jaki obrali przywódcy „Solidarności”, obiektywnie rzecz biorąc, musiał doprowadzić do takiego właśnie, a nie innego rozwiązania. Stwierdzam to bez cienia pretensji, odnotowując jedynie fakt, który można rzecz jasna oceniać zarówno w kategoriach politycznych, jak i moralnych. No, ale mniejsza z tym. Nie ja przecież jestem ich dysponentem.

— Spróbujmy zebrać naszym zdaniem nowe elementy sytuacji, jaka powstała na przełomie października i listopada 1981 roku. General J. Jaruzelski zgłasza propozycję powołania Rady Porozumienia Narodowego, Sejm przyjmuje apel o zaprzestanie strajków i formułuje jednocześnie dające wiele do myślenia ostrzeżenie, Komisja Krajowa grozi strajkiem generalnym, Wałęsa jedzie do Warszawy, spotyka się z premierem i Prymasem, Prezydium KK dezawuuje uchwały Komisji Krajowej. Wszystkie te fakty pozwalały żywić nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone, że istnieje szansa wyjścia na prostą. Tak sądziło wówczas wielu ludzi.

No cóż, były to fakty rzeczywiście bardzo ważne, i tak zapewne oceni je historyk, ale i on nie będzie mógł rozpatrywać ich w oderwaniu od tego wszystkiego, co późną jesienią przynosił każdy po sobie następujący dzień. Zwracam uwagę, że nadal trwały strajki, spadała produkcja przemysłowa, kurczył się eksport, półki były przeraźliwie puste, mnożyły się przypadki naruszania prawa. Kształtująca się wówczas rzeczywistość miała różne oblicza. Jedno tworzyły fakty, które wymieniliśmy, drugie — wydarzenia wymienione przeze mnie. Które było bardziej wyraziste? Oczywiście to drugie, co jest zrozumiałe, bo przecież strajki oraz inne wysoce niekorzystne zjawiska wypełniały trwającą już kilkanaście miesięcy codzienność.

Opinia publiczna przyjęła wydarzenia, o których mówimy, a przede wszystkim spotkanie Jaruzelski — Glemp — Wałęsa, rzeczywiście

z nadzieją, że może ono urealnić osiągnięcie bardzo już w tym czasie upragnionego pokoju społecznego. Propozycja powołania Rady Porozumienia Narodowego, jako pierwszego, ale bardzo ważnego kroku w tym kierunku spotkała się z powszechnym poparciem organizacji, stowarzyszeń, związków, przedstawicieli nauki, kultury, a także Episkopatu. W gruncie rzeczy przez cały listopad na adres szefa rządu bezustannie napływały oświadczenia, rezolucje wzywające wszystkie siły patriotyczne do zjednoczenia wysiłków w celu powstrzymania pogłębiającego się kryzysu społeczno-gospodarczego. Najmniej przejawów poparcia nadchodziło z szeregów „Solidarności”, chociaż nie brakowało przykładów budujących. O dwóch takich chciałbym kilka słów powiedzieć. W pierwszych dniach listopada otrzymaliśmy kopię apelu Oddziału NSZZ „Solidarność” w Dziadowie, województwa ciechanowskiego, należącego do Regionu Mazowsze, w którym na wstępie stwierdzono, że „jedynie wspólne działanie nas wszystkich może doprowadzić do przetrwania zbliżającej się zimy, a jednocześnie postawić pierwszy krok na drodze do wyprzedzenia naszego miasta i gminy z zaistniałej sytuacji, którą w tragiczny sposób odczuwają nasi mieszkańcy. Siadamy przy jednym stole, zastanawiamy się, co możemy zrobić dla społeczeństwa miasta i gminy”. Rola gospodarza spotkania proponowali naczelnikowi miasta i gminy, jako jednemu gospodarzowi terenu. Apel zawierał także następujące zdanie: „Nie łatwym tego co nas dzieł, w takich, czy innych sprawach. Zjednoczony nasz wysiłek i energia na tym, co mamy wspólne — interes społeczeństwa, które nam zawierzyło i wymaga od nas konkretnego działania w tych ciężkich czasach”. Adresatami apelu była partia, stronnictwa sojusznicze, organizacje młodzieżowe i społeczne, związki branżowe, istniejące jeszcze Front Jedności Narodu oraz Kościoły. Może ktoś zapyta: coż znaczy jeden taki apel w obliczu wielkiej fali demagogii, która przez wiele miesięcy zalewała kraj. Oczywiście, że jeden apel, a nawet kilka lub kilkadziesiąt nie mogło służyć za przykład, iż „Solidarność” dokonuje odwrótu od dotychczasowej linii, ale powołuję się na ten przykład, bowiem był on dowodem, że w szeregach Związku nie brak było ludzi rozsądnych, patriotycznie reagujących na sytuację, w jakiej znalazł się kraj. Gdyby przywódcy „Solidarności” zarówno szczebla krajowego, jak i regionalnego działali w tym duchu, co autorzy apelu, to jestem przekonany, że uzyskaliby poparcie jeśli nawet nie wszystkich, to na pewno znacznych odłamów Związku. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że byli bardzo dalecy od takiego traktowania spraw polskich. Przywódców „Solidarności” przez myśl by nie przeszło, że mogą się zwrócić np. do Frontu Jedności Narodu, nie mówiąc już o branżowych związkach zawodowych.

Drugi dokument, jaki wówczas wpadł mi w ręce, to pismo do Jaruzelskiego nadesłane przez Komisję Zakładową „Solidarności” działającą w Stołecznym Biurze Imprez Artystycznych: „Przesyłamy, pisali autorzy listu, na Pana ręce pismo, które skierowaliśmy do naszych kolegów dla poparcia Pana działań zmierzających do zmiany stylu pracy w Polsce”. W załączonym piśmie, do wszystkich pracowników SBIA, a zwłaszcza do członków „Solidarności” znalazło się jedenaście „przykazan”. W gruncie rzeczy niemal banalnych, ale jakże słusznych. Pierwsze „przykazanie” głosiło: od jutra przychodzimy do pracy punktualnie; drugie: w zakładzie nie markujemy pracy, nie czekamy na pracę, ale sami ją wyszukujemy i tworzymy, czas przez państwo zapłacony (a więc „z naszej kieszeni”) poświęcamy na autentyczną pracę zawodową...; ósme: kłómy się, ale w imię jakiegoś celu, ideału, problemu, tylko przy tym nie obrażamy się na siebie; i jedenaście: zerwijmy z działaniami pozornymi, zabawą w pustostwie, nie kończącymi się dyskusjami, jako dewizę naszego postępowania przyjmijmy konkretne działanie dla dobra przedsiębiorstwa, a może jeszcze trochę więcej... Tak, gdyby Wałęsa i jego koleżdy tak właśnie rozumieć swoją rolę w społeczeństwie, to zapewne inny byłby bieg zdarzeń. No, ale jest to klasyczne gdybanie.

Propozycja utworzenia Rady Porozumienia Narodowego oraz spotkanie Jaruzelski — Glemp — Wałęsa spowodowały ogromne ożywienie dyskusji wokół porozumienia narodowego. Dyskutowano na zebraniach organizacji partyjnych, w stronnictwach sojuszniczych, środowisku katolików świeckich, na różnego rodzaju spotkaniach oraz w środkach masowego przekazu. Była to bardzo nośna idea. Uczestniczyłem w tych dyskusjach, podczas których usłyszałem sporo interesujących, mądrych uwag. Przecież nie brak u nas ludzi światłych. Jeśli w kontekście rozwoju wydarzeń w Polsce po sierpniu 1980 roku, zakończonych wprowadzeniem stanu wojennego, można mówić o dramacie narodowym, to polegał on m. in. na tym, że najbardziej światła część społeczeństwa z wielu różnych przyczyn nie zdolała powstrzymać fatalnego w skutkach biegu zdarzeń. Uważam, że warto wydobyc z opinii, jakie wówczas można było usłyszeć na spotkaniach, w telewizji i radiu oraz przeczytać w prasie, kilka powtarzających się myśli. Jedną z nich dotyczyła przyczyn popularności idei utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego. Zdaniem wielu dyskutantów wynikało to nie tylko z poszukiwania skutecznego środka, który spowodowałby przebudzenie narodu oraz pojawienie się na scenie masową zaufania do władzy, lecz również z powszechnej świadomości, że stare struktury władzy zaprzeczają posierpniowemu realiom i rozbudzonemu na nowo aspiracjom społeczeństwa, a więc w utworzeniu Frontu Porozumienia Narodowego widziano także otwarcie procesu prowadzącego do poszerzenia bazy rządzenia. Gdy na jednym ze spotkań usłyszałem ten pogląd, to nie kwestionując zasadności ostatniego jego członu — mówiliśmy przecież o tym na IX Zjeździe partii — polemizowałem z poglądem, dotyczącym „starych struktur władzy”. Powiedziałem wówczas, że są takie struktury, które się sprawdziły, a więc winny pozostać, są inne, wymagające zastąpienia przez nowe.

Powszechnie powtarzała się też myśl, że powinno nastąpić porozumienie różnych orientacji i poglądów na rzecz wspólnych celów narodowych, pod warunkiem, że fasadowy u-niformizm zostanie zastąpiony przez jedność w różnorodności.

CDN.



W przyszłości — scenariusz podobnych zdarzeń zawsze jest ten sam.

Zupełnie nieistotne jest kto pierwszy dostrzeże oznaki, plamy skazy na szkle, czy cokolwiek bądź innego. Nieważne jest kiedy i jakimi drogami wieść przedostaje się do wiadomości szerokich mas. Najpierw „jedna pani, drugiej pani” w sklepie, w pracy przez telefon. Potem już rozpędza się znajoma machina. Na imię jej „coś się dzieje”. Nieważne co. Tak samo wywoła poruszenie i ciekawość wiadomość o tragicznej katastrofie z licznymi ofiarami. Na miejsce zdarzenia ciągną będa pielgrzymki, żeby na własne oczy zobaczyć, nasycić się widokiem „wspaniałej katastrofy”. Ten sam mechanizm pcha tłumy do oglądania pożaru. Ani pomóc nie pomogą, ani potrzebni, ale stoją kregiem, komentują, wymieniają plotki. Coś się dzieje! Nareszcie coś odmienni, wstrząsnie codzienną rutyną zajęć, wiecznie tych samych powinności i śmiertelnie nudnych dni. Dokładnie ten sam motor trzyma przy życiu odpusty i jarmarki, nawet gdy już kompletnie zatracili swą funkcję handlową. Ale pozostały wydarzeniem towarzyskim. Dają szansę uświadomienia sobie, że człowiek jest zwierzęciem stadnym i od czasu do czasu potrzebuje doświadczyć przeżycia zbiorowego, zespolenia emocjonalnego z członkami tej samej społeczności.

A jak już coś się wydarzyło, nieodmiennie rusza machina biznesu. Najpierw pojawia się „etatowi naoczni świadkowie”. To oni widzieli na własne oczy początek cudu i tylko oni mogą zaświadczyć ponad wszelkie wątpliwości, że nie jest to żadna blaga jeno cud najprawdziwszy. To oni potrafią właściwie zinterpretować niejasny początkowo domysł. To oni pomagają zrozumieć, rozwieją wątpliwości, przekonają. To z nich rekrutują się potem „oprowadzacz” wycieczek przybywających na miejsce niezwykłego wydarzenia.

Zawsze, gdy „coś się dzieje”, znajdzie się choćby jeden taki, który poczuje w sobie powołanie wodza. To on spełnia spontanicznie funkcję pobudzającą i utrwalającą nastrój tłumy. Podtrzyma opadające napięcie emocjonalne, zagrzeje do gorętszego entuzjazmu. Zależnie od okoliczności, ale z żelazną logiką rozwoju takich wydarzeń, spontaniczny „przodownik stada” ujawni się w różnych postaciach. Będzie tym, który szczycie gawieź przeciw „wrogowi” — tak rodziły się zawsze wszelkie pogromy Żydów, innowierców, cudzoziemców. Będzie wieść lud na barykady zagrzewając do boju. Albo — jak w przypadkach nadprzyrodzonych cudów — podgrzeje emocje jako naoczny świadek cudownych uzdrowień, nagłych nawróceń zatwardziałych bezbożników lub też wyraźnych znaków dawanych przez świętą osobę ku przesłuchaniu niesfornej trzody. Rzadko zdarza się, by tacy naturalni wodzowie przyjmowali na siebie tę rolę świadomości i z wyrachowaniem. Przeważa nagły impuls uwalniający głębokie kompleksy lub niewytłumaczalną potrzebę akceptacji.

Następnie pojawiają się kramarze. Rozłożą swe stragany ze świecami i ośmiernymi zniczami. Pojawia się przekupki z wiadrami kwiatów, zjadą się przekupnie dewocjonalów, cukrowej waty, obwarzanków, odpustowych pamiątek. A zaraz za nimi — okoliczne chłopstwo upłynni nadwyżki warzyw i owoców, popłynie farsa za wynajem kwater, wólt i prawo parkowania.

Wszystko to wystarczy, by do miejsca nowo odkrytego cudu pociągnęły pielgrzymki. Osobno i grupami, z wycieczką w zakładowym autokarze i pieszo z bliska i z daleka. Przybędą ludzie, zapalą świece, położą kwiaty i zanosić będą pienia błagalne. Jedni upatrywać w cudzie będą oznak gniewu bożego i czekać będą na rychły dzień sądu. Inni — przeciwnie, dostrzegą w cudzie dowód boskiej opieki. Ale nikt, nawet głęboko przed sobą samym nie ośmieli się głośno przyznać do rozterki, czy to co widzi jest zaiste cudowną obecnością, czy też jedynie rysunkiem słoików drzewa, skaza techniczną na szkle. I niczym więcej. Nie przyzna się, bo gorąco pragnie przeżyć osobiste uczestnictwo w niezwykłym wydarzeniu, bo chce wierzyć, że to co widzi, lub udaje, że widzi, jest właśnie tym, czego się spodziewa.

A tłum ogarnięty gorącą emocją nie toleruje niedowiarków. Natychmiast wypycha ich ze wspólnoty przeżywania. Tłum nie ścierpi trzeźwego racjonalizmu, stanie się okrutny. Bez zastanowienia ukamieniuje bliźniego w imię Boga nakazującego miłować bliźniego.

Swoje doloża też dziennikarze. Klusem zleca się opisywać jeszcze jeden, osiemnast pięćdziesiąty słodny przypadek zbiorowego obłędu. Gazety kochają takie tematy — samograje, napędzające czytelników, podnoszące nakład. Kochana publiczność uwielbia przecież czytać soczyste reportaże z miejsca zdarzeń. Im barwniejszy będzie opis w gazecie tym lepiej środki masowego informowania spełnią rolę środków masowego rażenia. W ludziach wciąż przecież tkwi mniemanie, że skoro już gazety o tym piszą, znaczy coś jest na rzeczy i trzeba to naocznie sprawdzić.

Właściwie do tego miejsca wszystko jest w normie. To znaczy mieści się w ramach psychologii społecznej. Dalej — zaczyna się już nasza prywatna narodowa specyfika. Dość niepojęta dla postronnych, ale doskonale mieszcząca się w polskiej „logice obrotowej”. To ten właśnie wynalazek powoduje, że na całym świecie robi się wielkie pieniądze na budownictwie, a u nas dopłaca się do interesu i podłiera stosami papieru sypiące się mury.

PRL w swych funkcjach wychowawczych, oświatowych i informacyjnych chce upowszechniać światopogląd laicki: naukowy, racjonalny i nie jest to proceder, którego należy się wstydić, ukrywać, bądź udawać przed zwolennikami „innego światopoglądu”, że tak nie jest. Nie oznacza to przecież bynajmniej, że władza w Polsce zabrania komukolwiek wyznawania idei odmiennych niż laickie, zakazuje pobierania nauki religii i stawia żądania przed wejściem do kościoła.

Byłoby szczytem zakłamania nie pamiętać o faktach dowodzących czegoś wręcz przeciwnego. Walki o krzyże w państwowych instytucjach, szikanowanie dorosłych odstających od swego środowiska zdeklarowaną świeckością poglądów, przykrości wyrażane dzieciom nie uczęszczającym na religię, tak ze strony



Foto: Grzegorz Gajdański

## Opium masowego rażenia

równieśników, jak dorosłych. Mało to pojawia się prasowych wzmianek o faktach, postawach, zachowaniach dowodzących istnienia wcale częstego terrorku. Terrorku wymierzzonego w ludzi nie identyfikujących się z religią katolicką.

Doszlismy tedy do kwestii, jak sądzę, najściślej związanej z zjawiskiem eskalacji cudownych wydarzeń w naszym kraju.

Najpierw jednak przypomnieć trzeba oczywiste fakty. Dyrektywą praktyki i strategii politycznej władzy państwowej w Polsce jest zasada pokojowego współistnienia z Kościołem katolickim i wszystkimi innymi kościołami obecnymi w naszym kraju. Zasada ta opiera się na całkowitym rozdzieleniu państwa i Kościoła oraz uznaniu prawa każdego obywatela do swobody sumienia i wyznawania wybranego światopoglądu. Na obie więc strony nakłada obowiązek wzajemnego poszanowania swych racji filozoficznych i ideowych oraz starannego przestrzegania podziału ról i kompetencji. Jakkolwiek krętymi drogami chadzały w przeszłości powojennej stosunki państwo-Kościół, zasadnicze znaczenie ma to, co jest teraz i co budujemy na przyszłość. Pokojowe współistnienie nade wszystko jednak oznacza, iż układają się równy z równym.

Tymczasem właśnie w tym momencie daje się zauważyć pewne niedobre pęknięcia. Z jednej strony — władza państwowa ze swym arsenałem instrumentów politycznych, administracyjnych oraz założeniami programowymi — wpływa w duchu świeckim na stan świadomości i kształt życia społeczeństwa. Z drugiej — również oczywisty fakt, iż znaczna część tegoż społeczeństwa uznaje się za katolików lub co najmniej deklaruje swój światopogląd jako religijny, tym samym wyznacza rolę i rangę społeczną instytucji Kościoła katolickiego. Obie więc strony mają w ręku atuty społecznie ważne, choć po stronie władzy leży większa odpowiedzialność za stan tych stosunków. Wielekroć potwierdzana wola poszanowania i uznania pozycji Kościoła oraz delikatność względem uczuć religijnych katolickiej części społeczeństwa przybiera jednakże często postać nadmiernej wstrętności i groźnego w skutkach unikania rzetelnej dyskusji. Uczciwe starcie racji, mądra i uważna analiza społecznych poczynań Kościoła przeradza się w politykę „być nie drażnić”. To jest krótkowzroczność polityczna, bowiem uniki, przemilczanie ataków strony przeciwniej, brak krytycznego stanowiska nie umacniają szacunku w oczach ideowych przeciwników, ani też nie świadczą o odwadze głoszenia własnych przekonań. Takie postępowanie wywołuje wrażenie lęku i wręcz prowokuje do ataku.

Szczególnie widoczna jest to na łamach oficjalnej prasy, gdzie albo pojawia się upiór wojującego antyklerykalizmu, albo z rzadka i pokątnie jakaś uczciwa wymiana zdań. Podobnej wstrętności nie daje się zauważyć w prasie katolickiej. Tym samym zaprzepaszczone są walory polityki pokojowego współistnienia. Jakże bowiem można pokojowo się dogadywać i współpracować, kiedy jedna strona wali jak w kaczę kupę, a druga wstydy się tego, że nie wierzy w Boga? Być może jest to rezultatem starego jak świat doświadczenia, że najbardziej drażliwe są fakty ogólnie znane, zwłaszcza powiedziane głośno, albo wydrukowane. Albo też wciąż jeszcze wielu przedstawicieli władzy politycznej, państwowej i dziennikarzy prasy świeckiej nie jest dostatecznie teoretycznie przygotowanych do rzetelnej dyskusji ideowej z Kościołem.

Pisanie w gazecie niekatolickiej o fenomenie społecznym, jakim jest plaga cudów nawiedzająca Polskę lat ostatnich jest zajęciem saperskim. Natychmiast bowiem pojawia się zarzut obrazy uczuć religijnych. To także jest pokłosiem owego pęknięcia w praktyce politycznej władz państwowych. Z obrazu uczuć religijnych uczyniony został potworny miecz na wszelką krytykę działań Kościoła, a zwłaszcza skutków społecznych, jakie one za sobą pociągają. Jednocześnie nader rzadko, zgola wcale nie słychać o obrażaniu uczuć osób niewierzących, świeckich. A czyż nie jest obrazą domaganie się symboli religijnych w instytucjach państwowych? Gdzież, jak nie tam osoba świecka ma prawo żądać by jej nie narażano na religijną propagandę. I nieważne że większość powiedzmy uczniów w szkole deklaruje się jako katolicy. Wystarczy, że jest wśród nich jedna osoba niewierząca, by uszanować jej uczucia i nie terroryzować opinią większości.

Mamy do czynienia z narastającym dewocyjnym naciskiem grup, środowisk, jednostek, naciskiem wymuszającym — przecież nie głębokie nawrócenie — lecz powierzchowne, płytkie zachowania zgodne z oczekiwaniami.

Otóż właśnie. Fala cudów, narastanie zachowań dewocyjnych, bigoteria i terror religijności. Co to wszystko ma wspólnego z religią? Z całym wielkim dorobkiem myśli ludzkiej, jakim jest idea chrześcijaństwa? Z głęboko osobistym przeżyciem i refleksją jaką jest głęboka wiara religijna?

Ze polski model religijności znamionuje płytką refleksyjność, powierzchowność, wierność raczej formom kultowym niż zasadom filozoficznym, to nie nowina. Ze w parze z deklaracjami pełnym uczestnictwem do kościoła nie idzie bynajmniej życie zgodne z dziesięciorgiem przykazań — żadne odkrycie. A już w najmniejszym poszanowaniu w tym w większości katolickim społeczeństwie jest najpierwsze prawo i obowiązek chrześcijanina — miłuj bliźniego swego i nie czyni mu, co tobie niemiłe. Toteż nawet człowiekowi niewierzącemu łatwiej przyjdzie dogadać się z samym Panem Bogiem, niż z jego gorliwymi wyznawcami.

Nie jest także żadnym novum w tych właśnie zjawiskach upatrywanie źródeł ogromnej podatności wcale sporych rzesz społeczeństwa na owe cuda i nadprzyrodzone interwencje. Dlatego taki postuch znajdują wszelkie, najbardziej bzdurne kłamstwa, dlatego tak szalenie, tak niebezpiecznie łatwo manipulować umysłami nieskionnymi do jakiegokolwiek wysiłku, i dlatego owe cuda zawsze będą mieć posmak nie głębokiego przeżycia religijnego, ale sensacji, w zgodzie z mechanizmem „moja pani, młockarnia zabiła chłopca, chodźta zobaczyć”.

Można, rzecz jasna, szukać przyczyn w czynnikach szerszych niż tylko sfera doznań religijnych. Wiadomo przecież, że stan zachowania dotąd stałych wartości, poczucie utraty bezpieczeństwa psychicznego, zagrożenia, niesie za sobą narastanie irracjonalnych przesłanek rządzących ludzkim działaniem. Powstawanie oparcia odbywa się na ślepe, instynktownie, przybiera różne formy. Od skłonności do magii, po tworzenie rozmaitych sekt religijnych i wzrost fanatyzmu wszelkiej maści.

Wracając jednak na nasze podwórko, przy uznaniu, że wszystkie elementy naruszające podstawy bytu społecznego mają tu swe znaczenie, trzeba powiedzieć jeszcze jedno.

Kościół katolicki w Polsce ponosi ciężką klęskę ideową. Ani nie wpolił swym wyznawcom nawyku przestrzegania przykazań w codziennym życiu, ani nie przyswoił pragnienia zdążania, poprzez całe życie pojedynczego człowieka i zbiorowości, do chrześcijańskiego ideału, ani też nie utrzymał swych wiernych przed manowcami nadużywania imienia boskiego nadaremno.

Czyż nie jest to brak szacunku dla religii, którą się wyznaje? Ta sama zresztą zasada odnosi się do komunistów i wszystkich innych ludzi uznających się za gorącego wyznawcę jakiegokolwiek ideału.

Co więcej — potop cudów świadczy o tym, że Bóg uciekł ze swą światłą wygnany zeń przez faryzeuszów. Jeśli tak wielkie masy ludzi szukają Boga wszędzie indziej, tylko nie w kościele, jeśli żaden cud nie zdarzył się w świątyni, to czy czasem nie jest to wskazówka, że jakiś niedobry proces toczy się w Kościele w Polsce? Utrata rządu dusz poszukujących religijnego spełnienia w przyrodzie drzewach, w altankach działkowców, na szybach sklepowych okien, czyż to nie jest smutny paradoks? Kościół w Polsce będzie musiał przemyslać wiele ze swych dotychczasowych form i metod oddziaływania.

I wcale nie cieszy ten kryzys Kościoła. Byłoby ciężką głupotą nie dostrzegać ogromnego znaczenia wartości chrześcijańskich w życiu polskiego społeczeństwa i polityku płynącego z mądrego współdziałania władz państwowych i kościelnych.

Omawiane zjawiska nie są także w żadnym wypadku wygrana doktryny socjalistycznej i świeckiego modelu wychowania państwowego. Przeciwnie, obie instytucje, państwo i Kościół mogą wspólnie ubolewać nad degeneracją wielkich ideałów.

Osobnym aspektem sprawy jest znamiennie oczekiwanie na interwencję Boga, Opatrzności, losu. Na cud, który z nas zdejmie brzemień władania własnym życiem, da manę z nieba uwalniając od znoju i potu własnoręcznego dbania o los jednostkowy i zbiorowy.

Całkiem być może, iż rację ma pewien umiarkowany cynik, utrzymujący, że nasza społeczna sytuacja tak w sferze pracy, jak nadbudowy można przyrównać do wędrowni między przaj pole. Po prawej mamy łan żyta, po lewej kartofle, albo odwrotnie. Dość, że wędrujemy wąską ścieżką, krętą, niezbyt wygodną. Uciec w bok — nie uciekniesz. Wszędzie dookoła kartofle i żyto. Zresztą i tak cię dogoni jak nie kombajn, to snopowiązalka. No i nie masz innego wyjścia. Długo już tak maszerujemy i będzie dalej. Tylko jedno jest niepokojące. Że żyto i kartofle ciągną się po horyzont. Nic się nie zmienia. I jakby nie ma już pewności, że z przodu będzie coś widać. Furt żyto i kartofle. Więc zaczynasz mieć omamy. Coś ci się zwiduje, jakiegoś fatamorgany, cuda. Zależnie od tego, co chcesz zobaczyć, na co czekasz, czego się spodziewasz. A ludziom lekko nie jest. Ich Bóg dźwigał krzyż. A oni muszą dźwigać i krzyż i Boga.

JOLANTA WRONSKA



**P**unkt usługowy nr 12 Spółdzielni Pracy im. gen. Walerego Wróblewskiego mieści się na ulicy Władysława Broniewskiego 69 i był kierowany od 10 maja 1983 r. przez Janinę G. Zatrudnionych tu było wiele osób: dwie dziewczynki, szwaczka i trzy chłupniaki. W punkcie robiono swetry, damskie bluzki, czapki „kominiarki” z przędzy powierzonej lub będącej własnością spółdzielni wyłącznie dla odbiorców indywidualnych na ich zamówienie. W żadnym przypadku nie wolno było prowadzić działalności hurtowej. Trafiała tu przede wszystkim różna: Alaska, Galasia, Mils, Flasch, Vogue, Mocher, Anilana, Buckle i Shetland. Punkt przy ulicy Władysława Broniewskiego 69 może nie przynosił zwróconych zysków, ale na pewno nie groziło mu bankructwo. Jednakże pod koniec 1984 r. Janina G. uznała, iż zarobki gwałtownie się kurczą, właściwie z dnia na dzień zmniejsza się ilość zamówień i trzeba coś w tej sytuacji zrobić takiego, by w ogóle się opłacało pracować.

I naraz przyszedł jej „genialny” pomysł: trzeba zwyczajnie oszukiwać. Janina G. rozumowała tak: jeśli z dnia na dzień zmniejsza się ilość indywidualnych zamówień, więc może dojść do tego, że trzeba będzie interes zamknąć na kłódkę. Dziewiarki i szwaczki znajdują pracę, to pewnie, natomiast co się stanie z nią? Kto zechce zatrudnić człowieka, który położy kierowaną przez siebie placówkę usługową? Należy przeto pogłębować, wymyślić coś takiego, żeby jednocześnie wzrosły obroty i żeby jakiś dodatkowy grosz wpadł do jej prywatnej kieszeni. I wymyśliła. Dobre pomysły zawsze są proste. W tym przypadku potwierdziło się to w pełni. Zamiast czekać na pojedynczego klienta, można przecież człowiekowi potrzebującemu sprzedać od razu dziesięć swetrów lub czapek. Taki hurtownik nie będzie się targował i zapłaci każdą cenę o ile nie będzie ona zbyt wygórowana.

Posiuchajmy jednak zeznań jednej z handlarek urzędujących obok Hali Południowej — na placu Niepodległości. Pisownię, a jest to jej własnoręczne pismo, pozostawiam bez zmian. Piszcie ona tak:

„Jestem na Reście chorobowej spowodu. Padaćki 1954 r. Na chłui południowej zajmuję się chandlem starymi zeczami bo chcę sobie dorobić do renty, w styczniu 1986 r. dowiedziałam się przypadkowo od innych chandlujących osób, że w Łodzi na Dąbrowie można kupić czapki tak zwane kominiarki przechodząc obok punktu ul. Broniewskiego widząc na wystawie

czapkę weszłam do środka zapytałam, czy mogę kupić czapkę kierowniczką powiedziała owszem na pierwsze sprzedała mi trzy czapki — w cenie 550 zł jedno czesnie Nadmientam nie wystawiła mi żadnych dokumentów czapki te sprzedawała na rynku w cenie 600, 650 zł następnego zakupu w kilka dni później, było to również pod koniec stycznia 1986 wówczas kierowniczką wyżej w punktu sprzedawała mi 10 szt czapek w cenie jak wyżej...”

Handlarka twierdzi, że nabyła od Janiny G. 31 czapek, ale w jej mieszkaniu znaleziono jednak 5 damskich bluzek typu półgolf, dwie bluzki typu golf oraz 10 czapek kominiarek.

EUGENIUSZ IWANICKI

## Przepis na wzbogacenie się

Osadzona w areszcie Janina G. niczemu nie zaprzecza. Oszukiwała — mówi — bo zarobki stały się bardzo niskie i trzeba było jakoś się ratować. Włóczki nie brakowało, można było wybierać do woli. Wbrew zarządzeniu i przepisom w lutym 1985 każe robić swetry i bluzki i wystawia je w oknie wystawowym zachęcając w ten sposób nabywców. Sama też dokonuje kalkulacji tych nowych wyrobów. Na wynik swojej decyzji nie czekała długo: zjawia się handlarka z Hali Południowej, która pragnie brać każdą ilość towaru. Według słów Janiny G. handlarka od razu zaproponowała, że za każdą sprzedaną sztukę wręczy pani kierownicze 200 zł gratis. Janina G. liczy: 10 swetrów — 2.000 zł! Wcale nieźle i oby tak dalej. I to „tak dalej” trwa przez cały 1985 rok, do 21 lutego 1986 r., kiedy to przed Janiną G. zjawili się milicjanci.

Jak wspominałem Janina G. niczemu nie przeczyła, nie „szła w zaparte”, a od razu złożyła zeznania przyznając się do oszukiwania spółdzielni, w której była zatrudniona. Przy okazji powiedziała, że wyroby z włóczki dostar-

czała także siostrze mieszkającej w Opocznie, która z kolei rozprowadzała je wśród mieszkańców okolicznych wiosek.

Janina G. kalkulowała nader sprytnie: oto każdy wyrób jest ważony, bowiem trzeba rozliczyć się z ilości zużytego na surowca. Więc każdorazowo zważała wagę. Nie tak znów wysoko, ale zawsze jakieś 15—18 dkg. wychodziło więcej, co stanowi około 30 procent wagi wyrobu. Różnicę oczywiście zabierała do domu. Część gromadziła w swoim mieszkaniu, część — szczególnie shetland — dostarczała siostrze. W złożonych przed prokuratorem zeznaniach twierdzi, że gromadziła w domu włóczkę, bo-

wiem chciała kłedyś w wolnych chwilach zrobić coś dla siebie na drutach. Nie miejsce tu by wylizać ceny poszczególnych asortymentów, ale dla orientacji podam bodaj kilka wartości: 1 kg włóczki shetland kosztuje 2.750 zł, Alaska — 2.600 zł, Moher — 1.800 zł.

W czasie rutynowych czynności zwanych „przeszukiwaniem w miejscu zamieszkania podejrzanego”, w mieszkaniu Janiny G. odkryto wcale pokazy magazyn ukradzionych z prowadzonego przez siebie punktu usługowego towarów. Znaleziono mianowicie: 10 szpul stożkowych przędzy w kolorze bordowym i brązowym, 12 szpul w kolorach szarym i stalowym, 11 szpul w kolorze jasnoniebieskim, 56 sztuk szpul z nawojem przędzy różnobarwnej, 4 swetry męskie, 5 bluzek damskich, 3 komplety garsonek (w tym dwa komplety jeszcze nie wykończone), kilogram włóczki „Peonia”, 2 swetry męskie (nie zszyte), sporo sznorków materiałów a także notatnik, w którym skrupulatnie wpisywała co, ile i za ile oraz komu sprzedawała. Gdyby taką dokumentację prowadzono w Spółdzielni Pracy im. Walerego Wróblewskiego jestem pewien, że nie doszłoby

do powstania nadużyć, a Janina G. nadal przebywałaby na wolności.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze jedna sprawa, a mianowicie, jak Janina G. ukrywała fakt sprzedaży hurtowej, skoro było to surowo zakazane. W śledztwie wyjaśniła tę rzecz do końca. Otóż po dokonaniu transakcji — twierdzi, że nie zna nazwiska i imienia osoby odbierającej towar — zabierała się za „urządowanie” polegające na tym, że wystawiała na każdą rzecz z osobną kwit sprzedaży. Aby odwrócić podejrzenia ewentualnych organów kontrolnych, wymyślała fikcyjne nazwiska i fikcyjne adresy osób, które rzekomo tego dnia nabyły wyroby gotowe w punkcie nr 12. Z doświadczenia wiadomo, że kontrolerzy nigdy nie sprawdzają tożsamości nabywców, więc sprawa wydawała się być całkowicie bezpieczna. Janina G. zapomniała jednak, że organa ścigania są bardziej drobiazgowe i wiele godzin spędzi ich przedstawiciel w Biurze Ewidencji Ludności i Dowodów Urzędu m. Łodzi, by stwierdzić, że pod umieszczonymi przez Janinę G. adresami nie figurują osoby zamawiające w punkcie nr 12 swetry, czapki i bluzki. Zdarzało się jednak, że adres był zgodny z danymi personalnymi. Na pytanie przedstawicieli organów ścigania, czy obywatelka zamieszkała dajmy na to w Helenowie zamawiała sweter w punkcie usługowym na Dąbrowie, obywatelka „robiła wielkie oczy”:

— Ja? Na Dąbrowie? Po jaką cholere miałabym jechać taki szmat drogi!

— Ale przecież obywatelka własnoręcznie podpisała się na zamówieniu — nie dawał za wygraną przedstawiciel prawa.

— No wie pan! Ja się tak nie podpisuję, to nie mój charakter pisma. O, proszę, tak wygląda mój podpis.

Teraz, kiedy Janina G. znalazła się w areszcie, do punktu usługowego nr 12 zaczynają zgłaszać się osoby, które tu złożyły zamówienie na wykonanie swetra lub bluzki. Twierdzą one, że była kierowniczką wykonanie usługi uzależniała od wpłaconej przez zamawiającego zaliczki pieniężnej. Wysockość wpłaty bywała różna, w zależności od złeconej usługi. Niestety, Janina G. tych faktów jakoś nie pamięta. Twierdzi, że jeśli były wpłacone pieniądze, to klient otrzymywał zamówiony produkt. Ludzie się jednak upierają przy swoim: wpłacaliśmy zaliczkę, a nie otrzymaliśmy ani swetrów, ani garsonek, ani bluzek. Kto nam teraz zwróci pieniądze?

**H**istoria, którą zamierzam opowiedzieć nie zawiera w sobie scen mroczących krew w żyłach, choć należy w całym tego słowa znaczeniu do historii kryminalnych. Jej bohaterem jest obywatel polski narodowości cygańskiej, który dokonując przestępstwa, jakby zupełnie zapomnieli o istnieniu instytucji znannej powszechnie pod nazwą Milicja Obywatelska. Nie pamięta także, że w każdym praworządnym kraju jest także inny urząd, zwany prokuratorem. Ale po kolei.

Ambasada Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Wydział Konsularny w Köln-Marienburg przesłała 4 lutego 1986 r. do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi fotokopie doniesienia firmy „Radio-Schemann” z Dortmundu w Republice Federalnej Niemiec dotyczące zakupu elektroprądu na ogólną sumę 9.733 DM, wpłaceniu zaliczki w wysokości 2.600 DM i nie uregulowaniu dalszych należności. Właściciel firmy (stosując naszą nomenklaturę należałoby powiedzieć: właściciel sklepu) w swoim doniesieniu pisze, że zakupu dokonał niejaki Tadeusz P. zam. w Pabianicach, czasowo przebywający na terenie RFN, oraz Tomasz M., o którym nie wie właściwie nic, jeśli nie brać pod uwagę faktu, iż także czasowo zamieszkiwał w RFN.

W dalszym ciągu pisma konsulat stwierdza, iż z posiadanych informacji wynika, że wyżej wymienieni wraz z rodzinami przekroczyli 17.11.1985 roku granicę w Helmsdorf i udali się do Polski. A zakupu sprzętu dokonali 11.11.1985 r.

Co to był za sprzęt? Skrupulatnie Niemiec na podstawie rachunku wymienia: Phil 5380 Stereo — System Pal/Secam, Sharp. Videorecorder VE 583, Phil Rock typ 1340. Dla lepszego zrozumienia całości wyjaśniam, że pierwsza pozycja to telewizor kolorowy, druga — magnetowid, trzecia — wieża radiowa. Wszystkie trzy przedmioty są znanej na świecie firmy „Philips”, a więc są wysokiej jakości. Każdy z nabywców — tj. Tadeusz P. i Tomasz M. wziął dla siebie jeden taki komplet wpłacając zaledwie jedną ratę.

Właściciel sklepu spokojnie czekał wierząc w ludzką uczciwość. Kiedy jednak termin płatności kolejnej raty minął, szybko pobięgi na policję kryminalną w Dortmundzie. Jego pospiesznych tłumaczy się tym, że pan Schemann swój „interes” otworzył zaledwie we wrześniu 1985 r., że wpakował weń całą posiadaną gotówkę, że dokonana transakcja 11 listopada 1985 roku spadła na niego niczym manna z nieba, gdyż umożliwiała mu szybkie wyjście z ciężkiej sytuacji, a teraz, kiedy się okazało, iż żadne pieniądze nie wpłynęły — „interes” znalazł się u progu bankructwa. Policja kryminalna z właściwą sobie niemiecką dokładnością ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że mężczyźni, którzy nabyli tak drogi sprzęt w firmie „Radio — Schemann” od dawna nie przebywają w Republice Federalnej Niemiec i ściąganie od nich pieniędzy jest praktycznie niemożliwe. Ponadto, wyjaśnili policjanci, obaj nabywcy, jakby w pośpiechu podążyli ku granicy Polski, bo zaledwie w kilka dni po tym, jak pan Schemann podpisał z nimi umowę na długoterminową spłatę zaciągniętego kredytu.

Wykiwany w ten bezczelnie prosty sposób Niemiec nie stracił zupełnie głowy i pojechał do Wydziału Konsularnego naszej ambasady w Köln-Marienburg.

8 maja 1986 r. zostaje wszczęte dochodzenie przeciwko Tadeuszowi P. i Tomaszowi M.

Wkrótce jednak wyjaśnia się, że ten ostatni nie jest obywatelem PRL, a na stałe mieszka w Szwecji. Owszem, do siódmego roku życia zamieszkiwał ziemie leżące w dorzeczu Bugu i Odry, ale od 1970 r., wyemigrował na stałe na Zachód. Tak więc milicja musiała odnaleźć jedynie Tadeusza P. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że jest z zawodu kotlarzem, że nie pracuje, że w sumie ukończył 3 klasy szkoły podstawowej. Jest żonaty, ale żona także nie pracuje. Ma do tego na utrzymaniu matkę starszą i dwie dorastające córki. A tak w ogóle, to żywot Tadeusza P. jest dość barwny i pełen przygód. Zapewne natłok zdarzeń spowodował, że Tadeusz P. ma luki w pamięci i często zasztańszenie się całkowitą amnezją.

JAKUB ŁASKIEWICZ

## Nie sieje, nie orze...

Oto na jesieni 1981 r., jak zeznaje „po Wszystkich Świętych” wyjechał z rodziną do Meksyku, do kogoś z dalszej rodziny. Ze dalszą, świadczą fakt, iż nawet nie pamięta ani nazwiska owej rodziny, ani nawet imion krewniaków. Przebywał tam zaledwie dwa tygodnie i udali się do kraju marzeń, do Ameryki. Osiedli w Nowym Jorku — też u rodziny. Pobyt się przedłużył na całe dwa lata, w czasie których — jeśli wierzyć słowom Tadeusza P. — imal się on różnych prac, ale przeważnie zatrudnił się przy rozbiórkach starych domów. Nie wiemy jakie były powody, że Ameryka nagle przestała się podobać i postanowili wrócić na stary kontynent. Początkowo dotarli do Belgii, ale był to jedynie przystanek na trasie, bowiem dość szybko znaleźli się w Republice Federalnej Niemiec, także oczywiście u krewnych.

Okres ten — a Tadeusz P. wraz z rodziną był tu całe dwa lata — nie był najgorszy. Miał pieniądze, bo znów, jak w USA, zaczął się zatrudniać przy rozbiórkach starych domów. Tu też poznał Tomasza M. ze Szwecji, z którym sie za-

przyjaźnił. Tutaj też zrodził się pomysł „zrobienia w konia” pana Schemanna, choć — tak przynajmniej twierdzi dzisiaj — miał uczciwy zamiar wywiązać się z finansowych obowiązków, ale tak jakoś wyszło, że po powrocie do Polski zupełnie o tym zapomniał.

Tak więc 11 listopada 1985 r. obaj współnicy dokonują zakupu, a 17 listopada już są w Polsce, a przynajmniej Tadeusz P. wraz z rodziną, gdyż Tomasz M. popłynął do Szwecji.

Milicji dość szybko udaje się odnaleźć mieszkanie Tadeusza P. w Pabianicach. Niestety, okazuje się, że już tu nie mieszka, wyjechał ponoć do Kłodawy. Zaczyna się sprawdzanie.

Trwa krótko: 8 czerwca 1986 r. Tadeusz P. jest już za kratkami.

Nie, nie kluczy, nie chachmęci, od razu przyznaje się do postawionych mu zarzutów. Owszem — powiada — kupiliśmy z kolegą drogi sprzęt u Ulricha Schemanna i zapłaciliśmy jedynie pierwszą ratę. Prawdopodobnie zapłacilibyśmy, a już na pewno by to uczynili on, Tadeusz P., gdyby nie spłot okoliczności, które od dawna determinują jego całe życie. No bo czyż to nie pech albo zrzadzenie losu, że kiedy w najlepsze pracował za granicą zarabiając marki, zjawił się listonosz (briefreger) z telegramem od matki z Polski, by natychmiast wrócić w bardzo ważnej sprawie rodzinnej. Czy ktoś w takiej sytuacji miałby czas na myślenie o czymkolwiek innym niż tylko o jak najszybszym wyjeździe? Skoro się otrzymuje tak alarmujące wezwanie, to powody, dla których zostało ono wysłane muszą być niezwykle ważne. Więc spakowali się z żoną i córkami w parę dni, załatwili papierkowe formalności i w drogę. I jak tu można myśleć o jakimś tam

sprzecie radiowo-telewizyjnym? Pamiętać o jakimś Ulrichu Schemannie?

Milicja dokonując przeszukania w mieszkaniu Tadeusza P. znalazła sporo rzeczy wartościowych pochodzących z zagranicy. I tak: dwa radiomagnetofony, jeden „Sharp”, a drugi „Schmidt”, tv kolor wraz ze stolikiem i urządzeniem zdalnego sterowania w systemie podczerwieni, a wszystko to za marki „Blaupunkt”.

Na pytanie milicji z czego żyje Tadeusz P. i z czego utrzymuje nigdzie nie pracującą żonę, matkę starszą oraz dwie córki (13 i 15 lat), odpowiedział z rozbijającą szczerością, że przecież był w Ameryce, a tam walutą obiegową są dolary, które otrzymywał za swoją ciężką pracę. Otóż te dolary zwyczajnie odsprzedawał różnym przygodnym ludziom, biorąc po 640 zł za jednego dolara USA. Uważny czytelnik może w tym miejscu zapytać: czyżby Tadeusz P. był tak naiwny, że przyznał się do handlu obcą walutą? Przecież ten proceder w naszym kraju jest ściągany i surowo oceniany przez wymiar sprawiedliwości. Niestety, na to pytanie nie potrafię udzielić odpowiedzi. Być może sąd rozwiła tę zagadkę i dojdzie prawdy, dlaczego to Tadeusz P. wolął przyznać się do tego przestępstwa, niż poszukać jakiegos innego wytłumaczenia swojej egzystencji i egzystencji swojej najbliższej rodziny.

W śledztwie powiedział, że będąc już w kraju wcale nie zamierzał płacić rat owemu naiwniakowi w RFN, gdyż „Nie wiem dlaczego do dnia dzisiejszego nie uregulowałem należności za sprzęt Ulrichowi Schemannowi. Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć”.

Jako okoliczność mającą złagodzić przyszłą karę, Tadeusz P. podaje co następuje: „Nie potrafię czytać i pisać, gdyż ukończyłem zaledwie trzy klasy szkoły podstawowej i to z dużymi przerwaniami”. Uzasadnia to tym, że czas, w którym mógłby uczęszczać do szkoły przypadł akurat na lata, kiedy Cyganie jeszcze mogli wędrować z taborami po Polsce i koczować po lasach.

Kiedy tylko za Tadeuszem P. zamknęły się drzwi aresztu śledczego, przed obliczem przedstawicieli organów ścigania zjawił się jego krewny, który przedstawił dokumenty świadczące o tym, że należne Ulrichowi Schemannowi brakujące marki zostały przekazane przez Bank PKO SA. A skoro należność jest uregulowana, ich krewniak nie powinien ani dnia przebywać za kratkami. Niestety, prokuratura była innego zdania: przestępstwo było? Było. I choć szkoda została wyrównana, to przecież nikt Tadeusza P. nie uwolnił od odpowiedzialności za dokonanie czynu niezgodnego z kodeksem karnym.

Krewni jednak nie dali za wygraną. Jeśli trzeba rodzina wpłaci za niego kaucję, niech tylko pan prokurator określi jej wysokość. I pan prokurator określił. Używając stylu urzędowego, napisze to tak: 24 czerwca 1986 r. wiceprokurator Prokuratury Rejonowej w Pabianicach wydał postanowienie o uchyleniu i zamianie środka zapobiegawczego w stosunku do Tadeusza P., gdyż rodzina zatrzymanego złożyła wysokie poręczenie majątkowe. Owe poręczenie — to wpłata na konto Sądu Rejonowego w Pabianicach 1 miliona złotych jako suma depozytowa.

Teraz poczekamy na proces, który odbędzie się niebawem.

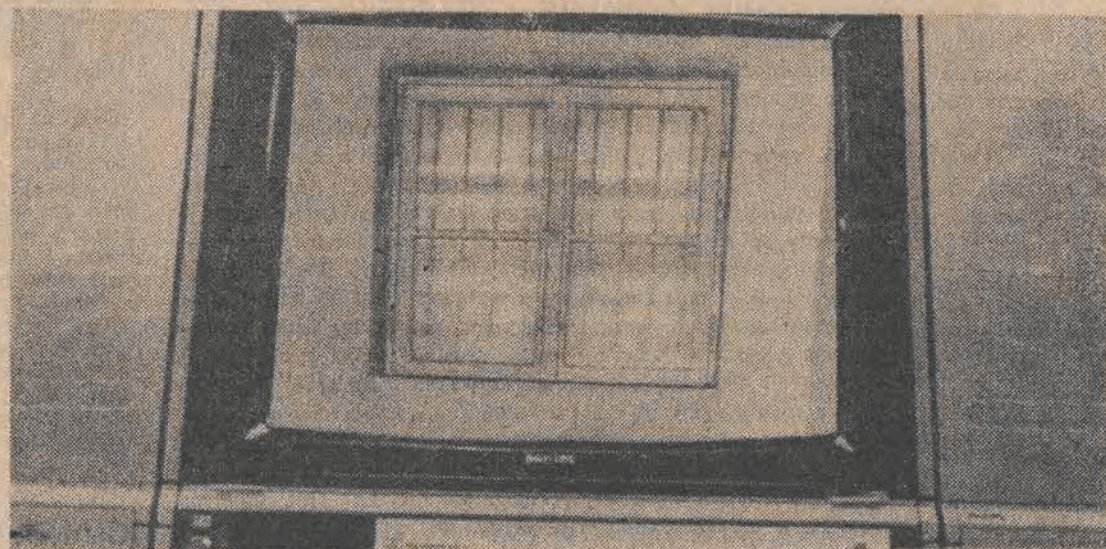


Foto: Grzegorz Gałasiński



Albo weźmy wodociąg. Będzia już prawie dziesięć lat, gdy go we wsi założyli — z konieczności, bo jak w Piaskach ruszyła kopalnia, zaraz niedługo kucowskie studnie wyschły do dna. Wygoda niby jest, nie można powiedzieć, ale za wodę za studni nie płacono się ani grosza, a — z wodociągu mus. Po tysiąc, dwa na kwartał — zależy ile ludzi w obejściu, ile bydła, maszyn. Gdyby sami chcieli, nie byłoby sprawy, bo ich wola. Nikt jednak o zdanie nie pytał; założyli i koniec. Zreszta — we wszystkich okolicznych wsiach. Pylwiescy płacą, jeszcze wodę do samego mieszkania podciągnęli — już na własny koszt. W wielu innych nie chce. Powiadają, że oni się tego wodociągu nie prosili. I nie płacą. Ale przy wywłaszczaniu na pewno potrąca im wszystkie zaległości, twierdzi Kruszyńska. U Kątnych też przez rok nie płaćli, to dostali niedawno z rachunkiem sto złotych kary. Zapłacili — dla świętego spokoju. Bo żeby jeszcze ta woda była zawsze i zawsze czysta... Ale nieraz jak się odkręci — kawa z mlekiem. Już chyba lepiej z rowu brać.

I tak teraz w Kucowie za wszystkim — jak nie jedno, to drugie, nie ma sposobu, porządku, żadnej pewności jutra. Jest prąd, brakuje wody. Jest woda, prąd wyłącza — nieraz po kilka razy w tygodniu, choć zą płotu wyżej kominu elektryczni, największej w Polsce podobno. Ludzie nie inwestują w swe gospodarstwa, nie kupują maszyn, nie naprawiają nawet, gdy się coś rozlatuje, bo na rok, dwa nie warto, mówią. I tak kopalnia wszystko zabierze, więc szkoda każdej złotówki.

## A PO LASACH LEŻĄ MILIONY:

całe sterty żelastwa, jakieś maszyny, części, setki ton betonu. Starczyłoby go chyba na budowanie drugiej takiej wsi, słysze. Aż żal patrzeć.

Chłop, choć nie kształcony, potrafi wiele dożyć i ma swoją filozofię, w myśl której każdy powinien ciągnąć do siebie — tak prywatny, jak państwowy. Głównie — przez oszczędność i pracę. Tylko że teraz wszystko się jakoś pomieszało, przedstawiało i trudno się czasem wyrozumić, o komu naprawdę chodzi. Może to też kwestia wieku? Bo Kuców jest dziś wsią, głównie ludzi starych. Młodzi puciekali do miasta, gdzie lepsze warunki, łatwiejsze życie. Nie chcieli pracować w rolnictwie. Ostatecznie niektórzy powracali do rodziców, ponieważ przy wysiedlaniu każdej rodzinie kopalnia musi zapewnić samodzielne mieszkanie. Też potrafią więc ciągnąć do siebie, ale robią to inaczej, ceniąc sobie przede wszystkim wygodę. I kto wie, czy w tym jednym nie mają racji, zastanawiając się starzy i też wszyscy — teraz chcą do miasta, do bloków. Takie nastały czasy. Może gdyby byli młodszy...

Katna od czernastego roku życia chodziła w pole za plugiem, to w końcu należy się jej odpoczynek za to umęczenie. Łągiwka liczyła kiedyś, że jedno z dzieci przejmie gospodarstwo, to oboje z mężem mieli by wyjechać i opiekę. Nie myślała opuszczać wsi. Ale jak o kopalni zrobiło się głośno, jedna córka poszła na Śląsk, druga i syn — do Belchatowa. Wtedy co im zostało? Pewnie, że żal będzie Kucowa, a najwięcej tego domu, który sobie zbudowali. Jak jednak mają wybór? Zaden — tylko bloki. Jak dają...

Jedynie nauczycielka Pylwieska jeszcze się waha. Od siedemdziesiątego drugiego roku uczy w Kleszczowie, blisko, przyzwyczaiła się, pokubiła tę szkołę i dzieciaki. Poprzednia — w Ruszczyńcu — zaspęła jej kopalnia nadkładem z odkrywką. Na własne oczy widziała, jak mury pograżają się w zwalich ziemi. To była całkiem nowa szkoła, oddana pod koniec lat sześćdziesiątych, więc dla niej — tym bardziej przykry widok. Teraz nie chciała by znów zmieniać miejsca, środowiska. Co prawda dziewięć lat temu zaczęli budować się w Kleszczowie, ale mają też wypadek, brak pieniędzy, czasu — wszystko stoi, więc pewnie nie dadzą spokój i jednak wezmą tę bloki. W Belchatowie też są szkoły. Ale zanim olbrzymia koparka doczeka się do nich, do krzyżówki, minie jeszcze rok albo i dwa. Można poczekać z podjęciem ostatecznej decyzji, zastanowić się. Przecież wysiedlają dopiero Mokraców. Najgorszy dom w całej wsi, nawet nie dom — lepiej powiedzieć: kryta strzechą lepianka. Gdy został jako ostatni zamieszkały przed wykopem, zbiegł się doń wszystkie szczyry z rozbieranych wcześniej zabudowań. Potem przeniosą się dalej, do następnych.

BO SZCZURY TEŻ UCIEKAJĄ PRZED KOPALNIĄ.

Muszą — tak samo jak ludzie. Pod tym jednym względem nie

ma w Kucowie między nimi różnicy.

Następne po Mokracach jest gospodarstwo Kątnych. Siedem hektarów czterdziestą — trochę pola, trochę łąki, trochę lasu — jak tu wszędzie. Stary, wrastający w ziemię dom, licha stodoła, obora. Już rok będzie, jak oszacowali je na dwa miliony dwieście. Niby dużo, gdyż to prawie ruina, ale z drugiej strony — tyle, co dwa fiaty na giełdzie. Gdyby za te pieniądze chcieli wybudować sobie jakiś domek, wystarczłoby na gołe ściany i dach. Dziś — bo jutro zapewne już bez dachu. Wyceny innych gospodarstw podobne: dwa, trzy, nieraz trzy i pół miliona — wszystko zgodnie z aktualnym cennikiem. Jeśli kto ma rentę, emeryturę — z Bogiem sprawą

## Nasz Belchatów

# Nawet szczury muszą odejść

można się w blokach urządzić na nowo, dać coś dzieciom i specjalnie sobie nie żałować. Ale nie każdy w Kucowie jest w takiej sytuacji. Wiele nie mogło lub — częściej — nie chciało i nie chce oddać ziemi za rolniczą emeryturę. Wola sprzedać budynek, grunt kopalni. Mówią, że bardziej im się opłaca od razu dostać na rękę te miliony, niż osiem, dziesięć tysięcy miesięcznie. Choćby dlatego, że emeryturę wypłaca się tylko do śmierci, a gotówka tak, czy tak zostaje w rodzinie. W takich chwilach ludzie wszystko biorą pod uwagę. Przecież te parę hektarów to dorobek i sens ich całego dotychczasowego życia. Dziś muszą je porzucić i odejść, tak, jakby sprzedawali kawałek samych siebie. Więc jasne, że chcą wyciągnąć z tego ile się da, pożegnać Kuców w przesiadce, iż to ich życie było mimo wszystko coś warte.

Siostra Kątnej, Mielczarkowa jest na przykład zadowolona. Chętnie pokazuje, jak się w tym Belchatowie na nowym urządził. Z Kucowem nie ma nawet co porównywać. Gnieździł się w pokoju z kuchnią:

ona, mąż, teściowa, dziesięć-oro dzieci, zięć i wnuczka; aż trudno uwierzyć — piętnaście osób. W grudniu zeszłego roku zameżna córka dostała M-4 w bloku numer 50 na osiedlu Dolnośląska. Reszta przeprowadziła się 28 czerwca do M-5 i M-4 po sąsiedztwo. To niby czego mieliby żałować? Wreszcie mieszkają jak ludzie, komfortowo. A że kopalnia chciała ich początkowo wykiwać, to druga sprawa. Wywalczyli jednak, co swoje. Oczywiście, że może opowiedzieć, jak to było, bo wszystko prawda słowo w słowo.

Trzy lata temu mieli dostać bloki z kopalni gdzie Mielczarkowa jeździ na „Steyerze”, ale — po kimś, ten ktoś się długo nie wyprzedzał i nie z tego nie wychodziło. Spokojnie cze-

kali. Rok temu zmieniła się koncepcja: dla córki z mężem — bloki w Belchatowie, dla nich, dzieci i teściowej — jakaś ruina w Łękinsku. Mielczarkowa powiedziała na to, że z jednego burdelu w drugi leż nie będą i — znowu czekali. Aż tu sufit od tych wystrzałów zaczął się walić na głowy, tynk opadał ze ściany. To w dziale wywłaszczeń mówią: córce M-3, im M-4, oba w tym samym budynku. Ale córka miała akurat drugi raz rozdzić — przymali więc jej w końcu M-4, a Mielczarkowej kazali czekać na M-5. Jak to — przetarla wtedy czy — M-5 na tyle osób? I z działu wywłaszczeń poszła zaraz do samego dyrektora do „pentagonu”. Dopiero ten załatwił sprawę krótko: należy się dwa M-5, ale da jej karteczkę na M-3 i M-4 na tym samym piętrze, drzwi w drzwi. I tak też wzięli. Teraz planują przegrodzić korytarz, żeby było jedno wspólne wejście. Już w łazience na to siopex leży. Właśnie walczą z administracją o pozwolenie, bo jak zwykle — nie od razu. Mielczarkowa wdycha: do brze jest, tylko we wszystkich utrudniają człowiekowi życie.

Ale tak u nas było, jest i będzie.

W dziale wywłaszczeń kopalni

## WIDZĄ PROBLEM KUCOWA INACZEJ,

a właściwie twierdzą — zapytawszy o zgodę dyrektora, że problemu żadnego nie ma. Przecież mieszkańcy wsi, przynajmniej ci do krzyżówki, nie stawiają oporu, przeciwnie — domagają się sami jak najszybszego wysiedlenia, jak by o niczym innym nie marzyli. Ale wykupywać od nich ziemi nie można z wyprzedzeniem, gdyż rosną wtedy opłaty za wyłączenie tych gruntów z produkcji rolnej. Wykupuje się zatem dopiero w ostatniej chwili, gdyż to się kopalni najbardziej opłaca. A kiedy — to już zależy od tempa prac. Poza tym, podobnie jak w Piaskach, czy Woli Grzymalińskiej, prawie wszyscy wyrażają chęć przeniesienia się do miasta i trzeba ludziom dać mieszkania. Więc to nie tyle oni, co kopalnia raczej ma kłopot. Ale tak dobrze jak dotychczas to już chyba nie będzie, bo przyszło właśnie pismo z Izby Skarbowej w Piotrkowie...

Chodzi o to, że kopalnia kupuje notarialnie od rolników ich gospodarstwa lub też — gdy nie odpowiadają im warunki — są wywłaszczani zgodnie z prawem przez urząd gminy, co w Kucowie jeszcze się nie zdarzyło, a pieniądze ze sprzedaży nie podlegają opodatkowaniu. Izba Skarbowa zmieniła jednak nagłe zdanie i teraz mają być podatki — podobno do 70 procent wysokości uzyskanej sumy. Stracił pomysł, co będzie, gdy dowiedzą się o tym ludzie. Przestaną dobrowolnie sprzedawać kopalni, gdyż zostaną im groźne. Z kolei naczelnik gminy niechętny będzie wywłaszczaniu, bo to dla niego dodatkowy kłopot i uszczuplenie i tak pustawej gminnej kasy. Może należność rozłożyć na dziesięć lat, a wtedy... w dziale wywłaszczeń kopalni naprawdę są decyzja Izby Skarbowej zaniepokojeni, przewidując poważne trudności. Słowem, problemu nie ma, ale będzie. Szczęśliwi ci — mówią — którzy dostali już pieniądze do ręki.

— Szczęśliwi? — powtarza pytanie Alama, zamyśla się i odpowiada:

— No, wie pan, jakos się żyje.

Po chwili skrepowanie miła, zaczynają płynąć wspomnienia. Mieszkali w Woli ze czterdziestu lat. Dom mieli ładny, wygodny, murowany. Ziemi — niedużo: cztery hektary i to w kawałkach, ale zawsze dobrze

im się powodziło. Mąż był kowalem — przyjeżdżał do niego z całej okolicy. To były dobre, spokojne czasy — dopóki nie zaczęli budować tej kopalni. Potem działo się już coraz gorzej: ciągle jacyś obcy waleśali się po wsi, szukali, gdzie by wodkę kupić, to strach było nieraz wieczorem wyjść na drogę. Co rusz zapalali też torfy na łąkach, dym szedł, powietrze się psuło. I ta świadomość, że będą wysiedlać, że niedługo

## NIE BĘDZIE JUŻ WOLI GRZYMALINEJ.

A najgorzej — gdy przyszło się pakować.

Z początku mąż myślał zostać gdzieś na wsi, potem — kupić w Łękinsku domek z kawałkiem ziemi, w Łękinsku mieszka jedna ich córka, mają z dziećmi gospodarke, więc zachęcał. Za to sym namawiał ich na Belchatów, bo wcześniej już dostał tu mieszkanie. Zdecydowali się. W październiku minie dwa lata, jak są na Dolnośląskiej. Owszem, wygodnie się żyje, ale... Miasto to jednak obcyzna. Ciasno, duszne, trochę, pod oknami dzieciaki bez przerwy hałasują. Mama nie może wysiedzieć, jeździ do córki, pomaga w polu. Tu nie ma co robić, chodzi od okna do okna, miejsca znaleźć sobie nie może. Cokolwiek by mówić, na wsi było jednak lepiej.

No i to, że wszystko mieli swoje: świnkę, kury, kartofle, mleko... w Belchatowie „każdą rzecz trzeba kupić, postać w kolejkach, przynieść do domu. Po mieso ludzie stoją nieraz od trzeciej w nocy. A w Woli kładła w słoiki i zawsze było pod ręką — czyste, smaczne. Raz w tygodniu piekła chleb, taki chleb, że suchy był lepszy, niż tu z masłem. Człowiek wyszedł na drogę pogadać z sąsiadami, wyszedł do ogródka... Tu też ma ogródek — pod balkonem: dwa metry na cztery, kilka krzaków pomidorów, ogórków, buraczki, kwiaty. Dba o niego jak może, żeby podlać, wstaje o piętej rano. Bo ten ogródek przed betonowym pudłem bloku, to jedyna, co jeszcze dziś przypomina Wole, której nie ma i której nigdy już nie zobaczy. Ale od przyszłego roku nie będzie nawet i ogródka — jest podobno zarządzenie, że nie wolno. Na trawniku rosnąć ma tylko trawa.

I Alama w pokójku się żyje w oczach. Dlaczego chcą jej i to zabrać? Czy mało jeszcze zabrał? Dlaczego?

PAWEŁ TOMASZEWSKI

# Bizon w niełasce

RYSZARD BINKOWSKI

W drugiej połowie lipca zaczęto kosić wszystko, co dojrzało — pszenicę, jęczmień ozimy, żyto, owies. W ruch poszły kosy, żniwiarki, snopowłazki konne i ciągnikowe, przy czym nastąpił szybki sprzęt słomy z pól, a przodowały w tym gminy Aleksandrów, Zgierz, Parzęczew i Nowosolna. W szybkim sprzęcie zbroń zainteresowani byli nie tylko rolnicy, ale i władze polityczno-administracyjne.

Najmniejsze w Polsce województwo produkuje tyle zboża, iż nie mieści się ono w miejscowych magazynach i trzeba wozid do Piotrkowa Trybunalskiego i Tomaszowa Mazowieckiego. Trudno sobie wyobrazić, by rolnicy mieli telepać się do tamtejszych magazynów PZZ własnymi furmankami i ciągnikami. Dlatego też w stan pogłowia postawiono transport PGR, GS, kolek rolniczych, spółdzielni transportu wiejskiego, a PKS odelegował do żniw sto dużych, dwunastotonowych ciężarówek, wyposażając każdą w dwie plandeki — jedną do uszczelniania przyczep, drugą do nakrycia w razie deszczu. To dobrze, bo chyba tylko Bóg z nieba widzi, ile zboża ginie w czasie transportu.

Tak więc transport mamy zapewniony, potrzebne są jednak regulosze, żeby w bramach punktów skupu nie wjeżdżały na siebie samochody przywożące i odbierające zboże, jak to już nieraz bywało.

Okazuje się, że na tych matych łódzkich włościach wyrasta lepsza pszenica, zawierająca więcej glutenu, niż pszenica, którą sprowadziliśmy z Francji, żeby nam nie zabrakło maki na chleb, co potwierdziły badania laboratoryjne. Tak jest, bo dzięki zaangażowaniu rolników od pierwszych dni sierpnia mamy lepszą makę z łódzkiego młyna przy ul. Cieszyńskiej, który miele na dobę 70 ton zboża prosto z pola. Płony też są niedale, np. w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej we Wróblewie średnio 40 kwintali z hektara.

Henryk Leonarcik, zastępca kierownika wydziału ekonomiczno-rolnego WK ZSL w Łodzi, jest także członkiem sztabu żniwnego przy prezydencie.

W ubiegłym roku sytuacja była trudna, toteż teraz w sztabie żniwnym panowała dość nerwowa atmosfera. Trzeba było przyjąć alternatywę na żniwa mokre, suche lub przekropne. Wszystko musiało być zapieczętowane, ostatni guzik, bo pogoda może zniweczyć wysiłek ludzi, a potem winnych szuka się wśród ludzi. W ogóle to byłoby najlepiej, gdyby zwiększono szybkość środków na inwestycje w rolnictwie, dzięki czemu wzrosłaby również produkcja. Skoro są kłopoty z transportem, suszeniem i magazynowaniem, to część zboża powinna zostawać u rolników, którzy z dodatkami koncentratów mogliby sami produkować pasze na śrutownikach. We wsiach, a przede wszystkim w PGR i RSP powinny funkcjonować małe, niskoenergochłonne suszarnie,

bo na kolosy opalane olejem napędowym nas nie stać. No, ale tego roku nie jest źle. Jeśli w punkcie skupu czeka się dwie godziny na rozładowanie zboża, to góra. Poza tym zalecono kółkom rolniczym opracowanie marszruty sprzętu żniwnego i wywieszenie list z nazwiskami rolników, u których będzie się pracować według kolejności. Tymczasem rolnicy nie oglądając się na SKR wyszli wcześniej na pola z własnym sprzętem. Komбайny tylko kończą żniwa, gdyż „Bizon” znalazł się w niełasce...

— Czym to należy tłumaczyć?

Leonarcik usmiecha się z chłopską przebiegłością. — Zanim chłop podejmie decyzję, proszę pana, musi pomyśleć i wszystko sobie obliczyć. Po pierwsze — przednówek był ostry i rolnikom zabrakło paszy dla inwentarza, a w GS także trudno ją było nabyć, nie mówiąc już, że jest ona droga. Dlatego rolnicy tak się spieszą ze sprzętem. Po drugie — sprzyjająca pogoda sprawiła, że można było kosić prostym sprzętem. A zbiór zboża kombajnem i sprasowaniem słomy na jednym hektarze kosztuje około 10 tys. złotych...

— A jeszcze w ubiegłym roku na polach płońska słoma po kombajnie. Czy tylko dlatego, że słoma szczerziała, bo SKR nie zadytła z usług?

— To też. Ale teraz już nie pała. Bo wiosną, proszę pana na wsi zabrakło słomy na podściółkę. Rachunek ekonomiczny sprawił, że rolnik dba już o słomę, z której uzyskuje nawóz oryginalny. Dzięki temu stosuje mniejsze dawki nawozów mineralnych, których jest mało i znowu zdrożały. A jak chodzi o usługi kombajnowe, to koszty są wyższe, ale SKR nie winduje ceny, bo chłopci by w ogóle zrezygnowali. I tak widąc już że za stodołami sterczą dziesiątki stogów i stert, które trzeba będzie wyciągnąć, Ale o to niech się martwi Wojewódzki Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych.

Inżynier Jan Mielczarek, wiceprezes WZRR i OR w Łodzi, pracował przez sześć lat w SKR w Rzgowie, toteż problemy żniwne zna od podszewki.

— Nie twierdziłbym, że Bizon poszedł całkowicie w odstawkę. Ale że żniwa są wyjątkowo dobre, pogodne, a zboża mało wylegnięte, więc sytuacja z przed roku uległa zmianie. Wprawdzie na kombajn przypadnie teraz tylko sto hektarów, ale za to awaryjność jest mniejsza, większa natomiast wydajność sprzętu. Kombajny pracują do zmroku, dopóki nie spadnie rosa, a zaczyna już o ósmej rano, gdy rosa zniknie.

— I nie było żadnych spieków?

Mielczarek, który niedługo sam nastąpił się zlorzeceń i pogrozek od rolników, usmiecha się z pobłażliwością.

Do 8 sierpnia była tylko jedna interwencja na szczeblu wojewódzkim. Rolnik z Gadki Starej wymusił na prezese rzgowski SKR zmianę marszruty kombajnu, ustalonej przez kierownika bazy. Ale tak już jest, że gdy w radiu ogłoszą komunikat o przełotnych deszczach, w SKR robi się tłok i wynikają awantury, bo każdy chce mieć pierwszy skoszone. A jak chodzi o te sterty i stogi — ciągnie Mielczarek — to myśmy większe młocarnie oddali w ajencje kółkom rolniczym. Niech samorząd decyduje, u kogo młócić.

Inżynier Mielczarek ma inne smartwienie. No bo ktoś rzucił kiedyś hasło o producentach zdrowej żywności, a w rolnictwie bez chemizacji ani rusz. Jeśli przestrzega się wszelkie normy, to nie ma mowy o zatruciach, ale wiele spraw zaniedbano i teraz trzeba odbierać. Kombajn młóci zboże wraz z chwastami, których nasiona rozsiewają się razem z plewą, i trzeba

zwalczać chemicznie. Na dodatek 70 proc. gleb w woj. miejskim jest zakwaszone i to jest problem nr 1 po żniwach.

Zaplanowaliśmy wysiać 29 300 ton wapna, a do wczoraj (7 sierpnia) poszło zaledwie 1000 ton. Zwiększono już ponad 10 tys. ton kredy z Belchatowa, po 90 zł ton, prawie 9 tys. ton z cukrowni w Łększynie, która jest darmo. Droższa jest usługa, za jeden wózek, co starcza na hektar, wynosi tysiąc złotych. Ale gdy rolnik ma własny ciągnik, zabierze ze składu kredę i sam sobie rozsiewa, to my mu jeszcze dopłacimy. A prezes Stasiak z Pabianic to prosto z kolei woz kredę własnym transportem do rolników, i to bezpłatnie, więc chyba z tym wapnowaniem jakoś sobie poradzimy...

No tak, myślę, ale Wiesław Stasiak sam jest rolnikiem i najlepszym prezesem GS w województwie. W ciągu czterdziestu lat pabianicka spółdzielnia z kopcuszką przeobraziła się w kombinat i zaopatrzenie zawsze jest tam najlepsze.

Z tym zaopatrzeniem w czasie żniw różnie bywa — narzeka Henryk Leonarcik, który często wyjeżdża w teren. — Nieraz brakuje nawet słoniny i smalcu w sklepach, chociaż zapasy są, przez co obniżono nawet ceny. Kobiety pracują od świtu do nocy, chciałyby szybko przygotować obiad, a np. w Skoszewach zaopatrywanych przez GS Andropol nie ma półproduktów, konserw i podobnych. A w pobliskim Niesulowie, gm. Stryków, zaopatrzenie znacznie lepsze. Sam sobie kupię pół kilo smacznego białego sałcesonu...

Niektórzy myślą, że chłopci do dziś sami sobie pieką chleb... Zgadnam się! Jedziemy z prezesem Chojnackim przez Modłą w gminie Ozorków i widzimy zgromadzoną tłum kobiet. To nie był wiec, ani przedwczesne dożynki. Czekają na chleb, nikt nie wiedział, kiedy go przywożą. A zdarzają się i sklepy zamknięte. Do pieca, proszę pana, jest od cholery skłódkich wód, a nawet piwo, nie ma natomiast wody mineralnej i sodowej...

Kiedys widać było, jak rolnicy orali ścierniska wokół stojących mendli zboża i siał popłony. Na początku sierpnia objawił się cud okieny w Starowej Górze. Ja zobaczyłem tam inny cud, na piaszczystych pagórkach. Niebo było bezchmurne, a nad ścierniskami kłębiły się wielkie białe obłoki. Ktoś próbował podorywką czy też talarzownią.

Wskutek suszy gleba skamieniała i kurzy się jak diabeł — mówi Henryk Leonarcik. — Podorywki i wysiew popłonów zostały przyhamowane. Jest ryzyko, bo albo drogie nasiona nie wzejdą albo wymiecie je wiatr.

9 sierpnia 1986 r., mniej więcej od piątej do dziesiątej rano, padał ulewny deszcz, który zwilżył nieco glebę. Trochę późno, ale myślę, że mimo to z pewnością rolnicy wysiali tu i ówdzie popłony.

Sztab żniwny zadowolony jest z przebiegu żniw w województwie miejskim łódzkim. Nie oznacza to jednak, że wszystko odbywa się bez przykrych niespodzianek. Czasem figle plata sama natura. 5 sierpnia po południu rejon Nowosolnej, Andropola i Brójce nawiedziła burza z wichurą, przynosząc znaczne straty w rolnictwie.

Żniwa idą dobrze, pracuje się w soboty i niedziele, pomagają rodziny z miasta, o czym świadczą parkujące w polach samochody z łódzką rejestracją, lecz nie należy zapominać, że tak jak przy każdych narodzinach, chleb również rodzi się w bólach.



Marek Chorabik

## Resentyment dwustronny

to co mam z rodzinnymi stron  
podniebny klon  
rzuca do walki  
poobiednia pora,  
słońce jawnogrzyszy  
w zewzawym lusterku  
tabuny brow  
tratuja ton cizy,  
jaskrawe bilny  
na sznur nawleka  
zmeczona dlon,  
tyle masz z moich rodzinnych stron

## Fantazja preceremonialna

Puste powietrze  
zamyka usta  
na spust pierwszy,  
drugi, siódmy...

Klucza dynda  
miedzy otowanymi pierzami  
nieba aniolow  
i grajacych w innej druzyne  
astronautow,

ani cienia  
honorowych obywateli,  
tylko na tacy  
rozdzialowane notyczki  
modla sie o pocafunek,

Puste powietrze  
wywraca sie  
na lewa strone  
z polemem

## Wyznanie idącego

wolac ide...  
supelnie niewytumaczalna wewnetrzna  
potrzeba

pecha mnie  
na skraje przepasci,  
w doliny clemne,

w reku kij  
co ma wiecej niz dwa konce,  
bosa stopa  
omijajaca zrecnie pudapki,  
az znudzi sie Tobie...

ide...  
jeszcze

## Pozegnanie

nie umiem poradzić  
srebrnym wilkom zegarów  
jak maja potrec  
najwierniejsza biala chusteczka,

nie umiem przylozyc dloni  
na rozpalone  
goraczka podrozy  
czelo, stopy i oczy,

nie umiem strzepnac  
znad siebie  
czarno-czerwonego  
zapachu chandry



A. Derain, ilustracja do „Enchanteur Pourrisant” Apollinaire’a.

8 ODGLOSY

**D**osć osobliwa to sytuacja, choć wśród Polaków niezbyt rzadka, gdy sławny w całym świecie rodak zaczyna zyskiwać sobie uznanie i rozgłos w kraju u schyłku sędziwego życia. Ale pomimo tego chyba niewielkie grono profesjonalistów wie u nas cokolwiek o Aleksandrze Tansmanie i nawet w swojej rodzinnej Łodzi nie zalicza się on do postaci znanych.

Ten wybitny kompozytor, mieszczący się w pierwszej dziesiątce najczęściej wykonywanych twórców współczesnej muzyki, doczekał się wreszcie kompetentnego i dość chyba gruntownego omówienia w książce pod ironicznym tytułem: „Dziecko szczęścia”, a ironicznym dlatego, że do szczęścia brakowało mu uznania w ojczyźnie, za to dopisało mu szczęście do pierwszego polskiego biografa, który z literacką swadą i wyraźnym sentymentem do postaci, wykonał tę pionierską u nas pracę.

Bywałcom filharmonii łódzkiej znane są od lat szkice informacyjno-krytyczne Janusza Cegieły, drukowane w koncertowych progra-

## Szczęście do obcych

mach; wiele też osób zapewne zawarło z nim znajomość za pośrednictwem ogólnopolskiego cyklu programów muzycznych TV, w których ujawnił się jako byskotliwy komentator prezentowanych dzieł, ponadto przed kilku laty, w wyjątkowo trudnym okresie, dyktował Cegiełła dość krótko łódzkiemu Teatrowi Wielkiemu, snując ambitne plany, którym stanęły na przeszkodzie wielkie złozone okoliczności.

Zanim poświęcimy parę słów samej książce, zacerpnijmy z niej do powszechnej wiadomości garść informacji o jej, tak ciągle mało znanym, bohaterze.

Aleksander Tansman przyszedł na świat w Łodzi w 1897 r. przy ul. Zawadzkiej 13 (dziś Próchnika 20, róg Wólczańskiej) w kulturalnej rodzinie żydowskiej o poglądach wolnomyślnych. Ojciec władał kilkoma językami, miał żywe zainteresowania artystyczne, w tym także muzyczne. Spore dochody z eksportu łódzkich tekstyliów na chiński rynek rosyjski umożliwiły mu działalność kolekcjonerską i filantropijną. Matka, wywodząca się z wileńskiego środowiska naukowego, starannie wykształcona, biegle grała na fortepianie.

Aleksander (nazywany przez wszystkich Saszą) ukończył ze złotym medalem prywatne gimnazjum filozoficzne Stanisława Witkowskiego, z polskim językiem wykładowym, ponadto pobierał nauki muzyczne u najlepszych łódzkich pedagogów. W latach szkolnych zaprzyjaźnił się z uczniem rosyjskiego gimnazjum rządowego, Julianem Tuwimem i do jego tekstów skomponował w 1915 pierwsze swoje utwory, wystąpił też wtedy pierwszy raz publicznie, jako akompaniator. Należy wspomnieć o przyjaźni Saszy z młodym skrzypkiem Pawłem Kleckim, później dyrygentem o światowej pozycji.

Ten pierwszy, łódzki okres Tansmana przedstawia autor niezmiennie barwnie i interesująco, na szerokim tle stosunków społeczno-towarzyskich i spraw artystycznych, co sprawia, iż te partie książki są wyjątkowo atrakcyjne dla miłośników kulturalnych „łódzianów”, stanowiących cenny przyczynek do życia Łodzi na początku naszego wieku.

Po maturze Aleksander zapisał się w Warszawie na prawo, a studia muzyczne (kompozycji) pobierał u profesora Piotra Ryty, ale z uwagi na konserwatywne gusty mistrza konsultował się nieoficjalnie z Henrykiem Melcerem-Szczawińskim, który skrycie patronował jego młodzieńczym, mocno awangardowym kompozycjom. Już jako dwudziestolatek mógł się Tansman poszczycić sporą liczbą utworów: instrumentalnych i wokalnych, symfonicznych i kameralnych. Pomimo tego ukończył prawo w terminie, ale pochłonięty go wyłącznie zajęcie muzyczne. Szybko zaczął odnosić sukcesy, m. in. wygrywając w 1919 r. pierwszy w niepodległej Polsce, ogólnokrajowy, bardzo licznie obsadzony konkurs kompozytorski, w którym oprócz nagrody głównej, przypadły mu dwa z trzech przyznanych w konkursie wyróżnień. Odnotowała ten fakt, dumna z sukcesu krajana — prasa łódzka.

Część jednak konserwatywnej krytyki warszawskiej, niechętniej Tansmanowi również ze względu na jego żydowskie pochodzenie, odmawiała jego dziełom większych wartości, co pozostało nie bez wpływu na jego decyzję wyjazdu w 1919 r. do Paryża. Jak się okazało — na zawsze.

O jednoznacznym uznaniu opinii paryskiej dla talentu młodego przybysza i o jego wy-

bitnej już wkrótce pozycji w świecie artystycznym świadczą m. in. jego bliskie kontakty zawodowe i przyjacielskie z tak wybitnymi muzykami, jak Ravel, Strawiński, Honegger, Prokofiew, Martinu, de Falla. Życie muzyczne Paryża było zresztą niezmiernie bogate, i tak np. przeciętny tydzień w sezonie 1919/20, wypełniało dziesięć koncertów symfonicznych oraz około czterdziestu kameralnych i recitali. A jednak udało się Tansmanowi niezwykle szybko zwrócić na siebie uwagę krytyki i publiczności, a także pozyskać sobie znakomitych wykonawców — solistów i dyrygentów, jak: Huberman, Landowska, Dygat, Drzewiecki, Horszowski, Sziget, Monteux, Mengelberg, Stokowski, Abendroth, Kussewicz, którzy weszli na stałe do historii muzyki. Utwory Tansmana wykonywano w najbardziej renomowanych salach koncertowych i scenach muzycznych (balety), ukazywały się w najlepszych wydawnictwach i nagrywane były przez najpopularniejsze wytwórnie płytowe.

Znamienne jednak, że towarzyszyło temu niemal nieustanne przemilczanie lub lekcewa-

żenie jego twórczości w kraju i podczas, gdy krytycy zagraniczni, bezbłędnie odnajdywali w jego dziełach inspirację polską i określali go wprost jako kompozytora polskiego, zasłużonego dla współczesnej muzyki, w Polsce wielu uważało go za Żyda i twórcę kosmopolitycznego. A gdy w 1938 r. rząd francuski zaprzęgnął wybitnego kompozytora Legię Honorową i zwrócił się o formalną rekomendację do rządu polskiego (Tansman zachowywał bowiem obywatelstwo polskie) ambasada polska złożyła oświadczenie nieprzychylnie zamiarowi uhonorowania swojego obywatela.

I podobnie jak nieprzychylna krytyka krajowa była swego czasu jednym z powodów wyjazdu Tansmana do Paryża, tak ów nieprzychylny gest władz polskich zadecydował o zerwaniu się przez Aleksandra Tansmana obywatelstwa polskiego i przyjęcia francuskiego, przyznanego mu wśród oznak najwyższego uznania i szacunku. Autor książki nie wahał się zresztą wymienić z nazwiska osób, zwalczających Tansmana, niegodnymi metodami i przytacza ich wprost kuriozalne brzmienie wypowiedzi. Widocznie Janusz Cegieła nie dba o układy w środowisku muzycznym.

Kompozytor ubolewał zawsze nad niezrozumieniem polskiego charakteru jego twórczości przez znaczną część opinii krajowej. Pisał: „Czy moja muzyka jest w kraju znana, czy nie, należy do kultury polskiej (...) Francji mam dużo do zawdzięczenia pod względem ewolucji twórczej, życia osobistego i również międzynarodowej reputacji, ale nie zmienia to bynajmniej mojej narodowej przynależności artystycznej, która zresztą dawała i daje nadal o sobie znać w całej mojej twórczości...”

Również i przez szereg długich lat po ostatniej wojnie triumfom Tansmana za granicą nie towarzyszyło uznanie w Polsce, czy choćby znajomość jego dzieł i w ogóle informacja o jego istnieniu. Tym bardziej miło stwierdzić, że wśród niezbyt dotychczas licznych wykonawców jego dzieł w Polsce znaleźli się znani artyści łódzcy, Defina Ambrozjak i Rajmund Ambrozjak.

Jest chyba w tym coś zaskakującego, że aż czterech artystów łódzkich pochodzenia żydowskiego zasłynęło tak szeroko w świecie, jak muzycy — Artur Rubinstein, Paweł Klecki i właśnie Tansman oraz od niedawna sławny na zachodzie swoim malarstwem Jankiel Adler (pomijam Juliana Tuwima, który jako artysta słowa miał nieporównanie mniejsze szanse międzynarodowej kariery). Ale spośród nich Aleksander Tansman dobiegający dziś dziewięćdziesiątki, jest w swoim rodzinnym mieście postacią najmniej znaną i dopiero książka biograficzna Janusza Cegieły (z lekkimi ciętami autora do gatunku „vie romancée”), znakomicie udokumentowana, bogato ilustrowana i świetnie napisana otwiera kompozytorowi, który nie miał szczęścia do swoich, szansę dać im się poznać. Nie zastąpi to wszakże obecności dzieł tego wybitnego twórcy w polskich i łódzkich salach koncertowych. Gości się łódzianom zadbaj zawczasu o przypadającą w roku przyszłym dziewięćdziesiąt rocznicę urodzin wybitnego ziomka.

JERZY KWIECIŃSKI

Janusz Cegieła: „Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czas”. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986 r. s. 517, ilustracji 111, cena 650 zł.

Wynalazcy i drażni kolegów pewnością siebie nawet, jak na Anglika nieostowną. Jego przyjaciół (zanim Watson dostąpił zaszczytu), jest nauczyciel szermierki, mister Rathe. Rathe uczy Holmesa koncentracji i nieulegalności emocjom, a na koniec okazuje się skoncentrowanym bydlakiem i przewodniczącym sekty cxcicieli. Ozyrysa, w trakcie obrzędów osobiste szarynającym kobiety przeznaczone na ofiarę, uprzednio obficie oblane wrzaskiem.

Aktorzy nie są znani, ale ich rzemiosło jest na wysokim poziomie (jedynie Anthony Higgins odstaje od ogólnego poziomu, gdyż Rathe w jego wykonaniu, jest mimo wszystko postacią sympatyczną). Alan Cox, jako Watson należy do najlepszych.

Fajerwerki techniczne, jakie znaczą filmową drogę Spielberga (Spielberga, gdyż Levinson jest jedynie jego satelitą), począwszy od „Szczęk”, wskazują, jaką drogą może rozwijać się kino. Doład konkurowały z sobą (lub jak kto woli uzupełniały się) ambitna nuda i nieambitna rozrywka. Takie filmy jak „Czas apokalipsy”, czy „Znikający punki”, to połączenie tych tendencji i jeśli Spielberg pójdzie podobną drogą, być może będziemy świadkami narodzin nowego kina.

TOMASZ KUBIK

„Piramida strachu”: reżyseria Barry Levinson, USA.

## Z półki recenzenta

ZA MURAMI PAWIAKA

Ta książka — to najprawdziwszy z prawdziwych dokument świadczący o martyrologii Polaków, o zbrodniach, o śmierci tysięcy niewinnych więźniów zwożonych przez gestapo do więzienia na Pawiaku. Leon Wanat przez cztery lata pełnił tam funkcję pisarza kancelarii więziennej, a więc miał nie tylko czas, ale i możliwość siedzenia niemieckiej machiny zagoni. Leon Wanat nie miał złudzeń, co do swojego losu, toteż w lipcu 1944 r. organizuje ucieczkę, która kończy się szczęśliwie. Świadek zbrodni ludobójstwa odzyskuje wolność, by przez kilka lat następnych być koronnym świadkiem w procesie zbrodniarzy wojennych.

Książka jest dokumentem wstrząsającym, zawiera wiele fotografii, rysunków, zestawień i wykazów nazwisk osób przybywających na Pawiak lub wywożonych do obozów zagłady. Autorka przedmowy, Pola Gojawiczyńska, więźniarka Pawiaka, tak napisała: „Dla tysięcy ludzi, którzy przebywali na Pawiaku i tysięcy ludzi, którzy stracili tam swoich bliskich, książka będzie miała przy tekście autora jeszcze jakiś inny, osobisty podtekst — czytelników”.

Leon Wanat: Za murami Pawiaka. KiW 1986. Str. 516. Cena 390 zł.

BESTSELLER SPRZED LAT

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się w 1966 r. i, jak wówczas napisano, stała się ona „bestsellerem literatury politycznej”. Oto po raz pierwszy ktoś odważył się tak wnikiwie, a zarazem prawdziwie przedstawić fakty dotyczące zmagania dyplomatów, w wyniku których powstała Polska Rzeczpospolita Ludowa. A więc po raz pierwszy ukazane zostały kulisy zmagania podczas spotkań Wielkiej Trójki o status i kształt przyszłej Polski.

Dziś otrzymaliśmy właśnie szóste wydanie pracy Włodzimierza T. Kowalskiego mającej przydługi, ale bardzo adekwatny do treści tytuł: „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939—1945”.

Nie sądzę, aby należało kogokolwiek zachęcać do lektury tego dzieła, które — mimo upływu lat — nie straciło ze swojej politycznej i historycznej wymowy, a także wytrzymało próbę czasu pozostając na stałe w naszej powojennej literaturze politycznej.

Oczywiście, że edycja obecna różni się od pierwszego wydania, bowiem autor dzięki badaniom archiwalnym i studiom dokumentów znajdujących się poza granicami Polski, wzbogacił ją o nowe, nieznane dotąd fakty.

Włodzimierz T. Kowalski: Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939—1945. KiW 1986. Str. T. I — 450, T. II — 264. Cena 400 zł.

DEMON Z ALTÓWKĄ

Proponuję czytelnikom książkę niezwykłą: oto śledzimy dzieje zwykłego, przeciętnego altowiolisty, który — w skutek nieprzewidywanych, a zarazem fantastycznych spotkań wydarzeń — egzystuje w dwóch, różniących się od siebie diametralnie, światach: rzeczywistym i wyimaginowanym. A do tego w dwóch wcieleniach: ludzkim i demonicznym. Można więc zaryzykować twierdzenie, że autor Władimir Orłow jest kontynuatorem wspaniałych i wielkich poprzedników, takich jak Gogol, Dostojewski i Bułhakow. Słowem, jest to książka, którą się czyta „jednym tchem” podziwiając wyobraźnię i pomysłowość jej autora.

Przekład Aliy Sarachanowej.

Władimir Orłow: Demon z altówką. WL 1986. Str. 376. Cena 320 zł.

MUSSOLINI

Nie tak dawno ukazała się skromnie wydana książka nosząca tytuł: Mussolini. Jest to już trzecie wydanie uzupełnione przez autora Marka Boruckiego. Książka jest historią o wzięciu i upadku dyktatora Włoch, ojca faszyzmu, który odegrał niepoślednią rolę w krwawych wydarzeniach ostatniej wojny. Dwa cytaty charakterystyki Mussoliniego: „Mussolini jest silnej budowy fizycznej, lecz choruje na przewlekły syfilis”. „Mussolini jest niewysokiego wzrostu, co według nowych teorii anatomicznych jest właściwością ludzi czynu”. Tak pisał w latach dwudziestych.

Polecam tę ciekawie napisaną książkę, „napiętkowaną” faktami, które czynią z niej lekturę tyleż pasjonującą co poznawczą.

Marek Borucki: Mussolini. KiW 1986. Str. 316. Cena 160 zł.

Opracował: E. IW.



**R**ozmiany projektu są imponujące — powiedział. — Podstawa Araratu, o czym można się przekonać oglądając makietę, to kwadrat o boku pół milii. Niech każdy z was, panowie, sięgnie do wyobraźni czy to dużo? Myślę, że nie, bowiem istotą Araratu, jego genialności, jest maksymalne zbliżenie się do utopii. To my, zgromadzeni w tej sali zbudujemy na nowo zaginioną Arkę, której bezskutecznie szukali w połowie lat osiemdziesiątych astronauta James Irwin. Pod szklaną, wykonaną z akrylowego szkła konstrukcją pomieszcimy, jak biblijny Noe, resztki nieskazzonego środowiska, siebie samych, ludzkość, dla potomnych. Architekci i konstruktorzy zapewnią mi, że przez naszą powolną penetrację będzie sto procent naturalnego światła i tyle samo słonecznej energii. W porównaniu do pierwszych kopuł Buckminstera Fullera to ogromny skok. No, ale Fuller był blisko pięćdziesiąt lat temu. (...) Szanowni zebrani, miejsce, którego nikt z nas jeszcze nie zna, musi być tym jedynym miejscem, które przetrwa i nas i następne pokolenia. Niezbędne są więc wieloletnie badania geologiczne, seismologiczne, geologiczne. Pełna analiza danych z powierzchni Ziemi i z Kosmosu. To na początek. Idea Araratu musi być zaszczerpiona w każdym błądzącym dziś na kuli ziemskiej sercu. To jest szansa tych serc. Musimy pozyskać lewaków, anarzystów i wszelką, przepaszczoną okroślenie, polityczną swolocz, która od niepamiętnych czasów depcze po piętach każdego rządowi. Zapewniam pana, panie sekretarzu i was panowie, że stary Soczew dopnie swego. Jak każdy obecny w tej sali, zaświadczy swoją niezłomność podpisem na końcowym dokumencie. Panie sekretarzu, panowie, ja również dziękuję, że zechcieliście mnie z taką uwagą wysłuchać.

Soczew wytarł chusteczką nagromadzoną w kciach ust silną poluzową waski — czarny krawat, który zbyt mocno cisnął mu szyję. W polu kamery, jak obraz kontrolny widać było zielone tło ścian i symetrycznie ustawione po bokach marmurowe kolumny.

— To był Nicholas Soczew, którego Ralph znał najlepiej z zebranych i z którym przed laty, będąc jeszcze na dalekim morskim statku, próbował zrobić wywiad. Soczew miał zaszczyt uświetnić swoją osobą obóz skautów nad malowniczym jeziorem Swan. W planach spotkania przewidziano wspólne picie kielbas, śpiewanie z młodzieżą skautowskich pieśni. Propagandysta Soczew zamierzał wykorzystać spotkanie do zaszczerpienia w młodzieży idei ochrony środowiska. Czy mogło być bardziej wymarzone miejsce?

Ralph wyprowadził swym przejazdem Soczewa o dwa dni. Nie czuł się najlepiej. Obóz, w którym dawną dymiącą kuchnię zastąpiła stołówka, a namioty siedmiopiętrowy pawilon ze szkła i betonu, nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Jakby na złość (Ralph musiał jeść coś nieswieżego) męczył go w tym dniu rozpalający żółdka. Z tą nie pozwalającą oddalać się zbyt daleko od latryny (wyłożonej kafelkami ubikacji) dolegliwością, błąkał się po skautowskim obozie, nie znajdując w sobie siły do zapoznania się z młodzieżą. Ralph nigdy nie spędził w ten sposób wakacji. Jego rodzice uważali, że jest to nazbyt oczywista strata czasu, niepotrzebny, deprawujący ich syna luksus.

Tak, Ralph znał Soczewa, ale czy owo „znać” określać może pojedynczą rozmowę, którą przeprowadził z nim nad brzegiem jeziora. W czasie wyjazdu Soczew czuł się zupełnie swobodnie, tak jakby „obozowisko” nad jeziorem Swan było częścią ministerialnego ośrodka. Soczew miał na sobie pomarańczową koszulkę polo, zbyt obfite spodnie frotte i duży, jak meksykańskie sombrero, słomkowy kapelusz.

— No słucham! Zadzaj mi wreszcie, młody człowieku, pytanie — niecierpliw się. — To ty przecież robisz wywiad, nie na odwrot.

Ralph nadusił wtedy przycisk magnetofonu.

— Panie ministrze, od lat prowadzą pan konsekwentną ochronę środowiska — powiedział — jakże w związku z tym stawia pan wymagania skautowskiej młodzieży?

Soczew parsknął śmiechem.

— To ma być pytanie? Masz być napastliwy, tak, tębnym czuć do ciebie niechęć. Czego uczą was te pierdoły w radiu

Masz mnie sprowokować, rozumiesz się? No to jażda!

Wszystkie uwagi Soczewa, łącznie z „wywiadem” zostały przez Ralpha nagrane. W słownym zamieszaniu nie zdążył nawet wyliczyć taśmy.

— Chcesz chłopce bajki, no to słuchaj. Bardzo dawno temu, tak dawno, że nie pamiętają najstarsi ludzie, gdy było na świecie domów, ulic i samochodów bogiem była przyroda. Niewyobrażalne — prawda? Nie Hades, nie Olimp, nie Golgota. Prawdziwy Bóg — przyroda. Pytasz o młodzież? Nie traktuję młodzieży, a co dopiero dzieci serio. Ochrona środowiska to bardzo ważne, ważniejsze niż ci się wydaje zadanie. Co ma z tym wspólnego dzieci i młodzież? Tu trzeba wielkich pieniędzy, po waszemu nazywa się to szmal, money. O co mu chodzi? — myślisz. — Przecież w naszej Tamizie, jak przed wiekami, od ponad trzydziestu lat busują strażnicy. Nawet obetonowany jak ściek Ren niesie czyste, jak łyż Lorelay wody. Za kilka lat Europa będzie wolna. Okręgi przemysłowe Manchester, Edynburg, zagłębie Ruhry, kopalnie węgla we Francji, Czechosłowacji i Polsce zaprzestają emisji pyłów, spalin i gazów. Jeszcze kilka, najwyżej kilkanaście lat i... Czyżby stary Soczew był owładniętym mafią szaleńcem?

— Ja tego nie powiedziałem.

— Ale pomyślałeś. Znam się na ludziach! Chciałbym być dobrze zrozumiany. Człowiek zasługuje na miano „człowieka”, gdy jest dorosły. Pracuje, założy rodzinę. Nie pisze wierszy jak blazen, nie wzdycha do księżycy. Całkowicie zgadzam się ze starym nudziarzem Heglem. Nienawidzę młodzieży za jej egoizm. Jej napastliwość ma moda to nie ekstrawagancja czy snobizm, to racjonalna nam starą rekawicą. Nikt, wierzę mi chłopce, nie chce być stary, a dziś starym po prostu być nie wypada. W tym absurdzie zasilamy w ślepią uliczkę. Nie ma dziś innej muzyki, jak młodzieżowa. Wiąże młody człowiek radio, to się przekonasz. Nie ma innych filmów, jak dla młodzieży. Odsuwa się nas, jak zużyte meble, na periferię. Dojdzie do tego, że będziemy czekać w ukryciu, w swoich domach na śmierć. Teraz już wiesz, o co „mu” chodzi?

Soczew nerwowym ruchem poprawił rondo kapelusza.

— Musi być jakiś iskierka nadziei — powiedział. — Ślad, który po nas przetrwa.

Ralph zastanawiał się, co powiedzieć. Odnosił wrażenie, że gadatliwość Soczewa ma swoje źródło gdzieś głębiej. Nie przebiegając więc w słowach powiedział:

— Panie ministrze, starość to pański kompleks, uszanuj go i nie będe, jak pan chciał, napastliwy. Chciałbym jednak wiedzieć...

— Brawo, brawo mój chłopczel! Podobasz mi się, robisz postępy. Gdyby nie mój woreczek, zaprosiłbym cię na wódkę. Jeszcze dziś poszlibyśmy do jakiejś knajpy, albo na drinki, znam takie miejsca. Wypilem morze wódki zanim dostaliśmy stołek ministra. Wypilem ocean wódki — powiedział i uśmiechnął się w grymasie. — W polityce prócz tegiej głowy trzeba mieć jeszcze zdrowy żołądek. Stary Soczew ci to mówi, poniatno? A teraz posłuchaj, co ci powiem: Skasuj ten swój krećciole i spierdalaj! No, co się tak gapisz? Myślisz, że się przejęczyłem? No, poszł woni!

Ralph posłusznie wyłączył magnetofon i szybko się oddalił. Niepotrzebnie dał się Soczewowi sprowokować. Odstąpił się za wcześnie. Powinien wolno, jak ślimak wystrawiać mikrofon z muszli i przytakiwać, przytakiwać. Obieśny stary facet.

Gdy Ralph obrócił się, Soczew wciąż stał w tym samym miejscu. Linie grzbietu i brzucha starego ministra tworzyły w wyobraźni Ralph'a wydatą całość, a może paragraf. Karykatura!

Ralph leżał na ziemi zmuszając oporną pamięć do wyślinku. Każdy szczegół był ważny. Ile to lat — zastanawiał się — minęło od tamtej rozmowy. Dwadzieścia, a może więcej. Z całej tej zgrai, którą oglądał na ekranie, znał tylko Nicholas'a Soczewa. Jakże ten stary cynik miał cel w budowie szklanego Araratu?

Ralph Bennet poprawił wsuniętą pod głowę teczkę. Leżał w zupełnie nieznanym miejscu. Jego myśli coraz skuteczniej opanowywały zwątpienie, a może był to zwykły ludzki strach, z którego nie zdawał sobie jasno sprawy. Mankiewin podzucił mu materiał, nieważne w dobrej czy złej

wierze. Nie ostrzegł go, nie powiedział: Musisz uważać na siebie Ralph. Przeczytaj to, o bejczy, zostaw. Bo ja wiem gdzie? W śmietniku, w dworcowej toalecie, autobusie. Nie noś tego ze sobą. Zapamiętaj i wyrzuci. Przyjdzie czas, że któryś z nas upchnie gdzieś jakąś aluzję, zmyślony obrazek, może w „Rainbow”? Teraz na to wszystko jest jeszcze za wcześnie.

Nie, nie powiedział tak. Świadomie wpakował go w położenie bez wyjścia. Jak zawodowy myślny w tym cholewnym bistro zaplanował na niego nagonkę. Tak jest, ofiarą miał być Ralph. Przyjaźń przestała się liczyć, była niewygodna, problematyczna. Bo co to jest w gruncie rzeczy przyjaźń? — pomyślał Ralph. — Uczucie, które rozplywa się w palcach, gdy je mocno zacisną. Owszem, istnieje jakiś sentyment, zrozumienie, wzajemna pomoc, której nikt, broń Boże, nie kwestionuje. Lecz szczerość intencji? — w nią wszędzie i zawsze powinno się wątpić.

Nie, nie powiedział tak. Świadomie wpakował go w położenie bez wyjścia. Jak zawodowy myślny w tym cholewnym bistro zaplanował na niego nagonkę. Tak jest, ofiarą miał być Ralph. Przyjaźń przestała się liczyć, była niewygodna, problematyczna. Bo co to jest w gruncie rzeczy przyjaźń? — pomyślał Ralph. — Uczucie, które rozplywa się w palcach, gdy je mocno zacisną. Owszem, istnieje jakiś sentyment, zrozumienie, wzajemna pomoc, której nikt, broń Boże, nie kwestionuje. Lecz szczerość intencji? — w nią wszędzie i zawsze powinno się wątpić.

PAWEŁ JASZCZUK

## Szklany Ararat

Ralph bał się, zwyczajnie bał się, że jego życie może równie bezsensownie zakończyć się, jak życie jego szkolnego kolegi Maksa Hindemana. Przez wiele lat byli dobrymi kumpami. Ba, siedzieli w jednej ławce i kochali się (bez wzajemności) w tej samej rudziej Katty, którą później siłą wziął na pikniku jakakąś się Jack. Maks wołał teraz Ralph'a do siebie. Przez czarną, dobrze wyprawioną skórę teczki, skrywającej tragedię Araratu, Ralph wyraźnie słyszał ochrypły jęk Maksa. Potworne wołanie kogoś, kto już wie, że zniknął nie ma pomocy.

Maks Hindeman był zapalonym grotolazem. Nie wiadomo skąd wzięło się do jego pozabawione sensu, niebezpieczne zajęcie. Pewnego dnia (było to na drugim roku ich wspólnych studiów Hindeman stwierdził, że ma zbyt dużo wolnego czasu, w sam raz na jakieś hobby. We wszystkim co robił, Maks starał się być oryginalny. Zaden z jego kumpi nie pchał się pod ziemię. Owszem, byli tacy, którzy łatali balonami, co trzeci ćwiliły pływające, paru kajał — lecz jaskinie? Co to, to nie! Wiele razy, gdy Maks pakował do plecaka swój plastikowy kask, zwoje lin, szkieł, klamry, mięsne puszkę, termos i Bóg wie co jeszcze, ładując to wszystko na koniec do bagażnika stojącego na parkingu jeepsa — Ralph tracił cierpliwość.

— Daj sobie na wstrzymanie! — radził Maks. — Przywlecz dla twojej przyszłej cpi ci najładniejszy okaz skalnego kutasia. Nikt jeszcze przed tobą takiego nie miał. — Potem włożył kluczki do stacyjki i parsknął śmiechem.

Ralph burknął coś wtedy do Maksa (coś, czego już nie pamiętał, coż od ich ostatniej rozmowy minęło wiele lat) zdaje się:

— Idź do cholery! — czy coś w tym sensie. Sens tych słów z pewnością oddaje to: — Idź do cholery!

Ralph powiedział to i poszedł spać. Za trzy dni Maks, zgodnie z umową, miał wpasć do Ralph'a na partyjkę warcibów. Coś musiało się stać. Między tydzień, potem miesiąc. Kiedy minęły trzy miesiące, popołudniówka, którą kupił przypadkowo w kiosku, krzykliwa „Evening Star”, podała sensacyjną wiadomość: „Ciało znakomitego zapowiadającego się grotolazę Maksa Hindemana odkryto w ciastym otworze jaskini, w kanionie Silver River, zaledwie trzy metry od wyjścia”.

Ralph umiał to sobie doskonale wyobrazić: Szeroko otwarte oczy Maksa przez wiele godzin przyzwyczajają się do ciemności Ralph wiele razy apogował w te oczy. Ich kolor wydawał się mu młodości, innym razem zielony, jak przeświecające promieniami słońca grzybki fal. Maks nigdy już więcej nie spojrzał tymi oczami na Ralph'a.

W następnej popołudniówce Ralph Bennet przeczytał, że powodem śmierci Hindemana mógł być gwałtowny przybór wody. Maks uduśli się, utknął pod szalejącym wodospadem.

Na dobrą sprawę Ralph miał swoje własne wytłumaczenie tragedii. Uważał, że wyjściu Maksa z jaskini przeszkodził okaz stalaktytu, który wystawał mu z plecaka. Opuścił go silny, zaklinował się w niewygodnym, ciastym przejściu, beznadziejnie w obliczu spadających nań tysięcy litrów lodowatej, stopionej ze śniegu wody.

Bennet usnął i śpiąc zwinął w kłębek, z podłożoną pod głowę (podarowaną przez Manikiewicz) teczką, słysząc odgłosy ziemi, łopnienie śniegu i słabnący krzyk Maksa, z zaklinowaniem w plecaku stalaktytem. Ta nieprzemijająca muzyka ziemi, napeliła go załamem. Zalem, że nigdy tak jak Maks, nie był blisko swego celu, że teraz również ten cel, nieboszczę jak szklany Ararat wali się, tłucze na tysiącach kawałków, rozpada w pył.

Bennet usnął i śpiąc zwinął w kłębek, z podłożoną pod głowę (podarowaną przez Manikiewicz) teczką, słysząc odgłosy ziemi, łopnienie śniegu i słabnący krzyk Maksa, z zaklinowaniem w plecaku stalaktytem. Ta nieprzemijająca muzyka ziemi, napeliła go załamem. Zalem, że nigdy tak jak Maks, nie był blisko swego celu, że teraz również ten cel, nieboszczę jak szklany Ararat wali się, tłucze na tysiącach kawałków, rozpada w pył.

(2)

Ralph bał się, zwyczajnie bał się, że jego życie może równie bezsensownie zakończyć się, jak życie jego szkolnego kolegi Maksa Hindemana. Przez wiele lat byli dobrymi kumpami. Ba, siedzieli w jednej ławce i kochali się (bez wzajemności) w tej samej rudziej Katty, którą później siłą wziął na pikniku jakakąś się Jack. Maks wołał teraz Ralph'a do siebie. Przez czarną, dobrze wyprawioną skórę teczki, skrywającej tragedię Araratu, Ralph wyraźnie słyszał ochrypły jęk Maksa. Potworne wołanie kogoś, kto już wie, że zniknął nie ma pomocy.

Maks Hindeman był zapalonym grotolazem. Nie wiadomo skąd wzięło się do jego pozabawione sensu, niebezpieczne zajęcie. Pewnego dnia (było to na drugim roku ich wspólnych studiów Hindeman stwierdził, że ma zbyt dużo wolnego czasu, w sam raz na jakieś hobby. We wszystkim co robił, Maks starał się być oryginalny. Zaden z jego kumpi nie pchał się pod ziemię. Owszem, byli tacy, którzy łatali balonami, co trzeci ćwiliły pływające, paru kajał — lecz jaskinie? Co to, to nie! Wiele razy, gdy Maks pakował do plecaka swój plastikowy kask, zwoje lin, szkieł, klamry, mięsne puszkę, termos i Bóg wie co jeszcze, ładując to wszystko na koniec do bagażnika stojącego na parkingu jeepsa — Ralph tracił cierpliwość.

— Daj sobie na wstrzymanie! — radził Maks. — Przywlecz dla twojej przyszłej cpi ci najładniejszy okaz skalnego kutasia. Nikt jeszcze przed tobą takiego nie miał. — Potem włożył kluczki do stacyjki i parsknął śmiechem.

Ralph burknął coś wtedy do Maksa (coś, czego już nie pamiętał, coż od ich ostatniej rozmowy minęło wiele lat) zdaje się:

— Idź do cholery! — czy coś w tym sensie. Sens tych słów z pewnością oddaje to: — Idź do cholery!

Ralph powiedział to i poszedł spać. Za trzy dni Maks, zgodnie z umową, miał wpasć do Ralph'a na partyjkę warcibów. Coś musiało się stać. Między tydzień, potem miesiąc. Kiedy minęły trzy miesiące, popołudniówka, którą kupił przypadkowo w kiosku, krzykliwa „Evening Star”, podała sensacyjną wiadomość: „Ciało znakomitego zapowiadającego się grotolazę Maksa Hindemana odkryto w ciastym otworze jaskini, w kanionie Silver River, zaledwie trzy metry od wyjścia”.

Ralph umiał to sobie doskonale wyobrazić: Szeroko otwarte oczy Maksa przez wiele godzin przyzwyczajają się do ciemności Ralph wiele razy apogował w te oczy. Ich kolor wydawał się mu młodości, innym razem zielony, jak przeświecające promieniami słońca grzybki fal. Maks nigdy już więcej nie spojrzał tymi oczami na Ralph'a.

Ralph umiał to sobie doskonale wyobrazić: Szeroko otwarte oczy Maksa przez wiele godzin przyzwyczajają się do ciemności Ralph wiele razy apogował w te oczy. Ich kolor wydawał się mu młodości, innym razem zielony, jak przeświecające promieniami słońca grzybki fal. Maks nigdy już więcej nie spojrzał tymi oczami na Ralph'a.

Ralph umiał to sobie doskonale wyobrazić: Szeroko otwarte oczy Maksa przez wiele godzin przyzwyczajają się do ciemności Ralph wiele razy apogował w te oczy. Ich kolor wydawał się mu młodości, innym razem zielony, jak przeświecające promieniami słońca grzybki fal. Maks nigdy już więcej nie spojrzał tymi oczami na Ralph'a.

z psiem (niemal wszystkie dziewczyny uwielbiały psy, najlepiej małe spaniele, podobne do pluszowych zabawek) rzuciła w jego stronę docieklawe, lekko spojrzanie. Opalone na ciemny brąz ciało dziewczyny skrywało tajemnice, której Ralph jeszcze dotąd nie znał.

A później sen, jak gnany ogromną falą statek, rzucił kotwicę w innej zatoce wspomnień. Ralph był w gabinecie lekarskim. Obnażony. Jego wiotka męskość wydatnie zwiśla między udami. Znajoma z poprzedniego snu, kruczowłosa dziewczyna ubrana w biały fartuch, kładła mu wywinąć napletek, wkładając długie, wypielęgnowane palce do gumowej rekawiczki.

— Panie Bennet — powiedziała zniecierpliwiona — proszę obciągnąć mochnie!

Ralph zrobił to posłusznie. W gabinecie za biurkiem inna dziewczyna, blondynka o dużych, niebieskich oczach z jaskinowatymi okularami na nosie, zapisywała coś w zeszyście.

— Ostatni stosunek? — u

słyszał Ralph.

— Zaraz, kiedy to było? — pomyślał i zaczął gorączkowo szukać w pamięci, tak jakby miał sobie przypomnieć, co jadał przedwcześnie na obiad.

— Zapomniał pan? — podeszła do niego i pogłaskała po głowie, tak jak się głaszczące małe dzieci.

Ralph zbyt długo zastanawiał się. Oczy pielęgniarki śledziły jego członka, jakby na nim miała być wypisana odpowiedź.

— Nie pamiętam — wystękał zaczerwieniony, gdy jego męskość wyraźnie się podniosła. — Zdaje się, że pół roku temu.

Jego słowa wzbudziły nieprzywytkowy śmiech pielęgniarki. Podniosła nawet dłoń do ust, by skryć nią nieśmiałość.

— Siostrz! — powiedziała znajoma z Butterhall — proszę zapisać okład z rumianku. To tylko zwykłe obtarcie — zwróciła się do Ralph'a — zbyt mocno obciąga pan napletek. Nieładnie młody człowieku, nie należy przesadzać. Jesteś już całkiem duży chłopiec, by sobie inaczej poradzić. No, co? — powiedziała i przysunęła się do niego. Ralph poczuł przez koszulę twarde, jędrne sutki i zamknął oczy.

Tamten obraz również szybko jak poprzedni oddalił się. Ralph zwinął w kłębek, jak małe dziecko, spał w wysokiej trawie z podłożoną pod głowę tajemniczą szklaną Araratu. Tajemnicą, która coraz mniej go kusila, coraz bardziej napawała odrazą, stawała się męcząca, wprost nie do zniesienia.

Jego wspomnienia przeskoczyły kilka lat do przodu. Ralph Bennet, student ostatniego roku historycznego fakultetu od paru miesięcy znał Laurę. Spokalił się na dyskotecę w klubie prawników. Laura była jego wymarzoną dziewczyną. Właśnie przechadzał się wraz z nią znajomymi ulicami miasta. Byli razem na randce, którą wcześniej w najdrobniejszych szczegółach zaplanowali.

Nie musieli się spieszyć. Mrok zapadł już dawno, mroczna tajemnica nieba wyzywała ich swoją przepaścią, niby parujący po deszczu las. Ulice, którymi spacerowali w ten dziwnie letni wieczór, ostatni dzień września, otwierały się przed nimi wyświeblami bramami domów, wyciszały od szumu aut, to wszystko było gdzieś poza nimi.

Zaczął padać ciepły deszcz. Ralph opasał ramieniem szczupłe ciało Laury. Bez wątpienia wyglądała na parę zakonanych. Marzyli, by ten wieczór wchłonił ich doszczętnie, by ich miłość była wolna od tak przyziemnych spraw, jak wykłady, kolokwia, czy zbliżający się termin pożegnania uczelni.

— Kocham cię! — powiedział zszepcane Ralph.

Laura weisnęła głowę w ramiona jak kotka i z dziwnym dreszczem niepokoju, a może wstyd, że to co słyszała, jest takie proste i tylko jej dotyczy, przywarła do sprężystego ramienia.

Jeśli kiedyś tak było, a było do cholery! — pomyślał śpiący Ralph — to świat jest jeszcze bardziej podły i tylko po to warto się czasem upić, by przyhamować tę rozpędzoną machinę czasu. Machinę, która nieubłagannie, kiedy Laura ma dziesiątki zmarszczek pod oczami i tyle samo rozstępów na biodrach, a on sflaczał miśnie i posiwiacie skronie, bezlitośnie wysysa ich w czeluść Wielkiego Bezkręsu.

Ralph Bennet przełknął ślinę. Mierziło go to wszystko, lecz po cóż była mu potrzebna we śnie i ta świadomość, obrzydliwa miękkość jego własnego charakteru. Głównie obchodziło go jego pieniąż, się od absurdów przeszłość, jego własna zaprzeczona młodość z wrzesniowym wieworem, który po latach dawał o sobie znać niby czkawka.

Musieli spać drobny, przelotny deszcz, bo kiedy Ralph Bennet oknał się jego ubranie i trawa pokryte były świecami się kropelkami. Obudzony przypomniał sobie resztkę snu. Rzeczywiście byli wtedy młodzi i piękni, i nie musieli się niczego wstydyć. Bennet skonstatował to z pewnym żalem, a później myśli, że właśnie tak siebie i Laurę osadził, dodała do tego żalu odrobiny gorczy, więc poczuł się bardziej niż w rzeczywistości stary i nikomu niepotrzebny.

Odrętwiały i przemoczony siedział w bezruchu, jakby na coś lub kogoś czekał. Słońce wyraźnie skłoniło się ku zachodowi. Deszczowa chmura, która musiała go zmoczyć, odpłynęła daleko, wyglądając jak ilustracja do nazwy miejscowości: czereda wielkich psów, błędnących po puszystym z chmur wzgórz.

Ralph opuścił wzrok. W odległości kilkunastu kroków rósł karłowaty, srebrzysty świerk. Jego rozczapierzone gałęzie zdawały się teraz drwić z niego, z jego beznadziejnych snów. Uragaly mu szyszkami i igliwiami. Nie było wątpliwości: świerk najwyraźniej kpił sobie z jego wprost nie do zniesienia sytuacji. Złazł się jedna z gałęzi przypominająca monstrualny, uniesiony do góry mentorski palec, wykrzywiła się złościwie.

Ralph z gotowym planem (skąd mu to przyszło do głowy?) ruszył w stronę karłowatego paskudztwa. Chwycił obojętnie perfidną gałąź i wygiął ją w palak. Nie pękła. Na domiar złego drobne, ostre igliki zaatakowały go wściekle w palec. Rozdrażniony spróbował mocniej, z całych sił. Sekundy zmagania się z oporną naturą — suchy trzask i gwałt pozostała w jego ręku. Zadowolony przeniosł ją w nieduże zagłębienie terenu i przeczotliwie ułożył na ziemi. Wyprowadził się, by za chwilę poszukać wzrokiem kolejnej zdobyczy. Miał szczęście, tuż za przewolanym do porządku świerkiem dostrzegł wysoka brzoze, ze zwiastującą do ziemi uschniętą gałęzią. Złamał ją bez trudu i jak poprzednią ułożył troskliwie w zagłębieniu, na trawie.

Po paru minutach (Ralph zgrał się i spościł jego wzrok cieszył stós mchu, gałęzi i chrustu. Tak, rozpal ogisko! Świeńny pomysł! Ogrzeje się i wysuszy ubranie. Cieszył się z tego jak dziecko.

Przykucał i drżącymi dłońmi od pierwszej zapaliki podpalił wętkiela pod stós galezi. Języki ognia zaczęły lapaćwie liźać suchy papier, a potem chrust i gałęzie. Coś za widok! Bennet przyglądał się temu z zapartym tchem. Czekając na stosowny moment, aż ogień całkiem ogarnie gałęzie, pokona wilgoć z niedawnego deszczu, rozprawi się z kłębnią materią. Gryzacy i dławiący dym rzucił się mu do oczu. Ralph przeganiał go ręką, zastaniał łwaz. Za chwilę powiew wiatru skierował dym w drugą stronę. Wtedy Ralph Bennet z dziwną rozkoszą sięgnął po teczkę.

Powoli, by nasycić się zemsta, otworzył zamek. A potem na ostęp wrzucił w ogień: zdjęcia, „Daily Rainbow”, którego nie zdążył jeszcze przeczytać (na ostatniej stronie zamieszczono jego felieton o przyczynach spadku zainteresowania teatrem wśród młodzieży), wreszcie Ralph rzucił na stos kasetę z nagraniem szklanego Araratu, potem drugą. Sноп lecający do góry iskierki ożywił widowsko. Ogień ochoczo trawił wszystko to, co wspaniałomyślnie mu podsunął.

Minał drugi kwadrans. Widowsko, które sprawił sobie Bennet dobiegło końca. Zostały resztki trochę żaru i popiołu, które przdeptał butem. Tylko tyle. Idee Nicholas'a Soczewa, marzenia Pinka i Borundi, jak oni sami przestali istnieć.

Bennet podniósł z ziemi teczkę i odruchowo spojrział na zegarek. Była 18.38. Za pół godziny odchodził jego pociąg.

grudzień 85 luty 86

KONIEC



**O**połe to festiwal muzyczny, a nie żaden teatr — powiedział Ireneusz Dušek. — Jeśli nie ma dobrego dźwięku, nie może być mowy o festiwalu muzycznym.

Opinia ta, wśród innych podobnych, jest wydrukowana w nadzwyczajnym wydaniu „Non Stopu”, periodyku zajmującym się sprawami muzyki rockowej. Redaktorem tej gazетки jest Wojciech Mann. Wypowiedzi znanych ludzi z kręgu rocka kompletowane były z pewnością grubo przed rozpoczęciem festiwalu. Nikt nie może więc powiedzieć, że o niczym nie wiedział. A mimo to, nie zadbało o lepszą jakość sprzętu, godząc się świadomie na wypaczenie brzmienia zaproszonych kapel. To akceptują i przykładają do tego rękę ludzie, którzy na co dzień mówią, jak bardzo sprawy rocka leżą im na sercu. Podziwu godna niefrasobliwość, jeśli nie coś znacznie gorszego.

I to jest kolejna przyczyna niepowodzenia festiwalu, po ehybionych pomysłach, pseudoinnowacjach, totalnym beztalencie organizacyjnym koncertów i kilku innych nieporozumieniach, głównie personalnych. Na nie zdają się wysilił duży zespół fachowców, wielogodzinne ustalenia typu: mikrofon czteronastka na konewki (saksofony), czwórka na wiosa (gitary), 7, 8 na przeskadzajki (różne małe perkusyjne), ten na wiory (skrzypce), tamten na wędka (skrzypki), odsuń ten piec (wzmocniacz), więcej basów w odsłuchach na perkera, itd., itp. Jeśli sprzęt jest do kitu, to szkoda ich pracy i fachowości.

Nie pomoże najbardziej nawet wyrażona rezyseria i koktajle pomysłów (hipotetyczna taka możliwość istnieje), gdy nie ma na czym „robić”. Tym bardziej że według opinii Zbigniewa Hołdyśa (i ja się z nią zgadzam), „reżyseria polska polega na tym, że jak zespoły dobrze zagrają, to jest świetny koncert, a jak źle, to jest kiepski”. Mówi to człowiek, który zna tę branżę od samego spodu, czyli od dna do dna. Co do tego dodać? Ano, nic.

Występuje na próbie zespół „Kult”, który o swojej muzyce mówi, że skazuje białko na ścięcie, a który z jakichś powodów bojkotowany jest przez muzyczne środowisko nowofalowe — przez publiczność, nie. Dlaczego tak jest, nie chcą mówić. Mają jednak „szlaban”. Nie są zapraszani na imprezy, a szkoda, bo rzeczywiście grają bardzo dobrze. Obawiam się, że udział w opolskiej imprezie nie polepszy ich sytuacji. Takie jest nastawienie wśród najmłodszej generacji, ale to temat na osobne rozważania.

Inny obrazek obyczajowy opisujący zwyczaj tego pokolenia. Zespół — „Kat” — obwołany najlepszą kapelą metalową w Polsce — kończy próbę. Też nie obyło się bez konfliktu. Muzycy schodzą z estrady, zostawiają gitary, kurtki i jakieś tam drobniaki, idą do kawiarinki. Wtedy wskazują dwaj młodzie, jak oni, identycznie ubrani w czarne skórzane uniformy, chłopcy. Pakują ostrożnie gitary do pudeł, zbierają części garderoby i niosą za swoimi idolami, a może po prostu — pracodawcami. Taka osobista gwardia. Tak czy owak, zostali wyróżnieni spośród dziesiątków innych, którzy prawdopodobnie chętnie robiliby to samo. U tych chłopców jest to zupełnie naturalne. Jest to jeden z elementów kultury (czy subkultury) najmłodszych. To też jednak temat na inną opowieść. A zmęczona Maryja Ródowicz sama musi targać swoje ogromne pudło pełne gitary. I to też jest naturalne.

Przygotowania do Festiwalu Polskiej Piosenki rozpoczęły się już w końcu października 1985 roku.

## ZACZEŁO SIĘ OD ZMIAN.

Niezależnie od komitetu organizacyjnego, na czele którego stał wicewojewoda opolski

Zygmunt Siedlecki, funkcjonujący dwa piony — programowy, którym kieruje po raz pierwszy Krzysztof Materna, oraz pion organizacyjny kierowany przez dyrektora opolskiej Estrady — Władysława Bartkiewicza. Ta nowa struktura miała dać inną jakość festiwalu.

Biuro Organizacyjne Festiwalu ma swoją siedzibę w budynku Estrady Opolskiej, przy ul. Kośnego 32a. Funkcjonuje przez cały rok przy dwóch biurkach w niewielkim pokoiku na III piętrze, by na czas zawłochy festiwalowej przenieść się piętro wyżej, do przestronnej sali, gdzie stoły sukrem zielonym zastlane, palić można tylko na balkonie, a pracować trzeba na pełnych obrotach od ósmej rano do dziewiętnastej, w tempie

ale żadne pomyłki i wynikające z nich spory nie zdarzały się. W tym roku większość umów spisano w Warszawie, gdyż tam zamieszkuje dyrekcja programowa. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby... Ponieważ jednak wszystkie umowy musiały przejść przez ręce i czujne oko pani Marii Wolnej, dyrektora Estrady, a także księgowość, co rusz ujawniano elementarne, a także bardziej skomplikowane błędy, które trzeba było korygować. Ponieważ idzie o pieniądze, w sumie bardzo duże, niektórzy przypadkiem poświęcić trzeba było więcej czasu, ku nieopisanemu zgłoszeniu kierowników produkcji, chcących mieć wszystko natychmiast. Sami poknocił, lub nie dopilnowali, co do nich należało, prawidłowo

Z najlepiej poinformowanych źródeł wiem, że dziesiątki sporów, jakie przetoczyły się przez Biuro Organizacyjne, dotyczyły w całości spraw finansowych. Nie zanotowano kiłtni o piosence, o jakiś kształt artystyczny, czy coś w tym rodzaju, chyba że miało to bezpośredni związek z wysokością honorarium. Wyjechała się forszę z hojnego (trzeba przyznać) mecenasa wszelkimi sposobami.

Oto przyjeżdża do Opola młody, zdolny aktor i piosenkarz (który ma zapowiadać jeden z koncertów) ze swoją „panią kierowniczką”. To znaczy, pani kierownik, skoro jest kierownikiem, przywiozł do Opola młodego, zdolnego itd., i za swoje kierownictwo żąda wszelkich uprawnień i wypłat. A czy rze-

dów specjalnymi autobusami, do obsługi w wyznaczonych restauracjach poza kolejnością i bywania w restauracji hotelu „Opole” — zarezerwowanej na czas trwania festiwalu tylko dla jego gości. Plastyczka wypisała ładnym starannym piśmem ponad 1500 takich plaketek. Jasne jest, że posiadanie jej (plakietki, nie plastyczki, choć i to też, bo ładna i efektowna dziewczyna), było marzeniem wielu osób (jak dzieci, słowo daje). Stąd też, namolne prośby różnych ludzi brzmiały niczym refren pośród licznych zwrotek o różnej barwie pianadza. Oczywiście idzie tu o ludzi przypadkowych, ale nie tylko. A to do zespołu przyjechały żony, a to do piosenkarza troje dzieci, do perkusisty jedno dziecko, do pana dyrygenta

lem”), różne, jak różni są ludzie, ich temperamenty, zwyczaj, charaktery, itp.

Wszystkie te (i dziesiątki innych) sprawy przechodziły najpierw przez ręce Marii Wolnej. W uporczywym hałasie pięciu maszyn do pisania, mając przed sobą dwoje zniecierpliwionych kierowników produkcji z plikiem umów do korekty, kolejną następną, nie mniej niecierpliwych, przynajmniej co minutę nowego petenta, który „tylko dwa słowa” (wysłuchała i odsyłała do właściwej osoby lub załatwiała od ręki), odebrała w tym czasie kilka telefonów, uspokoiła jakiegoś znerwicowanego niecierpliwca, a wszystko to z precyzją, dokładnością i bezbłędnością komputera. Tyle że elastyczność niezbędna przy sprawach nagłych i poczucie humoru są cechami arcy i wyłącznie ludzkimi. Uśmiech, panowanie nad sobą aż do przekonania, że pani Maria pozbawiona jest układu nerwowego, powoduje, że niejedna mina gotowa wybuchnąć natychmiast (po to zresztą tu wpadła) rozładowuje się dość szybko i, tak, tak, przyznaje rację spokojnej, rzeczowej argumentacji.

Sposób załatwiania spraw, duża kultura osobista, wiedza i fachowość, no i poczucie humoru, muszą wzbudzić podziw i uznanie dla tej kobiety i jej trudnej pracy. A przy tym nie tracąc ze swej kbiecości i naturalnego wdzięku. Reszta ekipy dostrzeliła się do stylu swojej szefowej.

Wielka szkoda, że grupa z przeciwnego końca festiwalowej struktury, zaprezentowała dokładnie odwrotne cechy osobowe i nie tylko. Gdyby obie machiny pracowały tak precyzyjnie jak ta pierwsza, festiwal mógłby być kolosalnym sukcesem.

Gdy już wybrzmia piosenki, uciennie amfiteatr a podnieście się jęzgot recenzentów i reporterów (do których mam zaszczyt niniejszym tekstem dotrzeć), intensywna praca Biura będzie kontynuowana. Trzeba sprawdzić i rozliczyć ponad tysiąc rachunków hotelowych, dwa razy tyle umów, ale co tam rachunki. Trzeba rozliczyć około 50 mln zł, bo taki jest w przybliżeniu koszt festiwalu. Zmudne obliczenia mają trwać do października, by w listopadzie ruszyć do tworzenia XXIV Festiwalu. Wierzę, że termin nie zostanie przekroczony, widziałam, jak można pracować. Dopóki Maria Wolna kieruje Biurem Organizacyjnym, bądźmy spokojni o tę działkę festiwalowej uprawy.

Skoro już zawadziliśmy o

## PRZYSZŁOROCZNE ŚWIĘTO PIOSENKI,

to, szanowni panowie (i panie, oczywiście), od których cokolwiek zależy w tej materii — nie ma się co szczytać — trzeba zatrzęść ziemią i zrajnować stare struktury, przemebelować, zmienić od korzeni obsadę realizatorów, wykazać więcej odwagi, nie bać się iść w szaleństwo. A że was mogłoby znieść przy okazji z powierzchni, to nie szkodzi. Na wasze miejsce przyjdą inni: młodzi, starzy, średni, byle nie z „nomenklatury”. Ci zepsuci „blazowani” faccyj zarazili polską piosenkę. Często w tym roku używano się — myślnie i bezmyślnie — określenia „muzyka śródk”. Znaczą — polska piosenka psuje się od środka. Jest mało czasu, by ratować gatunek, bo ten rodzaj psucia się jest ponoć najgorszy. Czy nie ma w naszym kraju ludzi odpowiedzialnych, a przy tym zdolnych, którzy mogliby znaleźć jakiś skuteczny specyfik na tę gangrenę?

A może wystarczy, by niektórzy, dla ratowania polskiej piosenki, nie mieszały się więcej w jej sprawy?

MAREK KOPROWSKI

## Nie pomoże puder, szminka...

# Polska piosenka psuje się od środka

dobrego sprintera. Pracą biura kieruje Maria Wolna (od czterech lat przy festiwalu, impreza ta nie ma dla niej tajemnic), która mogłaby być wzorem dla autora podręcznika o fachowej i skutecznej robocie. Ma do pomocy kilka miłych i urodzonych dziewczyn — niektóre z nich biorą urlopy w swoich firmach, by móc popracować dla festiwalu — inne zatrudnione są w Estradzie. Jest również paru uczniów i najświeższego wypieku studentów, „dubawionych”, jak co roku, do pomocy. Ta skromna ekipa wykonuje gigantyczną robotę w warunkach zbliżonych do oka cyklonu w epicentrum trzęsienia ziemi o sile dziesięciu stopni w tyłu stopniowej skali Richtera.

Nie wolno im zaszwanować, nie ma mowy o pomyłkach, wpadkach, przeoczeniach, po prostu w ich pracy nie może być lipy. Gdyby byli tak przygotowani i tak pracowali jak ekipa programowa — żaden festiwal nie wyszedłby poza stadium szczenięcej ślepoty. Tak na szczęście nie jest i od tej strony przynajmniej turbina tej wielkiej imprezy obraca się płynnie, nie skrzypi i nie zaczyna się. Ale i tutaj wciąż się niedowład organizacyjny „tamtej strony”, niefrasobliwy brak kompetencji i wyobraźni.

W ubiegłych latach wszystkie umowy z autorami, wykonawcami i innymi uprawnionymi do zajęcia należnego miejsca w kolejce do kasy, sporządzane i podpisywane były na miejscu. Trwało to może trochę dłużej,

wości sporządzanych dokumentów, a zdumiewali się rzekoma opieszałością i formalizmem w załatwianiu ich najpilniejszych papierków. Jakby nie wiedzieli, że za każdy ujawniony błąd odpowiada bezpośrednio (po kieszeni) jego autor.

Większość sporów dotyczyła stawek honorarijnych, branych jak się okazało, z „kodeksu niebieskiego”, czyli powietrza. Obowiązują przecież konkretne przepisy, stawki, tabele, a zainteresowani jakby nie chcieli o tym pamiętać i życzyli sobie wymyślonych przez siebie kwot. Rozumiem artystów: oni często

## CHADZAJĄ Z GŁOWĄ W OBŁOKACH,

ale ich pełnomocnicy czyli kierownicy produkcji, jeśli chcą być traktowani poważnie, jako fachowcy, powinni znać przepisy na wrywyki i po kolei. Tymczasem trzeba im było tłumaczyć, każdemu z osobna, cierpliwie, jak spóźnionym w rozwoju dzieciakom, o co chodzi. Jedni zgadzali się z tym, inni nie. Doszło, podobnie jak w latach ubiegłych, do szantażu zastosowanego przez paru wykonawców: albo dacie ile żądamy, albo nie występujemy. Siano telexy do ministerstwa, a stamtąd przychodziły odpowiedzi w formie „groźącego polca”, proponując wzięcie pod uwagę dalszej kariery. Oczywiście — skutkowało.

czywiście młody, zdolny nie może istnieć bez „swojej kierowniczki”? Albo bardzo enigmatyczne tzw. konsultacje artystyczne. Gdy gość nie bierze udziału w imprezie, a przyjechał i chce sobie być na festiwalu, a przy okazji rozumie się na czymś zbliżonym do piosenki, no i jego nazwisko jest na tyle znane, by nie budziło zdziwienia „kto zacz?” no to bach, wyszła się umysłowego do Biura Organizacyjnego z twardą prośbą: proszę przygotować panu X. umowę na konsultację. Potem zjawia się sam X. eleganci, dyskretnie dowcipny, grzeczniutki, tu rączki całuje, tam podpisuje umowę, padam do nóżek — powiada, i — do kasy.

Inna sprawa: organizatorzy z Warszawy zostawili w domu teksty wszystkich piosenek z któregoś koncertu. No to co zrobić? Jest przecież Biuro Organizacyjne. Pięć panienek, na pięciu maszynach jednocześnie, w sześciu egzemplarzach tłucze w klawisze przez kilka godzin, aż w głowie dudni. Oderwane są od swojej właściwej pracy, a sprawca tego zamieszania idzie spokojnie na kawę i wraca po gotowe. I wcale nie czuje się winny, nie jest mu głupio, jeszcze coś mruczy pod nosem, że za dużo błędów.

Wszystkich wykonawców, obserwatorów, dziennikarzy, techników, service, pracowników radia i telewizji odznaczono plaketkami, tzw. identyfikatorami, które upoważniały do wstępu na próby, do przejaź-

przylotów (biedak był tak speszony, bo to skromny człowiek, że zapomniał, jak się ona nazywa). Dwie okropnie niesympatyczne dziewczyny, z wielką pretensją w głosach i wyrazach twarzy, wyartykułowały łaskawie żądanie o plaketki dla ludzi z opolskiej rozgłośni Polskiego Radia. Nie miały czasu tydzień lub dwa wcześniej, a są trzy ulice dalej, tylko w czasie największego natłoku spraw i ludzi. I te buzie nade... widocznie z tym koryżar się dziewczojom ważność człowieka. Domyślam się, kto mógł być ich wzorcem osobowym w Opolu.

Biuro akredytowało dziennikarzy, rozdzielało bilety na koncerty (te gratisowe, tzn. opłacane przez instytucje delegujące), kierowało do właściwych miejsc, zabiegało o dodatkowe miejsca noclegowe dla niespodziewanych gości, lub gości gości, wydawało przepustki samochodom i wyznaczało miejsca parkingowe. Trzeba było zdecydować szybko, czy można uznać koszty takśówek, która miała przywieźć do Opola np. Daikowską i Pietrzaka. Można.

## BYŁY SPRAWY TYPOWE I NIETYPowe

(„milicja odebrała mi plaketkę, bo kolega złośliwie zakablował milicjantowi, że jestem pijany za kółkiem, a nie by-



Foto: Grzegorz Gałasiński



# Polemiki • Listy • Opinie

GDYBYŻ SIĘGNĘLI DO CUDZYCH DOŚWIADCZEŃ...

## Na kogo spadło odium CBOS

W numerze 33 „Odgłosy” opublikowały w formie polemiki dwa materiały, które dotyczą badań CBOS „Prasa — Telewizja — Plotka”. Wyniki tych badań budzą we mnie tak mocny sprzeciw, że postanowiłam również zabrać głos w tej sprawie. Wypada przypomnieć, że w „Polityce” i lokalnej prasie codziennej ukazały się publikacje w formie omówienia wyników wspomnianych badań.

Już samo zestawienie treści dwóch materiałów prasowych: „Informacja w roli głównej” J. Mojłowskiego „Polityka” z 26. 07.1986 r. i „Prasa — Telewizja — Plotka” dziennikarza PAP w gazetach lokalnych z 29.07. br. „Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki” budzi określonego rodzaju zastrzeżenia. Autorzy omawiając wyniki tych samych badań CBOS w jednej z zasadniczych kwestii cytowanego raportu badawczego prezentują niemal przeciwnie informacje. A oto fragmenty obydwu tych tekstów:

„Polityka” — „Na koniec zadano pytanie: Czy są takie dziedziny życia społecznego i politycznego, w których to, co mówi się i pokazuje w TV oraz pisze w gazetach różni się z prawdą? Odpowiedzi: tak (46,5 proc.), nie (38,7 proc.), nie wiem (14,5 proc.). Najczęściej zarzut różnienia się z prawdą dotyczy problemów gospodarczych (wyniki ekonomiczne, aktualny stan, reforma, realizacja planów, kryzys, zadłużenie) — 24,5 proc. Potem polityka wewnętrzna (działalność rządu, nastroje społeczne, zaufanie do władzy) — 11,3 proc. Polityka cenowa (6,5 proc.), stopa życiowa (5,4 proc.), rolnictwo (3,4 proc.).”

„Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki” — „Czy są takie dziedziny życia społecznego, gospodarczego i politycznego, w których to, co się mówi i pokazuje w TV oraz pisze w gazetach, różni się z prawdą?” — w odpowiedzi na tak sformułowane pytanie 38,7 proc. udzieliło odpowiedzi przeczącej, zaś ci, którzy nie mieli w tej sprawie pełnej jasności, wymieniali „obecną sytuację gospodarki, reformę gospodarczą, realizację planów, problemy kryzysu i zadłużenia” jako te dziedziny, gdzie mogą rodzić się wątpliwości.

Porównanie zaś obydwu publikacji (w „Polityce” i w prasie lokalnej) z treścią raportu badawczego CBOS pozwala ocenić artykuł J. Mojłowskiego w kategoriach udanej parafrazy, zaś publikację dziennikarza PAP w kategoriach trawestacji albo raczej w kategoriach parodię polegającej na przeróbce tekstu naukowego na komiczny. Nie można w tym przypadku mieć innych skojarzeń skoro osoby, które odpowiadały twierdząc na konkretne pytanie ankietę i ponadto przedstawiły konkretne argumenty uzasadniające swoje stanowisko dziennikarz PAP nazywa „tymi, którzy nie mieli w tej sprawie pełnej jasności”.

J. Mojłowski w kontekście porównań wspomnianych publikacji z tekstem raportu jawi się jako wytrawny popularyzator wyników badania opinii publicznej. Nie dał się bowiem „nabrać” na eleganckie brzmienie nazw w postaci: współczynnik „renomy” i współczynnik „odium”. Dziennikarz PAP zastosował ową renomę jako termin bardziej znany, zaś tajemnicze i współcześnie mało używane „odium” zostawił w spokoju na szczęście dla siebie i dla czytelników.

Z pozycji socjologa z 15-letnim stażem zawodowym w zakresie badań nad czytelnictwem prasy, wieloletniego współpracownika Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie i siłą rzeczy czytelnika „Zeszytów Prasoznawczych”, kwartalnika naukowego OBP, chylę czoła przed dziennikarzem „Polityki”. Napisanie artykułu prasowego na podstawie raportu CBOS nie było bowiem rzeczą łatwą. Sama lektura tego raportu rodzi sporo wątpliwości i zastrzeżeń natury merytorycznej co do sposobu badań jak i rzetelności prezentowanych wyników. Wątpliwości tego rodzaju może mieć w tym przypadku nie tylko socjolog prasy, ale przede wszystkim dziennikarz, czego dowodem są publikacje w 33 numerze „Odgłosów”: „Co kto czyta?” M. Podlaszewskiego i „Czy daje się porównać nieporównywalne?” L. Włodkowskiego.

Dziennikarze zazwyczaj nie śledzą pilnie wyników licznych badań we wspomnianych „Zeszytach Prasoznawczych”, ale z reguły mają dość dobrą orientację w sferze różnic wielkości nakładów większości gazet i czasopism, a przede wszystkim różnych zasięgów tych tytułów. Zdają sobie też sprawę, że presztyma, renowacja czy też jak kto woli sława pisma lub gazety nie tylko nie jest wprost proporcjonalna do liczebności nakładu, ale czasami wcale lub w niewielkim stopniu od niego zależy. I to głównie dlatego, że na naszym rynku prasowym są obecne tytuły o bardzo zróżnicowanym zasięgu oddziaływania: ogólnopolskie — rozprowadzane na terenie całego kraju; lokalne — rozprowadzane na terenie określonego miasta; wojewódzkie — jednego bądź kilku województw. Z racji zaś różnic wielkości nakładów i różnic w systemie rozprowadzania (sprzedaży) mają więc różne szanse na zdobycie prestiżu sławy, rozgłosu czy renowacji. Z raportu CBOS można sądzić, że autorzy badań nie zdają sobie sprawy w pełni z tych różnic, jako że to samo kryterium oceny zastosowali zarówno do czasopism wysoko i nisko nakładowych występujących w różnych konfiguracjach zasięgu oddziaływania (niskonakładowe ogólnopolskie, wysoko-nakładowe lokalne). Nie wiadomo też dlaczego wśród 61 ocenianych czasopism nie znalazła się „Karuzela” — dwutygodnik satyryczny o zasięgu ogólnopolskim i dużym nakładzie skoro oceniano tygodnik satyryczny „Szpilki” (o znacznie mniejszym nakładzie), a także inny dwutygodnik jakim jest „Filipinka” ogólnopolski, duży nakład.

Na liście gazet pominięto w podobny sposób „Sztandar Młodych”. Przede wszystkim zaś autorzy badań wcale nie zastanawiali się nad faktem, że adresatem, a więc potencjalnym odbiorcą w przypadku jednego tytułu jest ogół społeczeństwa a w przypadku innych tylko wybrana kategoria zawodowa lub grupa ludzi zatrudnionych w określonej dość wąskiej dziedzinie gospodarki narodowej (pisma branżowe).

Mało tego, autorzy badań postanowili orzekać o renomie pisma bądź o niechęci wobec niego nie zważając zbytnio na realne zachowania jego odbiorców czyli na tak istotny fakt jak procentowy wskaźnik czytelnictwa (jaki procent społeczeństwa w określonym wieku faktycznie czyta to czasopismo). Zarówno dobra, jak i zła opinia, o określonym tytule prasowym pozostaje w ścisłym związku z faktem czy osoba, która to pismo ocenia jest jego czytelnikiem. Tymczasem jak można przypuszczać oceny poszczególnych czasopism w pięciopunktowej skali dokonali czytelnicy jak i osoby, które w ogóle pisma nie czytały bądź znały je tylko z nazwy lub miały z nim kontakt np. 5, 10 lat temu itp. Nie są też znane motywy jakimi kierowali

się respondenci dokonując tych ocen. W ten sposób powstała lista tytułów prasowych (hierarchia) negatywnych i pozytywnych bohaterów reportażu CBOS.

Stało się to przy pomocy sztucznie utworzonych wskaźników: współczynnika „renomy” obrazującego stosunek odsetka respondentów uznających tygodnik za potrzebny i poszukiwany do wielkości nakładu, i współczynnika „odium” — w stosunku odsetka wrogów lub przeciwników pisma do wielkości jego nakładu. Nie jestem wrogiem twórczyń tego rodzaju współczynników, co więcej stwierdzam ich zasadność w porządkowaniu i interpretacji uzyskanych wyników badań, ale konstrukcja ich musi pozostać w logicznym związku z realnymi zachowaniami odbiorców prasy. W związku z tym współczynnik „renomy” powinien odzwierciedlać stosunek odsetka respondentów uznających tygodnik za potrzebny i poszukiwany do wielkości odsetka jego czytelników, a współczynnik „odium” — stosunek odsetka wrogów lub przeciwników do wielkości odsetka jego czytelników.

Innym aczkolwiek mniej prawidłowym ustawieniem konstrukcji takiego współczynnika może być w przypadku „renomy” stosunek odsetka respondentów uznających tygodnik za potrzebny i poszukiwany do odsetka wrogów, a w przypadku „odium” — odwrotnie, stosunek odsetka wrogów do odsetka zwolenników pisma.

Posługując się tak skonstruowanymi współczynnikami uzyskuje się diametralnie różną hierarchię bohaterów pozytywnych wśród tygodników obecnych na polskim rynku prasowym. Jednakże w warunkach reprezentatywnej ogólnopolskiej próby badawczej liczącej standardowo 1498 osób (na użytek badań CBOS powiększonej o 79-osobową nadreprezentację inteligencji), a więc około 1500 osób można byłoby wypowiadać się autorytatywnie tylko w przypadku pism wysokonakładowych (powyżej 200 tys. nakładów), a w przypadku pism średnionakładowych określić tylko obserwowane tendencje i to bez rozliczania poszczególnych tytułów, omawiając grupę tych czasopism w stosunku do grupy wysokonakładowej. Natomiast ocenianie i orzekanie o tytułach niskonakładowych (rzędu 20, 30 tys. egzemplarzy) jest wręcz niedopuszczalne.

W tym przypadku dochodzi bowiem do ferowania wyroków na podstawie wyników przypadkowych, a więc niewiarygodnych. Wracając do sytuacji „Odgłosów” — jednego z bohaterów negatywnych (takimi zresztą jawią się w raporcie większość tytułów niskonakładowych) współczynnik „odium” utworzono w warunkach, gdy w próbie badawczej jego czytelnicy stanowili około 1 proc. badanych respondentów, a więc 15 osób.

Jeśli już podejmujemy się próbe zbadania „renomy” jaką cieszą się wszystkie czasopisma (wysoko i niskonakładowe), to wiarygodność wyników w tym przypadku gwarantowałaby próba badawcza co najmniej 5-krotnie, a najlepiej 10-krotnie większa niż ta, którą posłużył się CBOS.

Krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych, który wkrótce obchodzić będzie swoje 30-lecie ma w swym dorobku realizację wielu ogólnopolskich socjologicznych badań reprezentatywnych na próbach 10-tysięcznych, a najnowsze tegoroczne badania tego typu nad szeroko rozumianym czytelnictwem prasy w Polsce przeprowadzone były na próbie 5-tysięcznej i właśnie wchodzą w fazę obliczeń komputerowych. Ich wyniki z pewnością zostaną opublikowane w „Zeszytach Prasoznawczych”.

Ze względu na fakt, iż nie udało mi się skomunikować z autorami badań OBP z roku 1985 nie mogę przedstawić wyników tych badań, a znajdują się one zapewne również w „Zeszytach Prasoznawczych”. Wobec tego pozwalam sobie przytoczyć dane opublikowane w nr. 3 z roku 1985 w „Z.P.” Zbigniewa Bajki „Publicystyka prasowa Polski 1984”; zasięg czytelnictwa gazet i czasopism ogólnopolskich (dane w proc.).

| Tytuły                | Zasięg 1984 | Zasięg 1983 | Różnica zasięgu | Nakłady jednoraz. *) |         |
|-----------------------|-------------|-------------|-----------------|----------------------|---------|
|                       |             |             |                 | 1983                 | 1984    |
| 1. Trybuna Ludu       | 14,6        | 13,3        | +1,3            | 730.466              | 701.501 |
| 2. Gromada-Rolnik P.  | 8,7         | 5,9         | +2,8            | 422.948              | 471.666 |
| 3. Kurier Polski      | 8,3         | 6,2         | +2,1            | 235.027              | 260.530 |
| 4. Dziennik Ludowy    | 6,6         | 4,8         | +1,8            | 204.022              | 242.409 |
| 5. Express Wieczorny  | 6,3         | 7,2         | -0,9            | 502.087              | 496.212 |
| 6. Życie Warszawy     | 5,7         | 5,4         | +0,3            | 360.491              | 301.521 |
| 7. Sztandar Młodych   | 4,4         | 3,1         | +1,3            | 215.109              | 217.881 |
| 8. Rzeczpospolita     | 4,0         | 4,8         | -0,8            | 196.893              | 211.501 |
| 9. Słowo Powszechne   | 2,9         | 2,3         | +0,6            | 90.429               | 84.742  |
| 10. Zielony Stander   | 2,2         | 1,3         | +0,9            | 162.669              | 148.817 |
| 11. Świat Młodych     | 2,0         | 2,2         | -0,2            | 453.226              | 455.514 |
| 12. Żołnierz Wolności | 1,1         | 1,1         | —               | 148.259              | 158.746 |
| 13. Gazeta Młodych    | 1,0         | 1,4         | -0,4            | 101.068              | 93.000  |

| Tytuły                | Zasięg 1984 | Zasięg 1983 | Różnica | Nakłady jednoraz. *) |           |
|-----------------------|-------------|-------------|---------|----------------------|-----------|
|                       |             |             |         | 1983                 | 1984      |
| 1. Przyjaciółka       | 24,3        | 22,5        | +1,8    | 2.163.984            | 2.141.605 |
| 2. Kobieta i Życie    | 18,4        | 13,5        | +4,9    | 699.833              | 690.127   |
| 3. Przekrój           | 12,3        | 11,6        | +0,7    | 549.301              | 545.457   |
| 4. Polityka           | 11,2        | 10,6        | +0,6    | 364.878              | 359.855   |
| 5. Panorama           | 7,9         | 7,5         | +0,4    | 432.917              | 442.259   |
| 6. Razem              | 8,0         | 7,0         | +1,0    | 401.574              | 462.010   |
| 7. Gospodyni          | 5,9         | 3,3         | +2,6    | 344.634              | 389.490   |
| 8. Veto               | 5,5         | 2,6         | +2,9    | 213.978              | 336.913   |
| 9. Jestem (m)         | 3,7         | 3,0         | +0,7    | 742.563              | 799.161   |
| 10. Perspektywy       | 3,7         | 2,3         | +1,4    | 193.632              | 195.954   |
| 11. Nowa Wieś         | 3,3         | 3,1         | +0,2    | 305.203              | 282.633   |
| 12. Motor             | 3,3         | 2,3         | +1,0    | 241.043              | 212.007   |
| 13. Prawo i Życie     | 2,7         | 2,6         | +0,1    | 135.906              | 144.586   |
| 14. Forum             | 2,5         | 2,3         | +0,2    | 74.687               | 70.203    |
| 15. Magazyn Rodz. (m) | 2,5         | 2,1         | +0,4    | 170.168              | 168.822   |
| 16. Przegląd Tygodn.  | 2,4         | 3,2         | -0,8    | 160.107              | 169.504   |
| 17. Film              | 2,4         | 1,0         | +1,4    | 149.506              | 144.992   |
| 18. Tygodnik Powsz.   | 2,0         | 1,8         | +0,2    | 76.392               | 78.603    |
| 19. Tak i Nie         | 2,0         | 0,8         | +1,2    | 74.466               | 112.582   |
| 20. Filipinka (2t)    | 1,8         | 0,9         | +0,9    | 230.233              | 231.386   |

\*) Dane nakładowe dotyczą pierwszej połowy 1984.  
m — miesięcznik, 2 t — dwutygodnik, pozostałe — tygodniki.

Posługując się tymi danymi można obliczyć, że na jednostkę proc. czytelnictwa w przypadku każdego z tytułów „pracuje” różna ilość egzemplarzy, co wskazuje, że czasopisma te cieszą się bardzo różnicowaną „renomą”, a mianowicie:

| egzemplarze jednorazowego nakładu |         |
|-----------------------------------|---------|
| 1. Forum                          | 28.083  |
| 2. Polityka                       | 32.128  |
| 3. Tygodnik Powszechny            | 39.304  |
| 4. Kobieta i Życie                | 42.080  |
| 5. Przekrój                       | 43.345  |
| 6. Perspektywy                    | 52.950  |
| 7. Prawo i Życie                  | 53.555  |
| 8. Panorama                       | 55.982  |
| 9. Tak i Nie                      | 56.291  |
| 10. Razem                         | 57.751  |
| 11. Film                          | 60.413  |
| 12. Veto                          | 61.256  |
| 13. Motor                         | 64.244  |
| 14. Gospodyni                     | 66.015  |
| 15. Magazyn Rodzinny              | 67.528  |
| 16. Przegląd Tygodniowy           | 70.826  |
| 17. Nowa Wieś                     | 85.646  |
| 18. Przyjaciółka                  | 88.132  |
| 19. Filipinka                     | 128.547 |
| 20. Jestem                        | 213.989 |

Posługując się zaś danymi z badań CBOS, przy czym jednocześnie stosując inną konstrukcję wskaźnika „renomy” (stosunek odsetka respondentów uznających tygodnik za potrzebny i poszukiwany do odsetka wrogów lub przeciwników pisma hierarchia „renomy” czasopism przedstawia się następująco:

|                    |      |
|--------------------|------|
| 1. Kobieta i Życie | 29,6 |
| 2. Przekrój        | 16,4 |
| 3. Przyjaciółka    | 14,9 |
| 4. Polityka        | 11,2 |
| 5. Panorama        | 9,2  |
| 6. Prawo i Życie   | 8,9  |
| 7. Veto            | 6,3  |
| 8. Perspektywy     | 5,2  |
| 9. Gospodyni       | 4,4  |
| 10. Forum          | 3,4  |
| 11. Nowa Wieś      | 3,4  |
| 12. Razem          | 3,2  |

Według sposobu liczenia wskaźnika CBOS hierarchia najbardziej renomowanych czasopism przedstawia się zupełnie inaczej:

|                        |       |
|------------------------|-------|
| 1. Przegląd Katolicki  | 101,7 |
| 2. Wiadomości Sportowe | 79,4  |
| 3. Rodzina             | 58,9  |
| 4. Forum               | 33,5  |
| 5. Przegląd Techniczny | 33,5  |
| 6. Katolik             | 28,2  |
| 7. Radar               | 26,5  |
| 8. Szpilki             | 24,7  |
| 9. Tygodnik Powszechny | 17,8  |
| 10. Stolica            | 17,4  |

Ocenie czytelników pozostawiam wzajemne relacje między wynikami badań OBP i CBOS w kontekście własnej hierarchii „renomy” liczonej innym sposobem.

KRYSTYNA NORDYŃSKA

## NAGRODA „MIŁOWEGO SŁUPA”

Celem konkursu jest popularyzacja młodej twórczości, rozbudzenie talentów, stworzenie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

1. Konkurs jest imprezą otwartą, w którym mogą wziąć udział poeci niezależnie od miejsca zamieszkania, nie będący członkami ZLP.

2. Należy nadesłać zestaw trzech wierszy w czterech egzemplarzach. Utwory nie mogą być nigdzie publikowane. Ilość zestawów dowolna.

3. Każdy utwór winien być opatrzone godłem, do zestawu prac należy dołączyć zaklejoną kopertę opatrzoną tym samym godłem, zawierającą imię i nazwisko, dokładny adres autora.

4. Ostateczny termin nadsyłania prac upływa 15 października 1986 r.

5. Oceny nadesłanych prac dokona jury, w skład którego wejdą krytycy i poeci — członkowie Związku Literatów Polskich.

6. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych na konkurs prac.

7. Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród nastąpi w listopadzie, o czym nagrodzeni autorzy zostaną pisemnie poinformowani i zaproszeni na koszt organizatorów.

8. Prace nagrodzone będą opublikowane w „Nurcie” i honorowane obowiązującymi stawkami autorskimi.

9. Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I nagroda 15 tysięcy złotych, II nagroda 12 tysięcy złotych, III nagroda 10 tysięcy złotych, ponadto dwa wyróżnienia (nagrody rzeczowe), nagrodę za najlepszy wiersz autora debiutującego. Wiersze pretendujące do takiej nagrody winny mieć obok godła dodatkowy napis „Debiut”. Każdy z laureatów ponadto otrzyma miniaturkę „Miłowego Słupa”.

10. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

11. Dodatkowych informacji udziela główny organizator konkursu ZW ZSMP w Koninie, al. 1 Maja 15, tel. 213-94. Na ten adres należy nadsyłać prace konkursowe.

## KOLONIE W PRZEDBORZU

Reportaż Romana Kubiaka „Lekcja obywatelskiego”, opowiadający o wydarzeniach na koloniach w Przedborzu, spotkał się ze sprzeciwem grupy wychowawczyń oraz pielęgniarki z I turnusu. Redakcja otrzymała obszerny list w tej sprawie, który z przyczyn technicznych opublikujemy dopiero w następnym numerze, co nie jest w sprzeczności z wymaganiami prawa prasowego.



## PORT NIE ŚPI

Na pokładzie śnieżnobiałego, małego stateczku m/s „Pasat” należącego do Polskiego Ratownictwa Okrętowego płoną wszystkie światła: wachta trwa tu całą dobę. Płonie także światło w małym pokoiku na piętrze budynku przyklejonego do hali mączkarni. Tu, w Serwisie Rybackim zbierają się wszystkie niewidzialne nitki łączące kutry Przedsiębiorstwa Połowów i Usług Rybackich „Szkuner” z lądem.

— „Szkuner”, „Szkuner”, do wszystkich. Podaję prognozę pogody na dzisiejszą noc. Wiatr nord, nord-uest o sile 5—6. Stan morza 4—5. Temperatura ok. 16 stopni. Jutro bez większych zmian. Koniec.

Dochodzi północ. Załoga WŁA 147 jest już na burcie w komplecie. Powoli klarują kuter do wyjścia. Dziś będą we dwójkę, wraz z WŁA 133, o wioć łuk śledzia, Szyper — Stanisław Kleban wypełnia jeszcze ostatnie dokumenty — i można wyjść na morze.

— WŁA 147, WŁA 147 — wołam „Szkuner”.

— „Szkuner” do WŁA 147. Słucham cię.

— Podaj mi, gdzie dzisiaj łowili nasi i jakie mieli osiągi.

— Kilku poszło do Stanisław 5, Stanisław 6. Tam jest podobno trochę śledzia.

— Dobra, dziękuję.

Stanisław 5 i 6 to rejony leżące wzdłuż Półwyspu Helskiego, od Jastarni aż po boję kurową Hel. Blisko.

— WŁA 147 do WŁA 133.

— WŁA 133, słucham cię.

— Idziemy na Stanisław 5, Stanisław 6. Proponuję, abyśmy wyszli dopiero o trzeciej. Zgoda?

— W porządku. Dobranoc.

Rybacki opuszczają mesę. Po stronnych schodach schodzą do kubryku. Tu, poniżej lustra wody znajduje się ich sypialnia: niewielkie pomieszczenie, wzdłuż którego do burt przymocowano pięć łóżek. Środek zajmuje wielki stół; dwie ławki, szafka na ubranie i unywalka dopełniają całości umeblowania.

Światło lampki wydobywa z półmroku fotografie dziewczyn w najrozmaitszych pozach — przeważnie „au naturel”. Gdy jest się w morzu wiele, wiele dni, one mają rybakom służyć w nocy, przypominać o ciepłym domu i przyjemnościach innych, niż obcowanie z morzem. To właśnie one, pomiędzy jednym a drugim zaciąganiem sieci, pozwalają zapomnieć o kotłowaniu, pomagają zasnąć.

## TUŻ PO GODZINIE TRZECIEJ

stalowym cielskim kutra targnął dreszcz: uruchomiono silnik. Delikatna wibracja będzie towarzyszyć do końca rejsu. Cała załoga jest już na nogach.

— Cumę dziobową oddaj! Rufową oddaj!

Grube na trzy palce liny lądują na pokładzie. Statek bardzo powoli odbija od kei, wykręca ciasne kołko w zatoczonym do granic możliwości basenie portowym i po chwili przycumowuje do betonowego nabrzeża WOP. To formalność: przed każdym wyjściem w morze i po powrocie trzeba dokonać odprawy granicznej; wszak opuszcza się terytorium kraju.

Kwadrans przed czwartą rozdzwonił się telefon maszynowy: cała naprzód! Sternik próbuje wzrokiem przeniknąć mrok.

— Kurs 80!

— Jest, kurs 80!

Kilka obrotów kołem sterowym i statek leży już na podanym kursie. Wzdłuż burt przesuwa się się powoli latarnie stojące na główkach falochronu: zielona po lewej burcie, czerwona po prawej.

— Kurs 125!

— Jest, kurs 125!

Za plecami sternika echosonda miarowo kreśli głębokość wody. Wejście do Władysławowa jest bardzo płytkie. Trzeba niezmiernie uważać i doświadczenia, aby nie posadzić jednostki na mieliźnie. Przed dziobem wyrasta małe, migające światelko: to ostatnia boja kursowa. Tuż obok niej kuter robi ostry zwrot i skręca na wschód, w kierunku Helu.

— Cała naprzód!

Przed dziobem w dali migocą światła tuktarnera — WŁA 133, który wyszedł z portu nieco wcześniej: to nikną, zasłonięte burtami na dziobie, to wyrastają wysoko, ponad jeliński. Wskazówka przechylniarki kiwa się monotonnie: dwadzieścia stopni na prawą burcie, dwadzieścia na lewą.

Nie wszyscy dobrze znoszą takie kołysanie: młody absolwent szkoły rybołówstwa morskowego — Artur. Kilka razy oddaje „hold” Neptunowi. Trzyma się jednak dzielnie i natychmiast powraca do pracy. Był to — jak się później okazało — jedyny przypadek morskiej choroby w czasie tego rejsu.

Po trzech godzinach odezwała się ukafca:

— WŁA 133 do WŁA 147.

— WŁA 147, zgłaszam się.

— Jestem już na łowisku. Zaczni przygotować sieć.

## SILNY, SZTORMOWY WIATR

spędza z powiek resztki snu. Wszyscy poruszają się jak w transie: wszystkie ruchy mają wyćwiczone. Tu nie ma czasu na zbędne słowa, zbędne gesty, zbędne ruchy.



# Gdy na pokładzie jest ryba

WITOLD WERNER

— WŁA 133, wydaję sieć!

Tuka — wielki siatkowy wór ginie w wodzie. O jego obecności świadczą jedynie kolorowe koraliki pływaków.

— WŁA 133, podchodź powoli z lewej burty.

W chwili, gdy obie jednostki dzieli zaledwie kilka metrów wody, na pokład spada rzutka, do końca której umocowana jest gruba lina będąca drugim końcem tuki. Teraz i na WŁA 133 zaczyna się gorączkowy ruch. Po kilku chwilach lina jest już zamocowana na potężnej windzie: tuka — niby wielka siatka została rozpięta pomiędzy kutrami. Wszystko, co pływa w wodzie i znajdzie się na kursie, musi znaleźć się w sieci. Stąd już nie ma wyjścia.

— WŁA 133, daj „pół naprzód”.

— Dobra, daj „pół naprzód”.

— A teraz „cała naprzód”!

Oba kutry, których dzioby spięto liną zwaną telefonem — rażno ruszyły do przodu. Przed nimi monotonne, długie godziny trawienia. Jeszcze tylko w górę.

## NA MASZT, WĘDRUJĄ DWA CZARNE TRÓJKĄTY STYKAJĄCE SIĘ WIERZCHOŁKAMI

— znak dla wszystkich, że jednostki zajęte są połowem — i można zająć się swoimi sprawami. W messie jeden z rybaków układa pasjansa.



Foto: Witold Werner

Pogoda pogarsza się: wiatr tęższe — chwilami wieje już regularna „siódemka”. Plana układa się w długie pasma, potem coraz grubsze krople tłuką w szyby kapitańskiego mostka. Doblęga szósta godzina trawienia.

— WŁA 147 do WŁA 133. Będziemy kończyć. Możesz oddawać telefon.

Telefon ląduje na pokładzie WŁA 147 i tuż za nim lina będąca zakończeniem tuki. W ruch idzie winda sieciowa — po chwili sieć ukazuje się ponad powierzchnią wody. Pojawiają się miewy liczące na łatwą i obfitą zdobycz.

## WIELKI WÓR Z RYBAMI

jest już nad pokładem. Jeden z rybaków rozwiązuje węzeł i pokład zalewa żywe srebro. Setki, tysiące srebrnych rybich ciał wieje się podskakuje, jakby przeczuwając, że przyszedł ich ostatnia godzina.

Bystre oczy rybaków wypatrują większej ryby. Po chwili duże, dorodne dorsze lądują w osobnej skrzynce. Za nimi jedna, jedyna flądra i kilka belon — ryb podobnych do węgorza, o srebrnej łusce, długim pysku najeżonym ostrymi zębami i ościach zielonych jak trawa. Niestety, ani jeden łosoś tym razem nie zaplątał się w sieć...

— WŁA 147, co u was?

— Tak sobie. Będzie tego ze dwie tony. Jest trochę domieszki szprot. Możesz wydawać sieć.

Cała załoga pokładowa — prócz kapitana pracuje przy rybach. Wysypują śledzie na wielkie, drewniane koryta, i do wiader odkładają duże nienaruszone sztuki. Wiadra wędrują do ładowni, gdzie przesypane są ich zawartość do skrzynek. Trzy wiadra — to jedna skrzynka. Przespiane łodem, muszą wytrzymać trudny podróży. Reszta ryb wysypywana jest do szoty wydzielonej w kącie pokładu: te pójdą na mączkę. Trzeba się spieszyć, bo ryba — to produkt nietrwały. Woda jest ciepła, powietrze też, łatwo więc zgnarować cały zaciąg. Gdy na pokładzie jest ryba, to wszystko inne idzie w ką.

Na mostek wchodzi mechanik.

— Głowica silnika nie ma chłodzenia. Muszę zastopować. Temperatura głowicy sto dziesięć, a powinna być sześćdziesiąt...

— Da się usunąć?

— Nie wiem, zobaczę co się da zrobić. Ale chyba nie.

Kapitan już jest przy ukafce.

— WŁA 147 do WŁA 133. Będziecie musieli zwinąć sieć. Mam awarię silnika. Chyba nie uda się uruchomić na tyle, żeby można było towin.

— WŁA 147 do „Szkunera”. Muszę awaryjnie wrócić do portu. WŁA 133 zostanie przy mnie na wszelki wypadek.

Długo, bardzo długo, nim na mostek wszedł umorusany mechanik.

— Spróbujemy, może się uda...

Po chwili ustaje nieprzyjemne kołysanie: kuter znów rażno ruszył do przodu całą mocą swych dwustu pięćdziesięciu koni.

— Chłodzenie od biedy jest. Możemy spróbować towin.

— WŁA 133, wydawaj sieć. Będziemy towin. Płynię drzewnic pod niemiecką banderą, polski masowiec i — rzadki okaz — żaglowiec pod pełnymi żaglami. To „Dar Młodzieży” wyrusza na Operation Sail 86. Pomysłnych wiatrów!

Co chwila na mostku rozlega się dźwięk dzwonka. Kapitan już wie: to mechanik sygnalizuje, że silnik nie ma chłodzenia. Trzeba będzie nieść wrócić do portu.

— WŁA 147, wybieram sieć.

Znów na pokładzie ląduje telefon i tuklina.

— WŁA 133, ile macie ryby?

— Slabo, bardzo slabo. Najwyżej pół tony...

## SŁOŃCE POWOLI ZACHODZI ZA HORYZONT.

Kuter idzie wprost na nie, dokładnie pod wiatr i fale, rozpryskując słone bryzgi. Z lewej burty rozbłysło światło Jastarni. Daleko, daleko przed dziobem inne światelko: świeci 0,1 sekundy, by zgasnąć na 2,9 sekundy. To Rozewie.

— Sternik, trzymać kurs 300. Steruj na Rozewie.

— Jest, 300 stopni.

Kuter pracowicie wspina się na grzbięt każdej nadchodzącej fali. Wiele z nich rozbija się o dziób i zalewa pokład. Woda z szumem przelewa się przez szpigaty i ucieka za burty. Zapada noc. Nad pokładem zapalają się światła pozycyjne: zielone na prawej burcie, czerwone na lewej, białe na rufie i dziobie.

Światelko Rozewia jest już coraz bliżej. Już widać brzeg upstrzony kolorowymi światłkami. To Władysławowo. Już widać świecącą boję, już widać oświetlone wejście do portu. Znow monotonnie szumi echosonda.

— Sternik, kurs 260. Trzymaj się nabieżnika.

W mroku nocy wyraźnie jaśnieje jedno ze światel. Trzeba sterować dokładnie na nie: ono bowiem wyznacza bezpieczny tor wodny.

— Kurs 305. Dochodzimy do nabrzeża WOP.

I to już właściwie koniec rejsu. Jeszcze tylko krótki postój przy nabrzeżu wydunkowym i powrót na swe stałe miejsce cumowania.

— Maszyna stop!



**W** Czernobylu zobaczyłem niemal dosłownie niezwykły, niewiarygodny świat z drugiej strony Lustra, zabarwiony niewidzialnymi i tym bardziej złowieszcymi odcieniami podwyższonej radioaktywności. Widziałem to, co trudno sobie wyobrazić w najbardziej fantastycznych snach.

Czernobyl. Niewielkie, małe, prowincjonalne ukraińskie miasteczko, tonące w zieleni. Latem lubili tu wypoczywać mieszkańcy Kijowa, Moskwy, Leningradu. Przyjeżdżali na długo, czasem na całe lato z dziećmi, z wszystkimi domownikami, wynajmowali „daczę” lub tylko pokoje w drewnianych, jednopiętrowych domkach, przygotowywali na zimę marynaty i konfitury, zbierali grzyby, obficie rosące w tutejszych lasach, opalali się na ośnie-piając czystych brzegach „Kijowskiego Morza”, łowili ryby. I wydawało się, że jakoś harmonijnie i nierozdzielnie zrosło się tu piękno polskiej przyrody z ukrytymi w betonie atomowymi wulkanami czterech bloków elektrowni położonej w niewielkiej odległości od Czernobyla.

Dzisiaj Czernobyl, który przykuwa uwagę całego świata, to miasto bez mieszkańców, bez pokrzykiwań dzieci, bez zwyczajnie prowincjonalnej codzienności. Na głuchą zamkniętą okienną i

się dżuma, trafiałem do leprozoriów. I dlatego, gdy z grupą specjalistów Ministerstwa Zdrowia USRR udałem się do rejonów poleskiego i iwanowskiego, bezpośrednio przylegających do 30-kilometrowej strefy szczególnego zagrożenia, wiele z tego, co już widziałem w szpitalach i stacjach sanitarnych, początkowo wydało mi się dobrze znane: niezwykle duża liczba personelu medycznego, w tym wielu specjalistów przybyłych z daleka, podwoje zapchane karetkami pogotowia ratunkowego i pojazdami transportu sanitarnego ze znakami rejestracyjnymi z różnych rejonów Ukrainy; gabinety głównych lekarzy podobne raczej do sztabów bojowych podczas wojny — ta sama atmosfera polowa, mapy i wykresy, nad którymi pochylały się lekarze, nie milknące dzwonki telefonów, tysiące drobnych i dużych spraw, które należy rozwiązywać bezzwłocznie. Wszystko to znane i nieznane jednocześnie, wszystko to niezwykle, bezprecedensowe. W ciągu tych dni z epoki przedatomowej przeniesiłem się do epoki nieznanej, wymagającej gruntownej przebudowy naszego myślenia i metod działania. Los umożliwił nam wejście w bezbrzeża nocy, tej nocy, która nastąpi, kiedy zacznie wybuchać głowice jądrowe... Gdyby to było w mojej mocy, przywiózłbym w rejon Czernobyla jak najwięcej polityków sprzeciwiających się rozbrojeniu jądrowemu — niech by zobaczyli, pomyśleli, wyciągnęli wnioski, póki jeszcze nie jest za późno.

tryk), której rodzinę przysparzało we wsi Błidca w rejonie iwanowskim, opowiada mi, jak opuszczała dom razem z dziećmi i wnukami, nie zabierając nic oprócz dokumentów. Myśląc, że odchodzi z domu na jakieś dwa dni. Wszyscy zgodnie stwierdzają, zarówno ewakuowani, jak i lekarze, że wśród tych, których wywołano z Prypeci, nie było paniki. Ludzie byli milczący, skupieni, prawie nie widzano łez, drobnych utarceczek, nikt nie „pomstował na prawo”. Jedynie w oczach widać było ból i przerażenie.

Był taki dzień, w którym lekarze rejonu poleskiego zdołali zbadać ponad trzy tysiące osób — liczba to zdumiewająca, jeżeli wziąć pod uwagę kolejki w przychodniach w zwykłym „spokojnym czasie”, normy obciążenia, wokół których wciąż toczą się spory. Każdy pacjent został przyjęty, wysłuchany, zbadany za pomocą licznika Geigera, każdemu już w ciągu godziny zrobiono analizę krwi, ustalono poziom leukocytów.

W iwanowskim szpitalu rejonowym znalazłem się w szczególnym laboratorium — swojego hotelu. To było zaadaptowane ambulatorium hematologiczno-diagnostyczne, pracujące przez całą dobę, badające krew ewakuowanych i wszystkich tym, którzy zwrócili się o pomoc lekarską. Przy mikroskopach — sympatyczne kobiety z Kijowa, Charkowa, Czerkasz, miejscowi laboranci. Druga zmiana wypoczywała w sąsiednim pokoju. Każda z tych kobiet została w domu dzieci, każda ma swoje kłopoty i troski, ale ludzie ci wiedzą — potrzebni są tutaj. Dlatego, że właśnie tu przebiega obecnie pierwsza linia walki.

Przebywając w rejonach „stanu wyjątkowego”, widząc, jak ogromną pracę wykonują lekarze Ukrainy, często przypominałem sobie nasze literackie dyskusje o współczesnym bohaterze, o prozie „wiejskiej” i „miejskiej”, o bohaterze pozytywnym, konieczności poznawania życia i temu podobnych mądrościach. Jakże scholastycznymi i dalekimi od samego życia wydają się one tutaj, gdzie na twoich oczach rozgrywa się niesłychany dramat, kiedy wnętrza ludzkie, jak na wojnie, ujawniają się szczególnie szybko: to, co jest maską, nagle opada z ludzi jak liście z drzew pod działaniem defoliantów — i ci niepozorni ludzie pracy okazują się prawdziwymi bohaterami, a najwięksi krzykacze, nawołujący na zebrańiach do przyspieszenia i aktywizacji czynnika ludzkiego — pospolitymi tchórzami. Bywa i tak. Ale większość zachowała się godnie.

Natychmiast po tym, kiedy Ministerstwo Zdrowia USRR otrzymało informację o awarii w Czernobylskiej Elektrowni Atomowej, utworzono nadzwyczajny sztab, którym kierował najpierw wiceminister zdrowia A. Zieliński. Minister zdrowia A. Romanienko przebywał w tym czasie w USA i był on zmuszony odplerać ataki amerykańskich dziennikarzy; znacznie łatwiej było, jak mówił Anatolij Jefimowicz, znajdować się w tym czasie w Kijowie. Po powrocie do kraju natychmiast rzucił się on w wir niełatwych spraw, którymi musieli zajmować się lekarze.

W pierwszym dniu po awarii kierownik głównego zarządu pomocy lekarsko-profilaktycznej W. Kozliuk i inni odpowiedzialni pracownicy Ministerstwa Zdrowia, kierownik kijowskiego obwodowego wydziału zdrowia A. Awramienko wyjechali na Polesie, aby na miejscu organizować działalność placówek służby zdrowia w nowych warunkach.

Właśnie w owych tragicznych dniach lekarze po raz pierwszy w życiu zobaczyli chorych z porażeniem popromiennym. Czytali o tym w podręcznikach, słuchali na wykładach, ale tak po prostu bezpośrednio z tym się zetknąć, to wydawało się nieprawdopodobnym snem. Ale to nie był sen. Do poleskiego szpitala już w pierwszym dniu po awarii przywieziono chorych pracowników elektrowni atomowej, którzy bohatersko stawali czoła awarii w pierwszych krytycznych godzinach nocy. W oczach moich kolegów opowiadających o tym widziałem łzy, chociaż oni, lekarze, widzieli niejedno. Nielekko jest zapoznawać się z historią choroby tych, którzy nie lekają się ani ognia, ni promieniowania, rzucili się ku reaktorowi, aby ratować nas wszystkich od groźby katastrofy. Ci chorzy przebywali na Polesiu niedługo, wszystkiego kilka godzin (odwieziono ich samolotem na leczenie do Moskwy), ale lekarze zapamiętali ich na całe życie. Wśród tych, którzy ucierpieli z powodu silnego strumienia promieni gamma, byli również lekarze z pogotowia ratunkowego miasta Prypeci. Siedem razy, nie zważając na niebezpieczeństwo, wkroczył w strefę reaktora lekarz Paweł Nikołajewicz Tyniakow, wynosząc stamtąd porażonych. Inaczej postąpić nie mógł...

Przeżyliśmy i to największe nieszczęście. Ogarnia nas najwęższy smutek, kiedy myślimy o tych, którzy oddali życie dla ratowania zdrowia i życia innych ludzi. Chylimy przed nimi głowy.

„Literaturna Gazieta” 1986, nr 21. (Autor jest znanym pisarzem ukraińskim, a równocześnie dr medycyny, epidemiologiem).

JURIJ SZCZERBAK

## Atomowy wulkan w małym miasteczku

opieczutowane wszystkie domy, instytucje publiczne, sklepy. Nie ma zwierząt domowych, rankami nie rozlega się porykiwanie krow, nie słychać kogutów i psów. I tylko ptactwo bezstrosko swiergoce w zieleni drzew. Ptaki nie wiedzą, że pokryta pyłem listowie jest źródłem podwyższonej radioaktywności.

Jednakże Czernobyl nie zamarł, żyje. Jest to życie podporządkowane surowym i zupełnie nowym nakazom „stanu wyjątkowego” epoki atomu. Miasto z uporem walczy z awarią i jej następstwami. W kierunku elektrowni pędzą samochody pancerne i betoniarki, działają posterunki pomiaru radioaktywności, polewaczki bezustannie i szczerze zmywają ulice. W mieście i wokół niego zgromadzono wielką ilość sprzętu technicznego — stoją tu potężne buldożery i traktory, dźwigi i zgarniarki czekają na swą kolej do natarcia. Na wydzielonych do tego celu miejscach żołnierze w specjalnych kombinazonach starannie dezaktywizują sprzęt techniczny powracający ze strefy elektrowni. Przed rejonowym komitetem partii i rejonowym komitetem wykonawczym, gdzie mieści się centrum dowodzenia całą operacją, stoją dziesiątki samochodów osobowych, jakby odbywała się tu zwyczajna narada. Jest to jedynie zewnętrzny przejaw tego, co się dzieje dzisiaj w Czernobylu, ale i to wiele mówi. Żadnych oznak paniki. I — dziwna to sprawa — w tej niezwyklej sytuacji, wymagającej podejmowania natychmiastowych decyzji, w pełnej sprzeczności, złożonej, ekstremalnej, szybko zmieniającej się sytuacji ludzie stali się spokojniejsi i bardziej sobie zycyliwi: wspólne nieszczęście i wspólne cele zbliżyły wielu jeszcze wczoraj nieznanych sobie ludzi, uczynili ich lepszymi i bardziej zgodnymi, zmusiły do odrzucenia wszelkiego rozdzielenia i małostkowości. Nie słyszałem głośnych poleceń, sporów kompetencyjnych. Sprawa — i tylko sprawa — bez żadnych biurokratycznych formalności i ciągnących się uzgodnień.

Wszyscy, którzy pracują w rejonie awarii, ubrani są w białe i zielone specjalne bawełniane kombinazony i nakrycia głowy. Nie orientujesz się kto tu jest członkiem Akademii Nauk, a kto robotnikiem, kto żołnierzem, a kto generałem. Wobec zagrożenia radioaktywności wszyscy są sobie równi. Jedynie stopień odpowiedzialności — inny. Kiedy patrzy się na tych ludzi, wydaje się, że to chirurgzy kierujący się do bloku operacyjnego. Ta metafora wydaje się szczególnie trafna. Przecież dzisiaj w Czernobylu dokonuje się bezprecedensowej operacji likwidowania zrakowaczonej tkanki radioaktywności.

Z tytułu mej działalności lekarskiej uczestniczyłem w wygaszaniu ognisk cholery, prowadziłem wiele masowych akcji podczas epidemii różnych chorób zakaźnych, bywałem tam, gdzie szerzyła

Awarie czernobylska postawiła ludzkość przed szeregiem nowych, nie tylko naukowych czy technicznych, ale i psychologicznych problemów. Ludzka świadomość z trudem godzi się z tą absurdalną sytuacją, kiedy zewnętrzne zagrożenie nie ma żadnych widocznych oznak — zapachu, barwy czy smaku, a mierzone jest jedynie za pomocą specjalnych przyrządów. Niebezpieczeństwo jakby rozplywa się w przejrzystym powietrzu, w białoróżowym kwitnieniu jabłoni, w kurzu na drodze i ulicy, w wodzie wiejskich studzien, w mleku krowim i świeżych warzywach, w tej całej idyllicznej wiosennej przyrodzie. Stając się niewyczuwalnym niebezpieczeństwem u jednego pogłębiło poczucie zagrożenia, strachu, u innych zaś, przeciwnie, wywołało pełne bezstroskie lekceważenie; opowiadano o jednym z takich desperatów, który postanowił zlekceważyć najprostsze i trzeba powiedzieć dość skuteczne środki ochrony, za co natychmiast drogo zapłacił. Jedynie obiektywna, nie wypaczona przez nikogo, nie ukrywana tajemnica zakazami wiedza o realnej sytuacji, tylko ściśle przestrzeganie racjonalnych środków ochrony i stałe kontrolowanie poziomu promieniowania może dać tym, którzy znajdują się w strefie zagrożenia, poczucie bezpieczeństwa, niezbędną wiarygodność.

Dała się zaobserwować taka oto zdumiewająca prawidłowość: im dalej od epicentrum wydarzenia, tym więcej było nieinformowanych, przerażonych ludzi, gotowych uwierzyć we wszystko, co usłyszeli. W Kijowie było ich więcej niż w Czernobylu i pobliskich okolicach. W odległych od Kijowa, południowych rejonach, niektórzy kombinatory, wykorzystując ogólne zaniepokojenie, wyśrubowali ceny za pomieszczenia odnajmowane kijowianom, uzasadniając to „zwiększonym zagrożeniem”.

Wróćmy jednak w rejon przyległy do elektrowni czernobylskiej. Tego, co tam nastąpiło nie da się porównać z żadnymi wydarzeniami, jakie miały kiedykolwiek miejsce podczas epidemii: ani pod względem siły stopniowo narastającego zagrożenia ludności, ani też stopnia trudności zadań, wobec których stanęli lekarze, jak też skali ewakuacji ogromnych mas ludzi. Wyobraźcie sobie kolumnę tysięcy autobusów jadących z zapalonymi światłami, w dwóch rzędach i wywożących z zakażonej strefy wielotysięczną ludność miasta Prypeć — kobiety, starców, dorosłą ludność i noworodki. Wejście w położenie tych, którzy opuszczali swoje czyste i nowoczesne miasto, którym się chlubil i w którym zapuścili już korzenie — budowniczych i załogę elektrowni, członków ich rodzin, wszystkich, którzy przypadkiem lub celowo znaleźli się w Prypeci. Pozostawiono im wyjątkowo mało czasu, opuszczali swoje domostwa w tym, w czym byli, chwytając jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. A niektórzy w pośpiechu i tego nie zrobili. Budowniczy Czernobylskiej Elektrowni Atomowej Liliana Michajłowna Galszenko (jej mąż pracuje w elektrowni jako elek-

## Kronika awarii w Czernobylu

26 KWIETNIA

Moc energetyczna czwartego bloku elektrowni gwałtownie wzrosła. Nastąpiło znaczne wydzielanie pary, reakcja doprowadziła do wydzielania się wodoru, jego wybuchu, zniszczenia reaktora i emisji radioaktywności.

W momencie awarii o godz. 1.30 zginęło dwu ludzi — kierownik systemu automatyzacji Władimir Szaszenok i operator elektrowni Walerij Chodemczuk.

Przybyła na miejsce wypadku straż pożarna zlokalizowała źródła ognia w co najmniej pięciu miejscach. Flomieniki rozszerzały się w stronę sąsiedniego reaktora, mogły przeniknąć do kanałów z kabinami, których sieć obejmuje cały teren elektrowni. Główne ognisko pożaru umiejscowiło się w dziale z aparaturą.

Strażacy ustawili pompy. Po zewnętrznych schodach dotarli na dach hali maszyn, w której stały pojemniki z tonami smaru. Tam też znajdował się węzeł kabli łączących agregaty całej elektrowni.

Do godziny 5 rano pożar w elektrowni został opanowany. Z rana elektrownię i miejscowość odcięto od kontaktów zewnętrznych. Dostęp ludzi do skażonej strefy przerwano.

Maksymalny poziom promieniowania w rejonie elektrowni wynosił 26 kwietnia 10–15 milirentgenów na godzinę, w Kijowie zaś 0,3–0,4 milirentgena.

W trybie nagłym przygotowano plan ewakuacji mieszkańców z obszaru w promieniu 30 km od elektrowni.

27 KWIETNIA

O godz. 14 zarządzono ewakuację miasta Prypeć. Autobusy postawiono pod niemal każdą bramą. W ciągu 2 godz. i 45 minut miasto opuściło około 40 tys. ludzi. Kolumna pojazdów rozciągnęła się na 20 km.

Ewakuacja wsi i osad wiejskich przebiegała trudniej. Żaden rolnik nie chciał wyjeżdżać w okresie najpilniejszych robót polowych, wielu nie uświadamiało sobie stopnia zagrożenia.

Łącznie ewakuowano 92 tys. ludzi.

— Ewakuowanym udzielono bezpłatnej pomocy: wydano odzież, koce, namioty.

— Rodziny budowniczych Chmielnickiej Elektrowni Atomowej otrzymały właśnie przydziały nowych mieszkań, ale kiedy do miejscowości zaczęli przybywać ewakuowani, postanowili oddać im te mieszkania.

— Do dyspozycji ewakuowanych, zwłaszcza dzieci, oddano najlepsze uzdrowiska i obozy pionierskie.

— Krater reaktora został „zaplombowany” powłoką z piasku, ołowiu, dolomitu, boru... o łącznej wadze 5 tys. ton.

— W rejonie elektrowni pracuje 1.300 lekarzy, pielęgniarek, laborantów, personelu pomiaru radioaktywności, 240 karetek pogotowia.

— Na brzegach Prypeci wznosi się wały, aby chronić wodę przed radioaktywnymi ściekami.

5 MAJA

Poziom promieniowania w rejonie elektrowni obniżył się dwukrotnie.

10 MAJA

Wydzielanie substancji radioaktywnych praktycznie zostało przerwane.

— Warzywa dostawiane do miast bada się dwukrotnie — w polu i w sklepach. Stale zmywane są drogi.

14 MAJA

Do tego dnia hospitalizowano 289 osób z diagnozą choroby popromiennej w różnym stopniu. Siedmiu zmarło: pracownik elektrowni Aleksander Leliczienko i sześciu spośród 28 strażaków uczestniczących w akcji gaszenia pożaru: Nikołaj Waszczuka, Wasilij Ignatienko, Wiktor Kibienok, Władimir Prawik, Nikołaj Titiłow, Władimir Tiszczura.

— Dział fundusz pomocy. Pieniądze na specjalne konto w Banku Państwowym nadchodzą z całego kraju.

22 MAJA

Centralna Rada Ogólnorosyjskiej Ochotniczej Straży Pożarnej przeznaczyła 100 tys. rubli na fundusz pomocy ofiarom awarii czernobylskiej.

— Specjalistycznymi badaniami medycznymi objęto ponad 220 osób. Sędzijski hospitalizowani z diagnozą choroby popromiennej nie ma ani jednej osoby z najbliższej okolicy elektrowni. Są to wyłącznie pracownicy elektrowni i ci, którzy uczestniczyli w likwidacji awarii.

26 MAJA

Z wywiadu wicepremiera ZSRR Lwa Woronina dla korespondentów „Prawdy”:

L. Woronin: Szczątkowe termoreakcje wygasają, jednakże poziom promieniowania przy samym bloku jest wysoki, dlatego stosujemy tam specjalny sprzęt techniczny. Należy wybudować fundament pod reaktor, a wyrwę powstałą podczas wybuchu trzeba nie tylko „ogrodzić” nasypem ochronnym, ale również pod nim wybudować fundament. W najbliższym czasie dostarczy się tu dwie betonowe płyty; na potężnych transporterach zostaną one podwieszone do wyrwy i zamontowane. Umożliwi to rozszerzenie frontu robót, powstanie bowiem osłona biologiczna.

Pyt.: Czy to jest początek budowy „grobowca”?

Odp.: Nie jest to zwykły „namiot”, który ma osłonić uszkodzoną część elektrowni, a dość skomplikowana konstrukcja. Przecież należy stale kontrolować wnętrza „grobowca”, a przede wszystkim dokonywać pomiarów temperatury.

Pyt.: Jak wiadomo, poziom promieniowania obniżył się...

Odp.: Jednakże do stanu normalnego jeszcze daleko. Nie tylko likwidujemy ogniska promieniowania i usuwamy resztki konstrukcji, ale również prowadzimy prace wewnątrz całej elektrowni. Równocześnie rozpoczynamy przygotowania do wznowienia eksploatacji pierwszego i drugiego bloku. Na to potrzeba kilku miesięcy, ale w bieżącym roku z całą pewnością je uruchomimy. Podjęto wielką pracę dezaktywizacji 30-kilometrowej strefy, podzielonej na trzy sektory. Z 240 punktów, kilkakrotnie w ciągu dnia, otrzymujemy wyniki badań powietrza i powierzchni ziemi. Sytuacja stopniowo ulega poprawie: każdej doby poziom promieniowania obniża się o 5 proc.

„Moskowskie Nowosti” z 1 czerwca 1986 r.



**P**odobno najstarsi ludzie nie pamiętali równie gorącego lipca. Wszystko, czego w porę nie wstawiono do lodówki, natychmiast ulegało rozkładowi, wydzielając przy tym natarczywy, starchy odór, który całym dniami pozostawał w pokojach, mieszając się z innymi, równie smutnymi zapachami, nadpływającymi ze zmęczonych ulic, podwojek i skwerów, w rodzaju nadgrzanego nerwu smogu. Życie ludzi i zwierząt ulegało pod jego wpływem swoistej kompresji przybierając coraz prostszą, z geometrycznego punktu widzenia, doskonałe kształty.

Taki obrót wypadków, oprócz oczywistych dolegliwości, miał też swoje dobre strony; oto na przykład zapanował nagle idealny spokój i porządek, zdecydowanie poprawiając statystyki nie tylko milicyjne, ale nawet — paradoksalnie — pożarowe. Może tylko w szpitalach psychiatrycznych i niektórych mieszkaniach prywatnych, szczególnie w nocy, notowano zwiększoną ilość napadów histeryi.

Marek Majewski, mniej więcej trzydziestoletni, okazał się mężczyzną, leżącym nieruchomo na plaży, najwyraźniej nie przejmował się jednak tymi wszystkimi zjawiskami. Zapomniał nawet, że mijają właśnie ostatni dzień jego urlopu i trzeba będzie wrócić do spraw, które zostawił w stanie dalekim od uporządkowania. W końcu ten jeden dzień, który mu jeszcze pozostał, też stwarzał wiele szans, a każda z nich, prawdziwo wykorzystana, może odwrócić bieg życia i skierować je w tę przyjemniejszą, pełną blasku, przyrodzoną człowiekowi jego pokroju stronę.

Oczekując na nadejście pierwszej szansy, Marek leniwie spoglądał na grających kilka metrów dalej w siatkówkę Irenę, Krystynę i Marcina. Najwięcej uwagi poświęcał Krystynie; z całej trójki — według dokładnego rozeznania jakie przeprowadził — ona właśnie zdolna była zapewnić mu tę odrobinę spokoju i oddechu, której potrzebował, aby móc rozwinąć skrzydła. Sprawa, co prawda, miała także swoje ciemniejsze strony, ale kosztem drobnych kompromisów moralnych można je było stosunkowo łatwo opanować. I nie tym martwił się Marek w tej chwili; prawdziwą, wręcz metafizyczną trwogą przejmowała go myśl, że życie nie składa się wyłącznie z leżenia na rozgrzanej plaży, albo ostatecznie w jakimkolwiek innym, równie wygodnym i ciepłym miejscu. Trzeba zrobić jeszcze tyle znacznie mniej interesujących i męczących rzeczy... Ale to dopiero za kilka godzin.

Przewrócił się na plecy i zamknął oczy. Kolorowe kola zaczęły odkreślać mu się pod powiekami; z zadowoleniem zauważył, że zapada w sen.

Grand Hotel przypominał dekorację filmową, którą po kompletnym zużyciu postanowiono jeszcze wykorzystać do wyciągania pieniędzy z kieszeni szukających sentymentalnych wspomnień kinomani. Sala restauracyjna była prawie pusta. Tylko przy kilku stołkach siedzieli podchmieleni Arabowie otoczeni dziewczynami w opiętych spodniach, albo za krótkich spódnicach i młodzieńcami w skórzanych, dopasowanych kurtkach. Wszyscy robili wrażenie, że sprawy, które ich tu zetknęły, są od początku jasne i nie wymagają żadnych tłumacheń. Wszyscy też zbyt głośno używali łamanej angielszczyzny.

Marek posadził swoich gości w końcu sali, przy wychodzącym na molo oknie. Z zewnątrz wąską stróżką przeciekało gorące brzęczenie spacerowiczów i smród morza. Mimo bogatego zastawionego stołu i wspólnych wysiłków ożywienia nastroju, czuli się jak muchy, które przypadkowo spotkały się na tym samym, przywidłym torcie.

— O czym oni tak krzyczą? — Irena zerknęła z zaciekawieniem w stronę Arabów.

— Wiadomo... — Marcin dyskretnie, chusteczką i wierzchem dloni, wycierał pot z czoła i karku.

— To znaczy?

— Przed pójściem do łóżka, trzeba przecież coś wypić i trochę pogadać — odpowiedział Marcin.

— U siebie obijają się pewnie po jakichś czwartorzędnych spelunach, a tu... wszędzie

otwarte drzwi, uśmiechy kelnerów, panienki do wyboru, do koloru... — zauważyła Krystyna.

— Nie rozumiem ich; ja bym tam z Arabem nie poszła za największe pieniądze — powiedziała Irena.

— Proszę pana — Marek zatrzymał przechodzącego kelnera. — Można by tu zorganizować jakąś muzykę?

— Dziś poniedziałek — odparł tajemniczo kelner nie zważając na krok.

— No to co? — Marek wyciągnął z kieszeni zwinętą pięćsetkę i ostentacyjnie wcisnął mu do ręki. — Złatw pan coś. I jeszcze cztery pięćdziesiątki.

— Proszę państwa, chyba już wystarczy. W zasadzie dziś w

**RYSZARD NAKONIECZNY**

## Powrót z urlopu

ogóle nie podajemy alkoholu — na podobnej do konserwowanej dłuższy czas w denaturacie figi twarzy kelnera pojawiło się zaskrobienie.

— Tym razem może być w filiżankach do kawy. — Marek wyjął drugą pięćsetkę.

— Służę panu — kelner złożył elegancki ukłon i z wdziękiem odpłynął w głąb sali. Zaraz potem, najwidoczniej z jakiegoś zdezelowanego radia, popłynęły dźwięki „Woman in Love”.

Marek wstał i wyprostował się przed Krystyną. Prawie siłą wprowadził ją na wolną przestrzeń między stolikami. Od razu stał się centralnym punktem zainteresowania.

— Nie wyglupiaj się — Krystyna próbowała wysunąć się z jego objęć i wrócić do stolika. — Wszyscy na nas patrz...

— No i co z tego. Będziesz w sobotę w Łodzi?

— Po co?

— Bylibyśmy sami... Tutaj ten... — Marek zrobił teatralny gest w stronę Marcina — ciągle się koło ciebie kręci.

— Zapominasz, że to twój brat... no i mój narzeczony.

— Mój brat, mój brat... to co, że mój brat...

Muzyka ostro zachrypiała i zamilkła; nie pozostawało nic innego, jak wrócić do Marcina i Ireny. Marek spojrzał na stawianą właśnie przez kelnera wódkę i poczuł mdłości.

— Popraw pan tę muzykę.

W toalecie odkręcił kran, usiadł na sedesie i przytknął twarz do kaloryferów. Kiedy zamykał oczy w głowie zaczynało mu coś niebezpiecznie rosnąć. Zastanawiał się mętnie co by było, gdyby nie potrafił tego przerwać; najprawdopodobniej jego głowa zajęłaby wtedy najpierw całą restaurację, potem plażę i wreszcie zaczęłaby unosić się na cuchnącym morzu, jak balon...

Ktoś szarpnął za drzwi kabiny.

— Wracamy do domu — Marcin był podejrzanie spokojny. — Dlaczego? Zaraz mi przejdzie.

— Nie mam zamiaru dłużej patrzeć, jak za moje pieniądze spijasz się i przytulasz do mojej narzeczonej.

— Przecież oddam ci tę cholerną forszę. Myślisz, że nie mam? Mam więcej od ciebie. Jutro ci wysłę, telegraficznie...

Kiedy wrócili na salę muzyka znów grała, a przed Krystyną stało z podejrzanymi uśmiechami dwóch Arabów.

— Spływaj stąd brudasie! — Marek pchnął bliżej stojącego i wolnym ruchem podniósł do góry rękę. — Get out!

Arab cofnął się od razu, ale Marek ciągle siedział za nim.

— Myślisz, że za te twoje śmierdzące dolary możesz tu robić, co ci się podoba? Spływaj, mówię! Get out!

W tej samej chwili jego ręka, popychająca wciąż Araba, dostała się w jakiś skręcający mechanizm i jednocześnie poczuł na twarzy mocne uderzenie.

— Ty mnie bijesz czarnuchule! — wściekłość była znacznie silniejsza od bólu. Marek rzucił się na osłep do przodu i zaraz potem otrzymał dwa stopujące uderzenia. Tym razem otrzeźwiał na dobre i złapał za stojące obok krzesło. Siedzący dalej Arabowie wstali i podchodzili w jego kierunku uspokajając wystraszonych kelnerów.

— Uspokój się! — krzyknął Marcin.

Marek trzymał już krzesło nad głową, kiedy nagle ktoś złapał go za rękę. Obok siebie zobaczył młodego mężczyznę, ubranego, jak wszyscy tutaj, w dopasowaną, skórzaną kurtkę. Mężczyzna uśmiechał się do Arabów, którzy gestykulując i głośno rozmawiając wracali do stolików, Marek wyrwał rękę.

— Uspokój się, Szukasz guza? — mężczyzna w dopasowanej kurtce rozsiadł przed siebie uspokajające gesty. — Nie poznajesz mnie? Tomek... Tomek Kurkiewicz...

— To twój znajomi? — Marek obmacywał rękami twarz.

— Nie daruję temu brudasowi! — natrafił na strużkę krwi sączącą się z nosa i przyglądał się jej długo z pijacką uwagą.

— Może innym razem. Chodź, napijemy się... Nie widziałem cię chyba z pięć lat, trzeba to oblać. Co tu w ogóle robisz?

— Przyjechałem na urlop... Ja go jeszcze złatwię... — Marek odprowadzał wzrokiem swojego niedawnego przeciwnika. — Miał szczęście, że się zjawił. Na początku trochę kłopsko się czułem, teraz to wszystko inaczej by wyglądało.

Usiedli przy barze.

— Żebym nie zapomniał... Mógłbyś mi pożyczyć parę patyków? Jutro o piątej rano wyjeżdżam, to ci od razu odeślę. Nie chcę brać od tego... — Marek obejrzał się w kierunku sali, ale Marcin, Krystyna i Irena już wyszli.

Mieszkanie, które od śmierci matki zajmował Marcin, znajdowało się kilkadziesiąt metrów od głównego sopockiego deptaka i składało z trzech wysokich pokoi, równie dużej kuchni, obszernej łazienki i wspólnego przedpokoju tworzącego dla niewtajemniczonych prawdziwy labirynt.

zostanie na noc u Krystyny i nie ma sensu na niego czekać. Nie mieli sobie zresztą nic do powiedzenia. Gdyby przyszli, pewnie znów doszłoby do kłótni; nie mógłby mu tak łatwo darować, że w restauracji stał z boku podczas bójki z Arabem, a potem zniknął. Zastanawiał się chwilę czy nie powinien sam pójść do Krystyny i spróbować porozmawiać z nią raz jeszcze — w końcu dała mu wystarczające powody do złożenia takiej wizyty. Obecność brata w jej mieszkaniu nie brał jakoś pod uwagę; alkohol ciągle jeszcze działał, niezauważalnie zmieniając myśli, judząc i przyspieszając pochopne decyzje.

Kiedy wyłączył radio usłyszał jednostajny szum. Najpierw myślał, że dochodzi z korytarza i gwałtownie podskoczył do drzwi; kobietę zastał jednak w zwykłym miejscu, a szum jakby się zmniejszył. Z walizką w ręku podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zdumiony — jakby miał do czynienia ze zjawiskiem już dawno minionym i niemożliwym do powtórzenia — patrzył na padający deszcz.

Do pociągu wskoczył w ostatniej chwili. Spływał wodą; trochę z deszczu, który dopiero przed chwilą przestał padać, a trochę z potu. Od paru minut, targając walizkę, biegł jak mógł najszybciej wpatrzony w świetlny zegar zamontowany przed budynkiem dworcowym stacji Gdańsk — Wrzeszcz. Kiedy tylko przyszedł do siebie wybrał się na poszukiwanie konduktora. Na korytarzach był przerażający tłok; sforsowanie każdego wagonu wymagało nie lada wysiłku. Przecisnąwszy się do przedziału służbowego, pomyślowo zainstalowanego przy końcu „jedyńki”, tuż przed „Warszem”, był zupełnie wykończony.

— Chciałbym zgłosić, że nie zdążyłem kupić biletu...

— Nie ma miejsca... W tym pociągu obowiązuje rezerwacja — za tyśnią paluszujących kanapek, grubego konduktora podniosło się słońce zapowiadające, po krótkiej deszczowej przerwie, kolejny dzień upału.

— A tamci?... — zaczął Marek. — Zresztą ja muszę jechać... — postawił ciężko walizkę na podłodze.

— Każdy musi. A jak przyjdzie rewizor, to co ja powiem?

— Na pewno coś pan wymyśli. Ja naprawdę muszę jechać... — powtórzył Marek i wyciągnął z kieszeni pięćsetkę.

Konduktor wziął banknot w taki sposób, jakby służył do zawiązywania kanapek.

— Dobra. Siadał pan. Kiepsko pan coś wygląda...

— Zmęczony jestem... — Marek wsunął głowę w róg przedziału. Konduktor najwyraźniej coś jeszcze do niego mówił, ale nie próbował już nawet tego zrozumieć. Natychmiast zapadł w pełen zimnych igieł sen, przerywany od czasu do czasu krwawymi koszmarami.

— Co jest? — Marek niepewnie otworzył oczy.

— Jak to co? Łódź Kaliska. Spał pan jak niemowlak, tyle tylko, że nieogolony — zarechotał konduktor zadowolony z dowcipu, zarobionej pięćsetki i drugiego śniadania.

— Już? — Marek zdumiony patrzył na słupy oświetleniowe stadionu ŁKS.

— Dopiero. Złapał się prześrodkowo opóźnienia.

— Aha... — lekki, pełen rozpiętych się twarzy koszmara trwał jeszcze podczas instynktownego biegu peronem.

Na postoiu taksówek zameldował się na dwunastej pozycji. Niezłe, biorąc pod uwagę, że wysiadł ostatni — pomyślał. W wytwórni był pół godziny później. Obchód w poszukiwaniu znajomych rozpoczął od biurowca. Dopiero po dłuższym krążeniu korytarzami zorientował się, że nie ma żadnych szans powodzenia; dwa magnesy ściągające tu normalnie ludzi — kasa i bufet — były już zamknięte.

Poszedł w kierunku montażowni. W „dziesiątce” zastał Dorotę. Na małym ekranie stołu jakaś roznieglizowana para to obejmowała się, to — kiedy taśma biegła do tyłu — oddalała od siebie. Obejrzał to pięć razy, zanim zdecydował się

chrząknąć zwracając uwagę na swoją obecność. Dorota odwróciła się.

— A, to ty... — nie brzmiało to specjalnie entuzjastycznie.

— Przed chwilą przyjechałem. Nie wiesz, gdzie mogę zapaść Waldeka?

— Od tygodnia jest na zdjęciach.

— Jak to? Przecież miał zacząć pojutrza...

— Coś mu tam wypadło, nie wiem dokładnie. Chyba nawet chciał się z tobą skontaktować, ale w końcu wziął innego asystenta...

Marek odwrócił się w kierunku korytarza.

— Jaki jest teraz numer do „dźwięku”?

— Magda też z nimi pojechała — Dorota na nowo wcisnęła pedał i uruchomiła ginastykującą się parę.

— Jak to pojechała? — Marek zatrzymał się.

— Przestała cię podziwiać, zdarza się — tym razem Dorota pozwoliła ekranowym kochankom pokonać następny etap; mężczyzna w dużym zbliżeniu głośko dzweczył w okolicach pośladek.

Przed halą zdjęciową stały dwie takówki, a dokoła małego baru zebrało się kilkanaście osób. Marek przecisnął się między statystkami w krynolinach.

— Jeszcze nie skończyliście? zagadnął znajomego szwenkiera popijającego kawę przy stoliku pod ścianą.

— Dopiero zaczęliśmy. Dwa tygodnie nie można było odebrać dekoracji.

Marek nagle poczuł zmęczenie.

— Nie mógłbyś mi pożyczyć te trzy patyki? Chciał na dwa tygodnie? Myślałem, że coś zarobię u Waldeka, ale oni podobno wyjechali bez mnie, a muszę dziś zapłacić za mieszkanie.

— Sam jadę na pożyczkach. Jutro miała być rata, ale przez te obsuwy z dekoracją...

Ostrożnie otwierał drzwi mieszkania i jeszcze ciszej przemknął się do swojego pokoju. Czując było stęchłą i potami; miesiąc nieobecności zrobił swoje. Stojący, gesty upał zwał z nóg. Położył się na tapczanie i próbował ustalić, co powinien zrobić jutro. Zatrzymał się jednak na uznanie własnej sytuacji za niewesolą i kategorycznym postanowieniem dokonania w niej zasadniczych zmian na lepsze. Potem słuchając dobiegającego z pokoju gospodarzy, filtrowanego przez coraz gęstszą wata, dźwięku telewizora — zasnął.

Obudził go dzwonek do drzwi. Otworzył oczy; ostry promień słońca, przeciskający się między zasłonami, celował mu prosto w twarz.

— Nie ma go w domu — usłyszał głos gospodyni.

Wstał i podszedł do palców do drzwi.

— A co to? Pieniądze? — dopytywała się gospodyni.

Trochę za szybko pojawił się na korytarzu.

— Dzień dobry... Wróciłem w nocy, nie chciałem państwa budzić... — patrzył z nadzieją na stojącego w drzwiach mężczyznę z plikiem papierów w ręce.

— Pan Marek Majewski?

— Tak, to ja... — przyczesał zmierzwiłone snem, spoczone włosy.

— Telegram. Niech pan tu podpisze — mężczyzna wskazywał kciukiem zakochanym czarnym paznokciem jakąś rubrykę w rozłożonym na ścianie formularzu.

— Jeszcze data...

— Przepraszam, którego dziś mamy? — Marek spoglądał podenerwowany na gospodynię.

— Trzeci sierpnia... Telegram był z Gdańska. Rozpoczynał go wolno, zastanawiając się co zrobić, jeżeli wejdzie gospodyni i w ten swój nieprzyjemny sposób znowu domagać się zapłaty czynszu.

Przebiegając oczami tekst telegramu odetchnął z ulgą, rozwiązanie znajdowało się tu, w kilku drukowanych krywymy czeionkami wyrazach: „MARCIN NIE ZYJE, KRYSZYNA”.



Foto: Grzegorz Gałasiński



**M**uszą być wszędzie tam, skąd popłynąć ma ciepło i prąd. Bez nich nie ruszy żaden większy kocioł, żadna turbina. To oni — akuszerzy energetyki z gliwickiego „Energorozruchu” zawsze jako pierwsi naciągają ten najważniejszy guzik. Wszystko działa jak należy? W porządku. Zadowolone na twarzy — kolejne zadanie wykonane. I oto znów trzeba zbierać manatki, jechać gdzieś na drugi kraniec Polski. Nieraz na kilka miesięcy, nieraz — kilka lat. Białystok, Kozienice, Dolna Odra, Polaniec, Bełchatów. Wszędzie buduje się nowe elektrownie, modernizuje i rozbudowuje stare. Wieg wszędzie tam muszą być — od trzynastu lat niezastąpieni, gdyż jedyni w swej robocie. Specjaliści — monopolisci. Dlatego choć pewni, że nie braknie im pracy, nigdzie dłużej nie zagrzewają miejsca. Wędrują. Ale takie już ich zajęcie, takie życie — w delegacji.

Inżynier odpowiada banalnie: „to trzeba polubić”, choć inny powie: „do wszystkiego można się przyzwyczaić”, co też będzie przecież jakąś częścią prawdy. I te dwa zdania właśnie stanowią chyba granice wyboru, jakiego kiedyś mniej lub bardziej świadomie dokonali. Gdyby było inaczej, szukaliby pracy przede wszystkim w mieście stalego zamieszkania — w Gdyni, w Puławach, Włocławku, Koninie, odchodziliby jeden po drugim. Tymczasem jeśli odchodzą, to najczęściej młodzi — już po paru miesiącach, po roku. Większość nie myśli nawet o zmianie. Przyzwyczaili się, polubili... Dobrze zarabiają, mimo trudnych nieraz warunków. Ale czy w życiu tylko o pieniądzu chodzi? Inżynier — może wyjątek? może trochę dziwak? — stanowczo przeczy głowa.

Kiedy dziewięć lat temu kończył Politechnikę Śląską (specjalność — maszyny i urządzenia energetyczne) pracy dla takich jak on nie brakowało. Mógł na przykład dostać etat w elektrowni „Szombierki”, dziesięć minut drogi od domu — za mniej więcej

## Życie w delegacji

takie samo, jak w „Energorozruchu” wynagrodzenie. Wraz z czterema kolegami z roku wolał jednak jechać w Polskę, tam, gdzie rzuci go los. I wcale nie żałuje. Zaczynał od Jaworzna. Potem był Polaniec, Białystok i Warszawa. Od dwóch lat siedzi w Zgierz i w Łodzi.

Hotel „Światowit”, pierwsze piętro, pokój numer... Dwa łóżka, wersalka, szafa, stół, krzesła, półka z książkami, radio, telewizor, telefon, lodówka. Na parapiecie trochę różnych naczyń, maszynka do gotowania (można zrobić zupę, usmażyć naleśniki), jakieś drobniaki, ale nie za wiele. Co jeszcze można pomieścić na dwunastu metrach kwadratowych? I tak jest już dosyć ciasno. Zresztą — po co? Od poniedziałku do piątku więcej nie trzeba. Poza tym, to hotel, a nie dom. Nawiasem, dobry hotel. Bo przedtem gorzej nieraz bywało.

„Łódzka” ekipa „Energorozruchu” liczy czternaście osób — elektryków, mechaników, automatyków. Pracują teraz głównie w „Borucie”, ale także w EC-IV i na budowie ciepłowni Centrum Zdrowia Matki Polki przy ulicy Ustronnej. Kwaterują, gdzie się da — w „Centrum”, „Polonii”, „Nowej Gdyni”, hotelu robotniczym „Boruty”. Od lutego ubiegłego roku trójka jest też w „Światowicie”. Mają samodzielne pokoje, ale i tak sporo czasu spędzają wspólnie. Często razem przygotowują sobie posiłki, grają w brydza i pokera po złotówce, dyskutują. Obowiązków przecież — prawie żadnych. Niemal każde popołudnie wolne. I jeśli nawet zdarzy się przy tym jakaś wódka... To chyba nie niezwykłego? Od dawna wiadomo, że alkohol poprawia humor, zabija czas, odpędza złe myśli. I w takich hotelach naprawdę bywa niekiedy potrzebny. Pomaga. Cała sztuka życia w delegacji polega na tym, by nie musiał — zbyt często.

Najgorsze są poniedziałki, mówi inżynier. Te po dwóch dniach spędzonych w domu i całej nocy w pociągu. Człowiek jedzie niby odpocząć, pomieszkować u siebie, ale zawsze wraca cholernie zmęczony. Piasek w oczach, głowa nabita różnymi sprawami. Gdy przekracza się próg mieszkania — raz na tydzień, raz na dwa tygodnie — nie wiadomo w co najpierw włożyć ręce — tyle czeka roboty. A jeszcze coś załatwić, odwiedzić krewnych, znajomych...

Inżynier jest kawalerem. Swoje mieszkanie w Bytomiu dzieli z matką, siostrą i siostrzeńcami. Ale prawie wszyscy jego koledzy mają żony, dzieci... Zwyczajnie. I też jeżdżą do nich tylko w wolne weekendy. Na Wybrzeże, na Śląsk... Od lat.

Kawalerstwo inżyniera nie jest dziełem przypadku, czy wyrokiem losu. To w pełni świadomy wybór, mówi, jak praca w „Energorozruchu”. Może gdyby nie widział tylu nieszczyśliwych małżeństw, miałby dziś trochę inne zdanie. Może. A tak woli być sam. Ceni niezależność i — nie ma co kryć — wygodę. Nikt nie zmusza go do chodzenia z torbą po zakupy, nie ma za złe, że czyta długo w nocy, rozwiązuje krzyżówki. Prawdziwa wolność dla mężczyzny. To prawda, że zdarzają się takie chwile, gdy staje się ona nie do zniesienia, ciąży na piersi jak wielki kamień. Ale mija noc, znów trzeba jechać do „Boruty” potem na Ustronę, na Widzew, wpaść na Górniak — po jakichś nowach, ciekawych książkach i ból słabnie. Kto z nas nie przeżywa zresztą czasem cierpień egzystencji? Do samotności także można się przyzwyczaić, polubić ją mimo wszystko. Zależy od człowieka — czego oczekuje, co chce osiągnąć, zdobyć jeszcze w życiu.

Inżynier twierdzi, że ma już wszystko. No, może oprócz paru wymarzonych książek — „Pogody dla bogaczy”, Tolkiena... Gdyby chciał, już kilka lat temu mógł sobie kupić auto, kolorowy telewizor. Stać go było na to. Uznał jednak, że są mu niepotrzebne. Do Bytomia jeździ koleją, a koszty zwraca firma. Po Łodzi i Zgierzu porusza się wynajętą na stałe taksówką. Równa to tyśięcy na miesiąc. Drogo? Może i drogo, ale ponoć taniej, niż utrzymanie tu służbowego samochodu. Jak by jednak nie było, po co mu w takim razie własny wóz? Gdzie by z niego korzystał — tam, czy tu? Lepiej za zarobione pieniądze przenieść się w inne, lepsze, bo odległe światy — w przyszłość lub przeszłość. Tak, choć to może dziwne, on woli kupować książki.

Ale nie tylko na tym polega dziwactwo inżyniera, że zatwardziały kawaler, że woli science-fiction od malucha. W „sztabie” w Gliwicach proponował mu kiedyś wyjazd do Indii na rozruch elektrowni. Złoty interes. Posiedziaby tam rok, może dwa i — jest „ustawiony”. Wiele za taką propozycję całowałoby po rekach i nogach. Toż z takiej Czechosłowacji prawie każdy wraca własną Skodą. A on odmówił: to za daleko, nie ten klimat... Owszem, wyjechałby zarobić, ale nie za wszelką cenę. Może gdzieś bliżej... I jak tu zrozumieć człowieka!

Albo z tą ciepłownią w „Borucie”. Trzeci kocioł miał być gotowy już w zeszłym roku, potem mówiono, że — w maju, teraz „Lepiej nie mówić i tak dwa lata spóźnienia. Wykonawcy tłumaczą się, że nie mają ludzi. A ekipa „Energorozruchu” czeka, coś tam robi, ale mogłaby już dawno skończyć, albo zacząć później. Zmarnowany czas, zmarnowane pieniądze. Pokój w „Światowicie” kosztuje tysiąc sześćset złotych na dobę. Płacić trzeba za przejazd, diety... A wszystko dlatego, że bałagan, brak odpowiedzialności, zła organizacja.

Inżynier nie może spokojnie na to patrzeć, pisze pisma, domaga się, denerwuje. Zupelnie jakby miał jakiś prywatny interes w tym, żeby zaperspektywizować te zimne odpowiednio ogrzane. A jakżo on może mieć interes? Zaden. Mieszka wygodnie w hotelu, forsz bierze, robotą nie jest przywalony... Cóż go właściwie może obchodzić, czy ciepłownia „Boruty” podzieli się kaloriami z miastem.

Inżynier czeka z niecierpliwością dnia, kiedy znów trzeba będzie zbierać manatki, jechać gdzieś na drugi kraniec Polski na kilka miesięcy, może — kilka lat. Dąbrowa, Milanówek, Bełchatów, Żarnów. Wszędzie buduje się nowe elektrownie, remontuje stare. Bo takie to już jego zajęcie, takie życie — w delegacji.

Choć mógłby też odpowiedzieć banalnie: „to trzeba polubić — dobrze i sprawnie wykonaną pracę”.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

NR 34 (1482), XXIX, 23 SIERPNIA 1986 R.

## Spojrzenie znad szachownicy

### Kolduny a la „Społem”, czyli hańba gastronomii

Dzisiaj będziemy bili się na cytaty oraz obrzucali różnymi gatunkami mięsa, a to w obrobie honoru koldunów, dumy kuchni litewskiej.

Wbrew wczesniejszemu zamyślowi nie wezwę wszakże na wspomnienie Melchiora Wańkowskiego, który piękne rzeczy o koldunach pisał. Mistrz bowiem gdyby wstał z grobu i dowiedział się jakie pohanińskie uczyniono jego potrawie najmilszej, ponownie byłby się w zimny grób położył, ale nigdy już nie zasnął w nim spokojnie.

W książce „Przepisy kulinarne dla zakładów gastronomicznych PSS „Społem”, opatrzonej na karcie tytułowej groźną notą DO UŻYTKU SŁUŻBOWEGO, znajdujemy obligatoryjne w pewnym sensie receptury określające z czego mianowicie takie lub owakie danie należy sporządzać.

W zasadzie receptury te mają służyć ochronie konsumenta przed uczupianiem porcji bądź podmianiem lepszych gatunków mięsa na gorsze, w interesującym nas przypadku rzecz ma się wszelako zgoła odwrotnie. Zdaniem autorów punktem wyjścia do KOLDUNÓW LITEWSKICH Z BARANINĄ (symbol PK — M-V-3) winny być okrawki, łopatka oraz łata barania, mniejsza o proporcje, jakież bowiem mogą mieć znaczenie, skoro o łoju nie wspomina się ani słowem. Reszta — myślę o cieście, przyprawach, takóże samej technologii przyrządzania — jak na możliwości gastronomicznej zreferowana została wcale rozsądnie, coż pomaga jednak czosnek, pieprz i majeranek, gdy w środku znajduje się smutne oszustwo?

Kolduny — zważywszy to, kochani, i zakonotując sobie gdzie trzeba — są danem odświętnym, więc drogi, nadto tradycyjnie tłustym, niezbyt zdrowym przeto. Używa się do nich przednich gatunków mięsa i obowiązkowo łoju — nerkowego najlepiej — a kto by chciał serwować kolduny dietetyczne, wystawi się niechybnie na zasłużone pośmiewisko.

3.

Zaczajem to pisać bez gniewu, z politowaniem raczej, ale gdy pomyśle o KOLDUNACH LITEWSKICH (już nie z baraniny, symbol PK — M-V-4) ciemnieją mi przed oczyma. Sporządza się je z okrawków wieprzowych — 370 dkg, oraz okrawków wołowych — 30 dkg, z czego wyjść mają porcje dla dziesięciu osób.

Może i wydźwięk tych porcji, najbardziej pijany Litwin wytrzeźwiałby jednak w okamgnieniu usłyszawszy, że do koldunów używa się wieprzowiny. A gdyby trafił się zadzierzasty, to — popróbowawszy — i w łeb gotów dać, że Panie Boże pomiluj!

4.

Z uroczej książeczki Marii Iwaszkiewicz „Gawędy o jedzeniu” odpisuje początek przepisu na kolduny:

„Potrawa smiertelna dla wroty, nie dostrawienia bez wódki, choć jednocześnie ją neutralizująca. Zajmuje wiele czasu i wymaga wiele zachodu, ale...”

Potrzebna jest do tego poledwica wołowa. Jeżeli nie można jej dostać, wziąć chudą wołowinę, jasnoczerwona — bo miększa — oraz tłustą baraninę z combra lub dyszka. Kupić również łój wołowy nerkowy, bardzo biały. Jeśli nie można dostać nerkowego, to łój wołowy też biały i ścisły. Miesza — w proporcji pół na pół, może być przewaga baraniny. Na kilo mięsa czterech kilo łoju. Nieco inne proporcje zaleca Biruta Markuza Bieniewska (już same imiona wskazują, że autorka zna kuchnię litewską nie tylko ze słyszenia) w książ-

ce „Kolduny, pyzy i inne przysmaki”.

NADZIE: 20 dkg poledwicy wołowej, 20 dkg baraniny łoju nerkowego (w niektórych regionalnych zamiast łoju używany jest tuk, czyli szpik z kości wołowych lub słonina) 20 dkg baraniny z udźca, czosnek, sól, pieprz, majeranek, 2-3 łyżki rosolu, odrobina cukru.

Wstępnie do książki autorka wyjaśnia, że kolduny miały mnóstwo regionalnych odmian, kowieńskie różniły się od wileńskich, a wileńskie od wołowskich. Klasyczne kolduny litewskie podawane były w gębokim talerzu i polewane masłem, natomiast kolduny — rzekłbym — spolszczone, o których pisze Maria Iwaszkiewicz, podawano się w gorącym rosolu. Osobiście wolę tę rosolową wersję, przy proporcjach 1:1:1, to znaczy tyleż wołowiny, co baraniny i co łoju, z tym, że preferowałbym łój wołowy, bo barani szybciej stygnie.

5.

Rozgadałem się, ale to na dowód, że różniom kolduny od pierożków i wiem o czym piszę. Nikt jakoś nie wpadł na pomysł, żeby w charakterze ostrzegawczego nadbaltyckiego muszelki wypelnione kaszanką, a do koldunów radzi się pakować najróżnorodniejsze różności, nie bacząc iż król Jagiello to był wielki król i pobli Krzyżaków pod Grunwaldem, a Zygmunt August bardzo cierpiał po utracie ukochanej Barbary. Na pamięć tych wielkich meżów zaklinam: niechże kolduny litewskie KOLDUNAMI zostaną! A jeżeli gastronomi żał szlachetnego mięsa, nie stać jej na tyle fatygi, no i tak dalej, może przecież to swoje okrawkowe miszmasze podawać pod jakimkolwiek innym nazwaniem. Czyż „pierożki a la „Społem” nie brzmią skromnie i właśnie pierożkowato?

Hańbiąc kolduny samych siebie hańbić! Odstawiać turystów, za jednym zamachem niszczyć sławę polskiej i litewskiej kuchni, nadto — kto wie — może podpadacie nawet pod jakiś paragraf. I czy to warto biorąc pod uwagę, że wedle tej całej receptury niemal w żadnej knajpie i niemal nikomu o tych p.o. koldunów robić się nie chce!

JERZY P.

## 2

### Precz z łapami!

Decyzja zapadła: tapetujemy sami. Przed przystąpieniem do prac zasadniczych trzeba było jednak zacząć od zakupów. Z tapetami poszło łatwo — w najbliższym sklepie akurat były odpowiednie. Z klejem także — pozornie — udało się. Co prawda w sklepie alijencyjnym był tylko jeden rodzaj, ale sprzedawczyni zapewniała że świetny.

Przygotowaliśmy go dokładnie według instrukcji. Gesty, brzozy kłajster nie dawał się jednak rozprzecznić na tapetach, przygotowane kawałki marszczyły się i dary na ścianie, a to, co udało się przykleić po wyschnięciu było w ciemne plamy. Na dodatek po wytapetowaniu połowy pokoju kleju zabrakło.

Odpowiedział więc kilka sklepów w poszukiwaniu innego. Niestety, wszędzie był taki sam. Wszędzie także sprzedawcy zapewniali, że jest świetny. Dopiero w piątym sklepie, jakiś litosiwy człowiek zapytał, jakie właściwie tapety chce przyklejać i wyjaśnił, że owszem, najłatwiej dostępny klej jest dobry, ale wyłącznie do tapet winylowych, gładkich, nie nadaje się natomiast do tłoczonych. W takim przypadku trzeba szukać kleju dwuskładnikowego.

Wreszcie udało się kupić odpowiedni, tapetowanie zostało — z dobrym efektem — zakończono. Ale będzie nie o perypetiach związanych z remontem, lecz o handlu.

Handlowcy narzekają często, że traktuje się ich jak chłopca do bicia, odpowiadającego za braki zaopatrzenia — co

przecież nie jest ich winą, tylko niedostatecznej produkcji, za złą jakością towarów — a przecież i w tym wypadku nie oni zawiniли tylko wytwórcą i za całą masę innych trudności, nieprzyjemności i kłopotów na jakie narażeni są klienci, a które wynikają bądź to z przyczyn obiektywnych, bądź też są spowodowane przez jakieś bliżej nieokreślone grupy ludzi, ale przecież nie przez handlowców.

Argumenty handlowców, broniących się przed atakami rozsierdzonych często klientów nie są całkowicie pozbawione słuszności, ale w żadnym razie nie można ich używać w obronie przed zarzutami dotyczącymi kultury handlu — a właściwie jej braku. Przy czym pod pojęciem kultury handlu rozumieć należy nie tylko uprzejmość sprzedawcy — lecz także jego wiedzę dotyczącą cech sprzedawanych towarów i gotowość do przekazania jej klientowi. A z tym bywa różnie — i raczej źle.

Pani w sklepie garmażeryjnym, na pytanie czym różnią się jednakowo wyglądające paszety — jeden za ponad czterysta zł za kilogram, drugi za niespełna dwieście odpowiada oburzoną tonem: przecież widać, że różnią się ceną. Naga-bywana dalej wyjaśnia: pewno co innego do nich napakowali... W sklepie cukierniczym ekspedientka pytana o smak czekoladowych, bezkarkowych cukierków z rozbrajającym uśmiechem odpowiada: nie wiem, nie jadam słodyczy...

Sprzedawczyni w stoisku nabiałowym, stojąca akurat pod kartką informującą, że przydatność do spożycia serków smakowych wynosi czterdzieści osiem godzin na protest klienta, który nie chce wziąć twarogów z datą sprzed trzech dni, wyjaśnia wyczerpująco: te serki są dobre, tylko przedatowane. Jak by były zepsute, to by widać pudełko...

Rzecz działa się w sklepie z tkaninami. Klientka poprosiła o pokazanie sztuki różowego jedwabiu i sprawdzała, czy bardzo się gniecie, ścisając róg materiału w dłoń. Na to pani zza lady: no gdzie z tymi łapami! Ubrudził się i inny będzie musiał kupić z płamami...

Od wielu już miesięcy sklepy przestały straszyć pustymi półkami, w wielu branżach obok towarów znanych od dawna pojawiają się nowości, niejednokrotnie jest już w czym wybierać, a nawet bywa i tak, że pewne towary występują w nadmiarze i sprzedać je trudno.

Okres handlowej pustyni pozostawił jednak skutki negatywne w psychice ludzi — jak sadzę po obu stronach lady. Zbyt wielu sprzedawców ciągle jest przekonanych, że klientom do pełnego zadowolenia wystarczy fakt, że w ogóle mogą coś kupić, klienci zaś stawiają obciążającym ich pracownikom handlu zbyt małe wymagania, pamiętając być może sytuację sprzed paru lat, gdy ekspedientki występowali w roli władcy, którzy dzielą (towar) i rozdają (kolejkę). Tymczasem przecież sytuacja na rynku zmienia się radykalnie — i pora zmienić nawyki.

Jeszcze dawniej — we wszystkich sklepach wisiało hasło „Klient — nasz pan”. Na obecne czasy — zwłaszcza, gdyby rzeczywiście realizować jego idee — byłoby chyba zbyt radykalne. Może jednak warto by zastąpić je innym, umiarkowanym w widocznym miejscu w każdym sklepie „u nas klienci mile widziani”!

AGATA

## 3

Sport

### Eksperyment na boisku

— Polska piłka jest chora — oświadczył Kazimierz Górski, a za nim powtórzyli to kibice i dziennikarze, choć nie jest to żadne odkrycie. Wiadomo, o tym było od dawna. Ale Pan Kazimierz znany jest z tego, że wypowiada się ostrożnie, dyplomatycznie, żeby było i tak, i tak, i siak. Znanie jest

przecież jego powiedzenie, na pytanie dziennikarza o wynik meczu, że możemy wygrać, możemy przegrać, ale i możemy zremisować. A tu nagle Kazimierz Górski odrzuca wszelką dyplomację i mówi:

— Potrzebna jest kuracja wstrząsowa, by wszyscy zrozumieeli, że nie tędy droga. Jeżeli nie rozumiemy, trzeba będzie wziąć bankę z benzyną oblać i podpalić. I zacząć wszystko od nowa.

Ho, ho! Musi być bardzo źle, jeżeli Pan Kazimierz wygłasza takie radykalne poglądy, jeżeli nawołuje do oblania benzyną i podpalenia. No, bo rzeczywiście...

Zły stan polskiej piłki nożnej nasunął działaczom sportowym pomysł, aby ratunku szukać w eksperymentach. I jak pomyśleli, tak zrobili. W sierpniu wszyscy, co ważniejsi działacze i urzędnicy PZPN pojechali... na urlop. Urlop należy się każdemu, ale krzywnym się i pioczymy, gdy na sklepie wisi kartka: „Zamknięte z powodu urlopu”, co dopiero mówić o ważnej sportowej instytucji, która mimo rozpoczęcia ligowych rozgrywek spokojnie wywiesza kartkę: „Zamknięte z powodu urlopu”. Jedynym wytłumaczeniem takiego stanu jest... eksperyment. Działacze PZPN i urzędnicy tego związku postanowili sprawdzić, czy piłka nożna na stanie głębokiego kryzysu, gdy oni wyjadą na odpoczek. Eksperyment powiódł się! Jest nadal źle, albo nawet gorzej.

W RTS Widzew nadal gra Marek Dziuba, gdyż z powodu urlopu odpowiedzialnego — urzędnika nie można sfinalizować jego zagranicznego wyjazdu, który mu się dawno należał. W ostatnim meczu Motoru z Widzewem w łódzkiej drużynie grał Leszek Iwanicki, który przeszedł z Motoru do Widzewa. W Motorze natomiast nie grali dwaj byli piłkarze Widzewa, którzy w zamian mieli przejść do Motoru, ale nie przeszli, gdyż prezydium PZPN jest... na urlopie i nie ma komu załatwić formalności. W tej sytuacji jeden z tych zawodników, Piotr Nowak rozpoczął rozmowę z bydgoskim Zawiszą, bo choć to klub drugoligowy, to może szybko załatwi zgodę PZPN na jego grę. Natomiast Marek Jaworski czeka, aż działacze wrócą z urlopu i wypowiedzą się.

Najzabawniejsza jednak historia jest z nominacjami trenerów piłkarskich reprezentacji. Jak wiadomo PZPN posunął eksperyment tak daleko, że ogłosił konkurs na trenerów reprezentacji. Śmieją się z tego ponoć w całej Europie i na okolicznych wyspach, ale eksperymetatorzy zawsze mieli trudne życie i inni — konserwatywnie nastawieni — ich nie rozumieli. Działacze PZPN spokojnie wrócą z urlopów i rozstrzygną konkurs. Jego wyniki zostaną ogłoszone już 25 sierpnia. Już, ale dla kogo. Nie dla tego, kto otrzyma nominację na trenera reprezentacji olimpijskiej. Żeby eksperyment był całkowity, w dwa dni później reprezentacja olimpijska grać będzie w Dreznie z reprezentacją NRD. Kadre dobrze wydział szkolenia i trenerzy obserwatorzy PZPN, a trener selekcjoner zaszła na trybunie i będzie patrzył, jak nasi dostają łanie. Jego zadaniem będzie sprawić, aby to łanie było jak najjaśniejsze i aby nasi reprezentanci przywieźli z Drezna jak... najmniej goli. Wszystkie pretensje i tak spadną na jego głowę.

Najciekawszy eksperyment zrobiono na Jerzym Wójciszce, który odbywał służbę wojskową. Był w wojsku 13 miesięcy i 3 dni. Nagle został zwolniony do cywila. Powrócił do GKS Katowice. Został tam bardzo serdecznie przyjęty. Również przez kibiców, choć jeszcze nie prezentuje najlepszej formy i ma duże zaległości w treningach. Przez ostatnie pół roku służby wojskowej nie miał możliwości trenowania. A pół roku, to dla piłkarza długi czas. To dobrze, że ten utalentowany piłkarz powrócił na boisko.

Pozostał mu jednak żal i u raz do RTS Widzew i do prezesa Ludwika Sobolewskiego, czemu daje wyraz w wywiadach. Czy było to potrzebne?

Eksperymenty w piłce nożnej mają ogromną przyszłość. Czego to ludzie jeszcze nie wymyślą, aby zniszczyć doszczętnie ten piękny sport? A może rzeczywiście wziąć bankę z benzyną i... wszystko zacząć od nowa?

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 15



# Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(14)

No i ludzie lecą na tę planetę. Jest ona uderzająco podobna do Ziemi, ma w same morza i oceany, ten sam układ kontynentów, nimo to członkowie delegacji są wstrząśnięci tym, co widzą, kiedy na pokładzie grawitofonu przelatują nisko nad powierzchnią planety. Wszędzie rozciąga się pustynia, spomiędzy rzadkiej, karłowatej roślinności wystają pagórki zbrzydlonych cegieł i betonowych odłamów, tu i ówdzie sterczą nadtopione resztki konstrukcji, w okolicach fermentujących bagnisk buszują małe, zdegenerowane gryzonie, a nad tym bezkresnym krajobrazem hula wiatr, pędząc tumany sadzy, popiołu i żelaznych drobni organicznych.

— „O co chodzi?” — pyta Starszy Rady Prawiecherubów. Jest zaniepokojony rozczarowaniem okazującym przez ludzi.

— „Nie tak to sobie wyobrażaliśmy” — odpowiada przewodniczący delegacji.

— „Nie tak?” Nasz budowniczo wie utrzymują, że zreprodukowali wiernie i z pletzmem naszą planetę z epoki, kiedy będzie rajem”.

Delegaci wybałuszają oczy na Prawiecherubów.

— „Będzie rajem?” — upewnia się ich przewodniczący i głośno przelika ślinę.

— „Ziemia będzie rajem?”

— „Przecież do tego dążycie, żeby zamienić ją w raj, prawda?”

— Starszy Rady Humaczy dobrodusznie i cierpliwie — „Stale podejmujecie nowe wysiłki, ale jak dotąd bez rezultatu. Wasi władcy nie tracą jednak nadziei, niezachwianie wierzą, że kiedyś im się powiedzie, i wytrwale realizują swoje oszalałe plany. Zespół naszych specjalistów, zmagając się z przyszłością, prześledził kolejne etapy przekształcania przez was Ziemi w raj, aż trafił na efekt końcowy. Macie przed sobą jego reprodukcję”.

Jeremy zarechotał, zubiennym śmiechem wyrażając uznanie dla przewrotnego fabulisty. To też jest droga do celu — w granicach rozsądku schlebiać próżności Doreen, jej talentowi.

— Albo to, Jerry. Druga, podobna powiatka, nawijająca do poprzedniej. Rzecz rozgrywa się między dwiema grupami, rasa ludzka po krótkiej wojnie termojądrowej już nie istnieje, Ziemia jest martwą bryłą materii, miasta uległy zagładzie, tylko gdzieniegdzie stoją wypalone szkielety budynków. W pobliżu jednego z takich zburzonych miast leży statek kosmiczny wysłany z... no, z... Jerry, te latające talerze na Florydzie. Skąd to one miały niby przylecieć? Z Epsilon Eridani?

— Z Epsilon Wolarza.

— Och, nie. Epsilon Wolarza to ta historia z opóźnionym echem sygnałów radiowych. Hipoteza tego Szkota... no, jakże mu tam?

— Duncan Lunnari.

— Już wiem. Z Syriusza A.

— Z Syriusza Po prostu z Syriusza, Doreen. Syriusz A jest gwiazdą. Oni nie mogli przylecieć z gwiazdy. Przylecieli z układu planetarnego wspólnego dla obu Syriuszy: Syriusza A i Syriusza B, czyli po prostu z Syriusza — i po co ja, do cholery, zastraszam sytuację? — Ale to oczywiście nieważne.

— Oczywiście. Więc ten statek kosmiczny lądował i Syrianie przystępują do penetracji ruin miasta. I posłuchaj: ich zwiad odkrywa ocalałą przypadkiem jakimś niepojętym małą, prywatną biblioteczkę zawierającą kilkadziesiąt książek fantastyczno-naukowych. Są to jedyne książki, które zachowały się na Ziemi. Syrianie natychmiast przekładają je na syriański i studiują pilnie, traktując każdą z nich jako bezcenne źródło wiedzy o Ziemi.

— „Kur-kawodna” — mówi nagle asystent Głównego Geoklimetri...

— Syrianie nie mogli tak powiedzieć — wtrącił Jeremy.

— Wątpię, żeby oni znali ten zwrot.

— Co?

— Nic. — No, czy ja nie potrafię trzymać gęby na klódkę, na miłość boską? — Pomyślałem tylko, że tak kolokwialny zwrot, tak bardzo ziemskie przekleństwo włożone w usta...

— w otwór gębowy Syriana... — Kolokwialny zwrot? Ale Syrianie nie porozumiewają się chyba językiem literackim, co, Jerry? A każdy kolokwializm syriański można przełożyć na kolokwializm ziemski. Teraz, jeśli pozwolisz mi dokończyć...

— Masz rację, Doreen — Pozwól, pozwól ci dokończyć, choćby miało się okazać, że o prócz małej, prywatnej biblioteczki ocalała także narodowa drużyna futbolistów i że futbol...

— i upieczeni w cieście serowym są znanymi syriańskim przysmakami. — Nie planuję już ani słowa. Przerwałem ci na tym, jak ten asystent Głównego...

— Pamiętam, na czym mi przerwał.

— „Kur-kawodna” — mówi asystent Głównego Geoklimetri...

— „Czy Wasza Geoklimetrowska Wysokość uwierzy, że ta gromowładna cywilizacja jeździła na smokach próżniowych, walczyła z Bogiem i Szatanem jak równy z równym, zgłębiła sekret podróży w czasie i przestrzeni i poprzez światy równoległe, a jej umiłowani zajęci byli podboje galaktyk? W tych inkunabulach stoi o tym jak wół”.

— „Powiedz mi więcej, mój Delfinie” — odzywa się Główny Geoklimetri...

— „Oto autorzy książki, którą dzierżę rozwartą przed swoimi szlachetnym obliczkiem, wyjawiają, że planety naszego układu były koloniami od milenników ciemnoziomymi przez tę, jako rzekł, gromowładną cywilizację”.

Asystent blednie.

— „Kur-kawodna” — mówi zbiełymi ustami. — „Czyżby miało to świadczyć, że wędrowni bajdziarze niezupełnie się mylą, rozprawiając, że wszechne cudactwa o naszym enigmatycznym cesarstwie emigracyjnym?”

— „Sza, Delfinie” — reflektuje Główny Geoklimetri...

— „Póki co nikt nie powinien o tym wiedzieć. Dopiero kiedy odzyskamy władzę, nadzieje pora, by do tajemnicy przypuścić grono zaufanych przyjaciół”.

— „Właadza...” — deklaruje się tym słowem asystent promienieje w rozmarzeniu. — „Niech mi Wasza Geoklimetrowska Wysokość powie jednak, kim są autorzy tej książki, zacne te listy, którym zawdzięczać będziemy czołowe stanowiska w cesarstwie”.

Główny Geoklimetri spoziera na okładkę inkunabułu.

— „Zwa się one” — mówi — „Jeremy Brown i Doreen Thornhill”.

— Jesteś niezastąpiona, kotku.

— Wiem. Ale chciałabym to usłyszeć od jakiegoś wydawcy.

— No, jak już ci wspomniałem, czy może nie wspomniałem, że okolice zdają się być wymarzone miejscem do pisania książek z gatunku fikcji naukowej — oświadczył Jeremy, przysyłając autorowi powieści o życiu Syriana na egzotycznych planetach ich układu. — Zapamiętaj mi papierosa, Doreen!

I znowu ścisnął lubieżnie jej udo. Ale ona zamiast przyjąć tę pieszczotę uległa i z niemym błaganiem o jeszcze, odepchnęła jego rękę impertynencko.

— Jerry — powiedziała tonem bynajmniej nie gawędziarskim — ty gamoniu. Spójrz, co zrobiłeś!

Jeremy spojrział. Pośrodku denka otwartej neofityowej puderniczki, którą Doreen podsunęła mu pod nos, leżał jak zdechły robak pet rozgnieciony we własnym popiele.

— Ja to zrobiłem?

— Tak, do cholery, ty. Mogłoby uważać, gdzie gasisz pa-

piery. Wiesz, ile zapłaciłam za ten puder w magazynie Antoinette’a?

— Pewnie położyłaś go obok popielniczki — mimo szczyrych chęci Jeremy dał się unieść chwilowemu rozdrażnieniu. — Przez to twoje niedbalstwo...

— Tylko nie próbuj zwalać winy na mnie — przerwała mu Doreen.

Z obrzydzeniem straciła pęta na podłogę i kleenexem zaczęła oczyszczać powierzchnię sprasowanego pudru, białając i zlorzcząc. Pogodzony z losem Jeremy słuchał, jak z jej ust płynię krasomówczy potok pretensji.

No tak. Teraz Doreen postawi na swoim. Nie ugnie się przed żadną argumentacją. Nie jej nie przekona. Więc żegnajcie wy wszystkie pomniki przyrody, parki narodowe, muzea i rezerwy. Żegnajcie, żegnajcie.

## FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

„1. A po tych wydarzeniach Bog wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: „Abrahamie!” A gdy on odpowiedział: „Oto jestem” — 2. powiedział: „Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złoź go w ofierze na jednym z pagórków, jaki ci wskażę”.

3. Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osiołka, zabral ze sobą dwóch swych ludzi i syna Izaaka, narząbł drzewa do spalania ofiary i ruszył w drogę do miejscowości, o której mu Bóg powiedział. 4. Na trzeci dzień Abraham, spojrzawszy, dostrzegł z daleka ową miejscowość. 5. I wtedy rzekł do swych sług: „Zostańcie tu z osiołkiem, ja zaś i chłopiec pójdziemy tam, aby oddać pokłon Bogu, a potem wrócimy do was”.

5. Abraham zabrawszy drwa do spalania ofiary, włożył je na syna swego Izaaka, wziął do ręki ogień i nóż, po czym obaj się oddalili.

7. Izaak odezwał się do swego ojca Abrahama: „Ojciec mój!” A gdy ten rzekł: „Oto jestem, mój synu” — zapytał: „Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie?”

8. Abraham odpowiedział: „Bóg upatrzył sobie jagnię na całopalenie, synu mój”. I szli obydwaj dalej. 9. A gdy przysli na to miejsce, które Bóg wskazał, Abraham zbudował tam ołtarz, ułożył na nim drwa i związaawszy syna swego Izaaka położył go na tych drwach na ołtarzu. 10. Potem Abraham sięgnął po nóż, aby zabić swego syna.

11. Ale wtedy anioł Jahwe zawołał na niego z nieba i rzekł: „Abrahamie, Abrahamie!” A on rzekł: „Oto jestem”. 12. Powiedział mu: „Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyni mu...”

Tak się sprawy miały w czasach biblijnych. Ale teraz Bog był sterany i niedoświadczony, zapadł w starczą drzemkę i przespał rozstrzygający moment. No i nikt nie zawołał z nieba na Abrahama, nikt go nie powstrzymał, więc naiwny Abraham złożył w ofierze syna swego Izaaka, swego sługę, osiołka, pagórek, miejscowość, którą mu Bóg wskazał, i miejscowości przyległe.

I samego siebie.

## Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do ósmej sekundy po podzieleniu „G”.

5 kilometrów od punktu „O”. Ludzie w sytuacjach krytycznych, zagrożających ich życiu lub po prostu trudnych do zniesienia, skłonni są przeceniać wpływ czasu. Znajdując się w literaturze. Autorzy książek tak oto piszą o odczuciach swoich bohaterów: „Kiedy wreszcie ich podziurawiony samolot wyładował, drugi pilot

zdażył postarzyć się o dwa-dziesiąt lat”. „Nie chciała patrzeć na zegarek, bo zegarek ją oszukiwał; odnosiła wrażenie, że siedzi tutaj zamknięta od wielu, wielu godzin”.

Później Grant nie mógł uwierzyć, że to wszystko rozegrało się w jednej chwili. „Tych kilka minut, które zwykle zajmowała jej droga do domu, rozciągnęło się teraz na całą wieczność”.

Tanner był przekonany, że minął co najmniej kwadrans, zanim wstrząs ustał.

W przeciwieństwie do tych literackich bohaterów William Frankley miał pełną i jasną świadomość kolejności zdarzeń i w miarę dokładnie potrafił określić długość ich trwania. Przez trzy sekundy jak urzeczony wpatrywał się w piorunującą iskier rozpląsany nad pulpitem rozrządu, potem dobiegł go zwierzęcy ryk Gary’ego z komory, gdzie stały butle ze sprężonym powietrzem. Kątem oka dostrzegł przed sobą Cata, którego twarz zdawała się wisić na tle ciemności, jak karnawałowa maska oświetlona drgającą poświatą, zasnwana fosforującymi obłokami dymu. Na moment skrzyżował z nim wzrok i kiedy ryk Gary’ego ustał, zastąpiony litanią przekleństw, rzucił się do głównych bezpieczników elektrycznych. Poczul, że włosy jeżą się na jego ciele.

11 kilometrów od punktu „O”. Wszędzie, wszędzie, wszędzie jasniał ten ostry, diamentowy blask, bijący z ulicy przez szeroko otwarte drzwi na obu końcach korytarza, rozlewając się po schronie, przemieniając wnętrze kafełkarni w fantasmagoryczną komnatę bajkowego zamku.

— Hej, co się dzieje?! — zawołał ktoś po przeciwnej stronie kontuaru.

Lustro za barem, szklanecki, podstawki i ustawione dnem do góry kieliszki, butelki na półkach, krągłe boki i kanciaste obrzeża puszek, shakery o wysmukłych talcach, lód w pojemnikach i chromowane łacie pod nimi, gładkie białe stoliki, wazon i blaszkowate liście sztucznych kwiatów, drzewiczki zamrażalnika, płaski, ściemniany ekran telewizora, wypolerowany korpus szafy grającej, tapety, mozaikowe podłogi oraz brzuchy opraw lamp kanałowych pod sufitem — wszystko to kąpało się niefrasobliwie w tym ostrym blasku, rzucając wokół refleksy: cytrynowożółte, różowe, szmaragdowe, białe, kadmowoczerwone i fioletowe.

Rebby Courgan wetknęła torebkę pod pachę. Spód zmrużonych powiek rozglądała się nadal za wolnym miejscem, bo ten młody człowiek stworzył nad wyraz kłopotliwą sytuację, zamawiając dla niej koktajl, jakby była kłajpaną dziewczyną, i wygadując takie okropne rzeczy, od których nawet Szekspir się wzdruga. Biedna ta jego żona, kimkolwiek ona tam jest.

— Czy to jakaś działalność rozrywkowa? — zapytała starsza pani siedząca w towarzyskim meście. Patrzyła na sale, filigranową dłoń ostentacyjnie okulary, a jej głowa ocieniona śmieszny koronkowy kapeluszem kołysała się lekko.

— Telewizor wysiadł — powiedział barman w ciszy.

— I szafa — dodał jeden z gości, porządnie ziewając.

I nagle na końcu korytarza rozległ się przenikliwy krzyk: — To bomba!

Dokładnie w tym samym czasie Michael Tomashek znalazł w swoim Pontiacie Pontiac lewą częścią nadwozia wyrzniętą w zaparkowaną dostawczą chłodnię, odbił się od niej rozstraskany i zataczając łagodny łuk, przeschorował bokiem przez całą szerokość jezdnii, uderzył tyłem w hydrant, od którego także się odbił.

przodem lewym błotnikiem upadł na ceglany mur składowi z narzędziami rolniczymi, po czym znieruchomiał, jedynie wygięta kłapa bagażnika powoli wachlowała powietrzem.

Pan Tomashek jeszcze żył, ale funkcje jego organizmu już zamierały. Był nieprzytomny i parę sekund wcześniej stracił wzrok. Gdyby nie to, może by zobaczył, jak popielatosrebrzysty lakier na karoserii Pontiacu pokrywa się dąblami, jak pęka i dymiąc odpada od topniejącej blachy. Gdyby nie to, może by poczuł, jak zarzuciła jego przedramię zwieszona na zewnątrz wozu, jak obraca na nim koślawę w popiół, jak wgrzyza mu się w ciałę, trawiąc brwi, rzęsy i włosy — trawiąc głowę wraz z twarzą o rysach posągowo klasycznych.

17 kilometrów od punktu „O”. Och nie, Panie Boże — pomyślał Adam szybko — to był tylko żart.

Wśliznął się do wody tak gładko, jak Linda Tossey wślizgiwała się z jego ramion. Zbyt gładko. Aż człowiek mógłby uwierzyć, że Wszchemmowy wystuchacz raczył jego niemię prochy wieszanej chybą trochę pochopnie, i zesiadł na niego cichą i nagłą śmiercią (mniej upragnioną niż to się z początku wydawało), tak że martwa powłoka cielesna została dziesięć metrów wyżej, tam na wieży, a te odmetę tutaj przenikała dusza w czystej postaci, której woda nie stawiała oporu. No i to światło doskonałe — także jasne, że człowiek zawołał zmysły i nie wie już, czy płonę zwrócony twarzą w dół, czy w górę, ku niebu, czy może raczej jest to światło wiekiste.

Adam otworzył oczy i z ulgą niemal ejakulacyjną dostrzegł dno basenu sunące pod nim w odległości jednego metra. A więc żyje — pomyślał. — I czyż nie są to moje własne ręce, z krwi i kości? Tylko czemu te kłacie tak... świecą? Bo one przecież świecą, świecą wprost przerażająco. Nowa jakaś atrakcja? No, rzeczywiście, „Enklawa przyrody” nimo wszystko nadała za techniką i modą, chociaż nie dorównuje tym zapalającym klubom z Greenwich Village. Ale kiedy oni zainstalowali to oświeślenie?

Pokonawszy w zanurzeniu ponad połowę basenu Adam obrócił się na plecy, by przez moment — zanim wypłynie na powierzchnię i będzie zbierał okłaski i gratulacje — popatrzyć z dołu na dziewczyny plawiące się w górze, zwieszając na Sophy, która zawrze, ilekroć nurkował, urządziła dla niego prywatny pokazik, mile sprośny.

— Ale zobaczył nad sobą jedynie oślepiającą łunę, a w niej — płataninę rąk i nóg chaotycznie młócących wzburzoną, pienistą wodę. A potem zobaczył dziesięcioletniego Derricka Danube’a. Otoczony rojem bąbelków powietrza chłopiec opadał na dno — bezwolnie, porażony w osłupieniu prawie katatonicznym, ze wzrokiem szklistym i nieruchomym, jakby wpatrywał się w Przenajświętszą Trójcę.

26 kilometrów od punktu „O”. — Skurwysyny! Oberwaliśmy, oberwaliśmy! Skurwysyny, trafil nas!

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.

Rys. Janusz Szymański-Glanc